TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 14 – 20 października 2026 | nr 42 (4032)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI
Ataki w szkołach: jak zaleczyć rany
Gdzie zniknęli listonosze
Dlaczego spowiedź nie zastąpi terapii
Anne Carson i inne Noble
Rozkoszny: celebrujcie podwieczorki

POWSTRZYMAĆ CHINY

STAWKĄ JEST PRZETRWANIE POLSKI I EUROPY

STR. 10-14



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

ALUPROF
LET'S BUILD A BETTER PLACE

OKNA I DRZWI I FASADY I OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE I PERGOLE



Granice?

Tylko te, które sam wyznaczasz.
To Twój wybór.

Panoramiczne drzwi przesuwne **MB-Skyline Type S**

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MAREK RABIJ

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Potrzebujemy wykrywaczy bólu
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Żegnaj, awizo
MAREK RABIJ: *Czy Poczta Polska ukrywa kadrową zapaść?*

19 Zdążyć na czas



ARCHIWUM PRYWATNE

ANNA GOC ROZMAWIA Z PSYCHIATRĄ CEZARYM ŻECHOWSKIM *o młodych ludziach w kryzysie psychicznym. Gdzie szukać pomocy?*

22 Piknik za kratą
JACEK TARAN: *Czy odwiedziny w więzieniu mogą nieść radość i mieć głębszy sens?*

■ ■ ŚWIAT

26 W razie „W”
TOMASZ OTOCKI Z LITWY I ŁOTWY: *Jak kraje bałtyckie radzą sobie z groźbami Rosji?*

30 Gazem w maturzystę
SZYMON ŁUCYK Z FRANCJI: *Obrazy ulicznych starć zepchnęły na bok słuszne postulaty licealistów*

32 Puchar dla szejka
MICHAŁ OKOŃSKI: *Mistrzostwa, puchary – i przekręt na blisko miliard funtów. Finał tej historii wpłynie nie tylko na futbol*

■ ■ ROZMOWA

36 Czy to jest już wojna?
MATEUSZ MAZZINI ROZMAWIA Z GIDEONEM RACHMANEM: *Trzeba pamiętać, że nowe wojny nigdy nie przypominają poprzednich*

■ ■ WIARA

40 Bura w konfesjonale
ADRIAN BURTAN: *Gdy język terapii staje się wszechobecny, psychologicznej otuchy szukamy nie tylko u specjalistów, ale też podczas spowiedzi*

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

TEMAT TYGODNIKA

10 Chińczycy trzymają się mocniej
JAKUB JAKÓBOWSKI

Stawką jest nie tylko przyszłość naszej gospodarki, ale i kwestie strategiczne. Jak wyzwolić się z uzależnienia od Pekinu?



■ DODATEK ■

63 MAGAZYN CONRAD 03

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ *o Trumpie, wojnie i ropie*

25 OLGA DRENDA *o chaosie w świecie kontroli*

62 WOJCIECH BONOWICZ *o spotkaniach*

92 PAWEŁ BRAVO *o owsiance lokalnie i globalnie*

98 TOMASZ STAWISZYŃSKI *o adaptacjach i prawie Bellosa*

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

REDAKTORKA PROWADZĄCA: MONIKA OCHĘDOWSKA

44 Chrześcijaństwo musi być polityczne
KONSTANTY PILAWA: *Kościół po Soborze Watykańskim II nie schował Boga do szafy. Nie odwołał także tezy, że Chrystus jest Królem świata*

46 Moce doktora Kaszpirowskiego
JAN HLEBOWICZ, DANIEL WICENTY: *Skąd się wziął jego fenomen i jaką rolę odegrał w nim Kościół katolicki?*

49 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

50 Rok 1956: globalny punkt zwrotny
ŁUKASZ KAMIŃSKI
Z upływem czasu znaczenie wydarzeń sprzed 70 lat jest coraz mniej oczywiste

■ ■ NAUKA

56 Za co przyznano w tym roku naukowe Noble
WOJCIECH BRZEZIŃSKI, BARTOSZ KABAŁA, ŁUKASZ KWIATEK

■ ■ KULTURA

82 Jesteśmy sąsiadami ognia



PONTUS LUNDAHL / TT / AFP / EAST NEWS

JULIA FIEDORCZUK I MACIEJ JARKOWIEC *o Anne Carson, laureatce literackiej Nagrody Nobla*

87 Polecamy
KSIĄŻKI, FILMY, WYSTAWY

90 Materiał na historię
ANITA PIOTROWSKA *recenzuje filmowy debiut Julii Rogowskiej*

91 Najmniej słów
LEKTOR *o tomiku Ryszarda Krynickiego*

■ ■ ZMYSŁY

94 Jak zjeść brzoskwinię
MONIKA OCHĘDOWSKA ROZMAWIA Z MICHAŁEM KORKOSZEM *o celebrowaniu podwieczorków: nie potrzeba skomplikowanego przepisu, żeby stworzyć coś, co pobudza wszystkie zmysły*

KS. ADAM

Boniecki: *Medytacja nad listami*

Zbierały się, czy raczej ja je zbierałem, przez długie lata. Zawsze z zamiarem uporządkowania, przebrania itd. Ale nigdy nie miałem czasu czy raczej nie chciało mi się za to zabrać. Trwało to i trwało. Przenosiłem się, pakowałem, rozpakowywałem i... nic. Mnóstwo listów. Rzecz jasna były takie, które wyrzucałem zaraz, czasem z irytacją, czasem ze świadomością, że są efektem chwilowego nastroju czy stanu tego, kto pisze.

A teraz, kiedy nadchodzi czas rozstania ze światem, coś trzeba było z tą górą, czy raczej z pakami listów zrobić. Nie powiem, że wszystkie raz jeszcze przeczytałem; gdybym czytał, mógłbym nie zdążyć przed śmiercią, ale wszystkie miałem ponownie w ręku. Te, które były rozdzierająco osobiste, już nie istnieją. Zniszczyłem je, szanując tajemnicę, bo to są jednak tajemnice.

Piszemy w tym numerze o poczcie, a ja myślę, że listy to osobliwy gatunek literacki. Niektóre zachowałem z bladą nadzieją, że „ty przeczytasz, wnuku", jak mówi poeta. Np. listy pisane do mnie przez czytelników „Tygodnika". Niektóre pozytywne, pełne uznania, będące świadectwem, że nasze pismo jest potrzebne i cenione. Więcej jednak z pretensjami, wyrzutami, czasem z irytacją. Tu *mea culpa:* nie zawsze odpisywałem. Obawiam się, że w moim zbiorze są też takie listy, na które miałem zamiar odpowiedzieć szerzej, po namyśle, i (niestety) nie odpowiedziałem nigdy. Medytacje nad listami są dla mnie więc okazją do żalu za grzechy zaniedbania. Ale nie tylko, bo nade



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

MAREK

Rabij: *Czy Chińczycy wygrali*

Nie znam Chin tak dobrze jak **JAKUB JAKÓBOWSKI**, autor okładkowego raportu o pętli, którą Pekin coraz mocniej zaciska na europejskiej, w tym polskiej gospodarce. Od ponad 20 lat piszę jednak o globalizacji i miałem okazję oglądać ją z bliska w Chinach.

Pierwsza wizyta, chyba w 2003 r. Obdrapany budynek na obrzeżach Shenzhen, pierwszej chińskiej specjalnej strefy ekonomicznej, utworzonej jeszcze w 1980 r. Kilka starych biurek, przy których skupieni jak mnisi robotnicy składają dla polskiej firmy myszki komputerowe. Zapach świeżo odlanego plastiku miesza się z wonią z toalety, która nie ma nawet drzwi.

Rok 2007. To samo Shenzhen, które w międzyczasie zdążyło się dorobić pierwszej linii metra (dziś ma ich 17). Zwiedzam kilkupiętrową, niemal w pełni zautomatyzowaną fabrykę odzieży. Gdy z rozpędu ruszam na kolejne piętro, zatrzymuje mnie tłumacz. Widząc moje zdziwienie, rozgląda się ostrożnie, po czym kieruje palec w kierunku sufitu i szepcze: „Not allowed. Armani".

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 35

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

wszystko są okazją do odnowionego przeżywania wdzięczności za tę przedziwną bliskość, jaka istniała między redakcją a czytelnikami.

W listach, które pozostawiam, obok takich, które dodawały mi sił (np. list o. Piotra Rostworowskiego), są m.in. upomnienia i restrykcje nakładane na mnie przez mój zakon, choćby zabraniające mi publikowania poza „Tygodnikiem". Przyjmowałem te decyzje ze spokojem, rozumiejąc, że działają tu z pewnością różne naciski. Nigdy przeciwko zakazom się nie buntowałem, nie czułem się jakoś szczególne dyskryminowany, pisałem na tych łamach, spotykałem się z czytelnikami, miałem co robić: i jako ksiądz, i jako redaktor.

Jest wreszcie wśród tych listów sporo dowodów przyjaźni, także od osób znanych z publicznej działalności, a mnie bliskich. Nazwisk jednak nie wymieniam, bo to sfera, która nie lubi rozgłosu.

Myślę sobie, jak to jest dzisiaj. SMS-y i inne sposoby komunikowania swoich myśli czy uczuć, złych i dobrych, to jednak co innego niż prastare listy. Słyszę, że są ludzie, którzy wciąż je piszą, choć narzędzia sporów zdecydowanie się zmieniają. Mimo wszystko krytyczny czy polemiczny list do autora jakiegoś tekstu (oczywiście podpisany) to metoda szlachetna.

Tych listów jest więc sporo, kilka pudeł. Zapis ważnych, autentycznych emocji, czasem mądrej wiedzy. Nie miałem siły ich wyrzucić, więc są. Zostawiam je w redakcji „Tygodnika", bo gdzie mam zostawić? Niech leżą, może się na coś przydadzą, np. do rekonstrukcji epoki, która przeminęła, ale zostawia ślady. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

Rok 2015. Tym razem gdzieś pod Pekinem, w siedzibie chińskiej marki komputerowej, która jeszcze niedawno była amerykańska. Dwóch akustyków, Szwajcar i Włoch, byli pracownicy znanego producenta fortepianów, oprowadza po laboratorium, w którym cyzelują dźwięk systemów chłodzących laptopów. „Wszystkie komputery działają podobnie. Nasze mają szumieć cicho i szlachetnie" – tłumaczą swoje zadanie akustycy.

Dwanaście lat. W mojej perspektywie właśnie tyle zajęło Chinom, żeby od chałupniczego składania myszek przejść do walki na detale z liderami najrentowniejszych sektorów globalnej gospodarki. Dziś wiemy, że w wielu obszarach ten pojedynek Chińczycy wygrali i widzą swój kraj w roli nowego globalnego hegemona. Mówi o tym w rozmowie z Mateuszem Mazzinim **GIDEON RACHMAN**, brytyjski komentator dziennika „Financial Times".

Menedżerowie zachodnich koncernów, którzy przed laty rozpoczęli zabawę z chińskim tygrysem, od dawna są na sowitych emeryturach. Za krótkowzroczność, która pozwoliła Pekinowi zbudować najwydajniejszą bazę przemysłową globu, płacą teraz pracownicy kolejnych zamykanych w Europie fabryk. ©℗

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

BEATA CHOMĄTOWSKA
Cena uzdrowienia. Ile wart jest „rynek usług duchowych", czym te praktyki różnią się od medycyny i co sprawia, że z nich korzystamy.

JERZY JARNIEWICZ
„Moja powieść zawdzięcza swoją konstrukcję najstarszej historii świata" – pisał John Steinbeck w trakcie pracy nad książką. Z czasem biblijne tropy stają się wyraźniejsze, a „Na wschód od Edenu" coraz bardziej przypomina przypowieść o naturze zła. Co jeszcze pisarz notował w dziennikach w trakcie pracy nad tą historią?

KASPER KAPROŃ Z BOLIWII
O tym, jak katolicy z globalnego Południa ewangelizują misjonarzy, czego przykładem jest Leon XIV. O papieżu z Peru i odwróconej geografii misji.

AGNIESZKA PIKULICKA Z AFGANISTANU
Pięć lat temu talibowie wrócili do władzy w Kabulu i wydawało się, że ich rządy są stabilne. Ale czy tak jest rzeczywiście? Co dzieje się w prowincjach, gdzie dominują mniejszości narodowe? Np. w Badachszanie, regionie graniczącym z Tadżykistanem, gdzie doszło do rebelii przeciw talibom. Czy ich władza poza Kabulem jest zagrożona?

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

OBRAZ TYGODNIA

5–11 PAŹDZIERNIKA 2026

TRUMP ŁAGODZI SANKCJE na Rosję. Na kilka tygodni przed wyborami połówkowymi, które mogą skończyć się klęską Republikanów, prezydent USA poinformował, że uzgodnił z Putinem wznowienie dostaw rosyjskiego oleju napędowego na rynek amerykański. Trump utrzymuje, że za wzrost cen paliw nie odpowiada sytuacja w cieśninie Ormuz, lecz ukraińskie ataki na rosyjskie rafinerie. ■■■ **ŚMIERĆ NA ŻYWO.** Pentagon zapowiedział, że zbliżająca się egzekucja Nidala Hasana, który zabił 13 osób w Fort Hood w 2009 r., będzie transmitowana na żywo w internecie. ■■■ **NOŻE W SZKOŁACH**. Jedna ofiara śmiertelna i kilkanaścioro rannych to efekty kilku incydentów w mazowieckich placówkach. Po informacji o tym, że jeden z napastników miał na sobie kamerę, pojawiły się informacje o rzekomym challenge'u wśród uczniów. Do szkół skierowano kilkadziesiąt tysięcy policjantów, zatrzymano ponad sto osób, głównie w wieku 13-19 lat. ■■■ **SŁUŻBY** zatrzymały 60-letniego mężczyznę, który groził zamachem na premiera Tuska i wicepremiera Kosiniaka-Kamysza. Ujawnienie przez rzeczniczkę MSWiA informacji o możliwym ataku na szefa rządu zostało skrytykowane przez ekspertów od bezpieczeństwa. ■■■ **SEJM** uchwalił ustawę dotyczącą bezpieczeństwa w internecie, umożliwiającą blokowanie treści związanych m.in. z transmisjami sytuacji kryzysowych, groźbami i promocją śmierci lub samobójstwa. To kolejne podejście po styczniowym wecie prezydenta Nawrockiego, zarzucającego ustawodawcom cenzorskie zapędy. ■■■ **TURCJA** zakazała platformom społecznościowym świadczenia usług osobom poniżej 15. roku życia; ich wiek będzie weryfikowany za pośrednictwem rządowego portalu. Nowe prawo jest efektem strzelanin w szkołach. ■■■ **WE FRANCJI** trwają protesty licealistów domagających się zatrudnienia dodatkowego personelu i zwiększenia środków finansowych na edukację. ■■■ **W NIEMCZECH** Tobias Rausch z AfD został przewodniczącym parlamentu Saksonii-Anhaltu. W tajnym głosowaniu poparli go także przedstawiciele partii, które oficjalnie opowiadają się za izolacją skrajnej prawicy. ■■■ **TEGOROCZNE NOBLE:** Karl Deisseroth, Peter Hegemann i Georg Nagel (medycyna, za odkrycia dotyczące kanałów jonowych aktywowanych światłem i optogenetyki); Francis Halzen (fizyka, za badania nad neutrinami); Henri B. Kagan i Kenso Soai (chemia, za odkrycia dotyczące katalizy asymetrycznej i autokatalizy); Anne Carson (literatura); Navanethem Pillay (Nagroda Pokojowa; za działania na rzecz pokoju i prawa międzynarodowego); Amerykanie Robert E. Hall i Michael Woodford (ekonomia; za badania mikro- i makroekonomii) ■■■ **PAPIEŻ LEON XIV** ogłosił, że lekarze wykryli u niego guzek w płucu i że podda się operacji jego usunięcia. ■■■ **PREZYDENTEM KRAKOWA** został Łukasz Gibała, który zdobył 62,12 proc. głosów (kontrkandydatka, Monika Piątkowska, popierana przez KO i PSL, uzyskała wynik 37,88 proc.). Frekwencja przekroczyła 44 proc. ©℗



WOJTEK RADWAŃSKI / AFP / EAST NEWS

POTRZEBUJEMY WYKRYWACZY BÓLU

Jeśli tragiczne zdarzenia ze szkół czytać jako emanację kryzysu więzi, to dzieje się on w miejscu nieprzypadkowym: w przestrzeni, w której relacje złożyliśmy na ołtarzu efektywności. Nie uleczą nas wykrywacze metalu.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Mogliśmy mieć do czynienia z pierwszą w III RP falą incydentów terrorystycznych – mówi „Tygodnikowi" dr Kacper Rękawek, ekspert International Center for Counter-Terrorism w Hadze. Chodzi o terroryzm rozumiany jako atak na przypadkowe osoby, z ideologiczną agendą w tle: – Za wiele podobnych przypadków krótko po sobie, za blisko siebie, by nie brać tego pod uwagę [kalendarium wydarzeń w ramce].

– Gdy mówię o agendzie, nie mam wyłącznie na myśli inspiracji obcego mocarstwa – dodaje dr Rękawek. – To może być np. rozprzestrzeniająca się w internecie moda na nihilistyczny ekstremizm, działająca w ramach The Com, czyli sieci grup cyberprzestępczych wykorzystujących młodych ludzi albo część zdecentralizowanego, skrajnie prawicowego Terrorgramu.

Podobną hipotezę, każącą szukać źródeł agresji w nieformalnych



Kalendarium

Wszystkie dotychczasowe tragiczne wydarzenia w polskich szkołach miały miejsce na Mazowszu.

- **7 października 19-latek ranił 9 osób w zespole szkół w Ostrołęce, a w Sierpcu udaremniono atak 17-latka.**
- **Nazajutrz koło Wyszkowa 15-letni były uczeń podstawówki dokonał na jej korytarzach masakry, w której zginęła woźna.**
- **10 października w Warszawie w szkole policealnej 21-latka zaatakowała nożem trzy osoby.**

Na zdjęciu: Przed Szkołą Podstawową im. Jana Pawła II w Leszczydole-Nowinach, 8 października 2026 r.

internetowych grupach, wysuwał na stronie „TP" dr Konrad Ciesiołkiewicz. Ale nawet jeśli atakowali niepowiązani ze sobą desperaci, powodując efekt naśladownictwa, jedno jest pewne. Zamachy wywołały – albo nasiliły – kryzysy, z którymi mierzyć się będziemy przez lata.

KRYZYS BEZPIECZEŃSTWA | 9 października, gdy Polskę obiegły plotki o mającym się jakoby rozpętać „krwawym piątku", wskaźnik kryzysu bezpieczeństwa osiągnął szczyty. Zalęknione dzieci, spanikowani rodzice, informacyjna kakofonia w sieci. Panikę łagodziły wizyty w szkołach policji, oskarżanej zresztą czasem o organizowanie czczego pokazu siły.

– Patrole były nieuniknione. Żadne państwo nie pozwoli sobie na odpuszczenie takich działań, i nie mówię o politycznym pijarze, tylko o uzasadnionych środkach, które zaowocowały zresztą zatrzymaniami – mówi dr Rękawek. W dłuższej perspektywie nie unikniemy zapewne dyskusji o wykrywaczach metalu, ochroniarzach czy funkcjonariuszach w szkołach – środkach, których zresztą wielu ekspertów (w tym Rękawek) nie popiera.

Którakolwiek z opcji wygra, warto pamiętać, że polska szkoła i bez wykrywających metal maszyn należy do przestrzeni nieprzesadnie przyjaznych. Słynne badanie PISA, porównujące światowe systemy edukacyjne, pokazuje co trzy lata, że w kwestii poczucia więzi uczniów ze swoją szkołą wleczemy się w europejskim ogonie. Gdyby choć ktoś zagwarantował, że przekształcenie placówek w warownie uleczy nasz świat – tylko czy naprawdę w to wierzymy?

Być może lepiej pracować nad inaczej rozumianym bezpieczeństwem. Tym „wirtualnym", polegającym na skuteczniejszym wychwytywaniu zagrożeń w sieci (nie unikniemy politycznego sporu o przegłosowane przez Sejm przepisy pozwalające skuteczniej blokować szkodliwe treści; przepisy, które już raz wetował prezydent), ale i realnym.

– Mamy skuteczną prewencją „na górze", mam na myśli ABW i inne służby. Problem w tym, że nie podpięliśmy pod nią instytucji takich jak szkoła, kościoły, kluby piłkarskie – wylicza dr Rękawek. – Nasze dziecko musi wiedzieć nie tylko, że jak słyszy odgłosy walki czy strzałów, to należy od tego dźwięku uciekać. Musi też mieć świadomość, że jeśli jego kolega wycofuje się z życia grupy, mówi dziwne rzeczy, fascynuje się śmiercią, przemocą, niezrozumiałą dla nas symboliką, to trzeba alarmować dorosłych.

KRYZYS PSYCHICZNY | Wszystko się w tej historii wokół niego kręci. By się o tym przekonać, nie trzeba nawet zaglądać piętnastolatkowi spod Wyszkowa do głowy, na której tkwił kask z kamerką GoPro; nie trzeba wspominać, że gdy zrobił to, co zrobił, chciał się przytulać do dyrektora swojej byłej już szkoły.

Nie po to przywołuję ten obraz, by wzbudzać litość dla sprawcy, ani by szukać okoliczności łagodzących dla zbrodni – chodzi o wskazanie źródeł zła. A czy chodziło o rówieśnicze upokorzenie, czy osamotnienie i przemoc w domu (i takie szczegóły z życia sprawców przedostały się już do mediów), pewne jest jedno. Potrzebujemy – nie tylko w szkołach – wykrywaczy bólu i frustracji, nie metalu.

Być może prawdą jest (jak uważa dr Ciesiołkiewicz), że politycy wyposażyli w tym roku szkoły w narzędzia do radzenia sobie ze współczesnymi upiorami – edukację zdrowotną, pozwalającą zauważyć u siebie i innych kryzys, czy medialną, dającą lepsze kompetencje w gęstwinie wirtualnych zagrożeń.

Ale potrzeba znacznie więcej. Mówimy przecież o doświadczonym najpierw pandemią, później doniesieniami o wojnie, a permanentnie atakowanym bodźcami z mediów społecznościowych pokoleniu, które właśnie dostało do swojego generacyjnego CV kolejną zbiorową traumę. Mówimy o półmilionowej armii nauczycieli, którzy z przymiotnikami typu „wypaleni" stworzyli niemal związek frazeologiczny. Teraz ci sami nauczyciele będą sobie musieli poradzić – oby przy wsparciu – z lękiem przed uczniami.

KRYZYS WIĘZI | Jeśli tragiczne zdarzenia ze szkół czytać jako emanację kryzysu relacji, jak czynią niektórzy komentatorzy, to wydarza się on w miejscu symbolicznym. W fabrykach egzaminacyjnych osiągnięć, gdzie więzi złożyliśmy na ołtarzu efektywności. W atmosferze, w której przedrostek „współ" odnosi się częściej do współzawodnictwa niż współpracy. Dobrze że choć teraz, po wprowadzeniu tzw. zakazu ekranów, dyrektorzy szkół dostali do ręki narzędzia, dzięki którym przerwy będą mogły się stać tym, czym były zawsze – treningami relacji właśnie, a nie festiwalami skrolowania.

Relacje dorośli–dzieci? Europejskie, obejmujące Polskę badanie EU Kids Online 2026 odpowiada m.in. na pytanie, z kim dziecko porozmawiałoby w pierwszej kolejności, gdyby spotkało je coś złego w sieci. Niemal co piąty młody Polak mający za sobą takie zdarzenie nie porozmawiałby z nikim, 39 proc. wybrałoby rówieśnika, a tylko 3 proc. nauczyciela (o połowę mniej niż średnia UE). Mniej niż co trzeci (31 proc.) wybrałby własnego rodzica.

Wniosek jest banalny: seria szkolnych tragedii nie opowiada ani wyłącznie, ani przede wszystkim o szkole. To opowieść o nas. O naszym czasie, codzienności, priorytetach. Wykrywacze metalu tutaj też na niewiele się zdadzą. ©℗



Za czwartym razem

MAREK KĘSKRAWIEC

Prezydentem Krakowa został Łukasz Gibała, który w starciu z Moniką Piątkowską wygrał zdecydowanie: 62 do 38 proc. To porażka koalicji rządzącej, która w drugim największym mieście Polski trzy lata temu uzyskała 65 proc. poparcia, a rok później obsadziła na tym stanowisku posła KO Aleksandra Miszalskiego, odwołanego niedawno w referendum.

Pomysł, by jego klęskę zamienić w sukces, wybierając na kandydatkę KO i PSL senator Piątkowską, od lat związaną bardziej z Warszawą, był kiepski. Została zaprezentowana w ogrodzie Kancelarii Premiera przez Donalda Tuska i Władysława Kosiniaka-Kamysza, co od razu uczyniło krakowskie wybory politycznymi, choć Miszalskiego odwołano z powodów lokalnych.

Biorąc pod uwagę, że obecny rząd może liczyć na poparcie jednej trzeciej obywateli, zaangażowanie w kampanię ministrów Domańskiego, Sikorskiego i Rutnickiego, który kusił Krakowian 30 milionami na infrastrukturę sportową – okazało się pocałunkiem śmierci dla mało charyzmatycznej turystki politycznej (w przeszłości związanej z SLD, PSL, Kukiz'15, Polską 2050).

Jeśli jednak ktoś wierzy, że sytuacja pod Wawelem zwiastuje (jak chcieliby rozentuzjazmowani politycy PiS) klęskę koalicji w przyszłorocznych wyborach do Sejmu, powinien wziąć zimny prysznic. Kandydaci prawicy zostali zmieceni w I turze i choć później większość ich wyborców poparła Gibałę, nie znaczy to sukcesu opozycji. Sam fakt, że prawica cieszy się dziś z wygranej byłego posła Ruchu Palikota, biznesmena o mocno liberalnych poglądach, dystansującego się wyraźnie od polityków i Warszawy, mówi wiele o polskiej polaryzacji.

Nowy prezydent będzie miał ciężko. Udało mu się wygrać dopiero przy czwartej próbie, w dodatku tylko na dwa i pół roku. Przez ten czas będzie się musiał mierzyć z potężnym, rosnącym długiem po czasach wielkich inwestycji prof. Jacka Majchrowskiego. Zachwiały one równowagą miasta, której nie przywrócił Miszalski (dług wzrósł z 6,5 mld zł do 8,9 mld). Gibała musi coś z tym zrobić, a przecież w radzie miasta ma tylko sześć foteli. Nawet jeśli przekona część działaczy partyjnych do współpracy, będzie rządził przy dość pustej kasie.

Co może go uratować? Dystans do prawicy (choć na razie odmówił patronatu marszowi równości) i spełnienie obietnicy audytu zatrudnienia na szczytach spółek miejskich (to prawie sto stanowisk, a jest jeszcze ratusz), odpolitycznienie ich i przeprowadzenie transparentnych konkursów. Tylko jeśli Krakowianie uwierzą w ich uczciwość, Gibała ma jakąś szansę. Obecny rząd na pewno mu w niczym nie pomoże, a śmiem twierdzić, że kolejny też. ©℗



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Nowy prezydent Krakowa Łukasz Gibała podczas swojego wieczoru wyborczego, 11 października 2026 r.



Prawo przed siłą

JACEK STAWISKI

Południowoafrykańska prawniczka Navanethem Navi Pillay została laureatką tegorocznej Pokojowej Nagrody Nobla. Przyznając nagrodę właśnie jej, Norweski Komitet Noblowski podkreśla znaczenie prawa międzynarodowego w podtrzymaniu ładu na świecie i wysyła sygnał, że szereg instytucji globalnych jest poddanych ostrej presji.

Dziś 85-letnia, w czasach apartheidu w RPA Pillay angażowała się w obronę praw obywatelskich. Potem zasiadała w licznych komisjach i trybunałach, które zajmowały się ludobójstwem w Rwandzie czy sytuacją na terytoriach okupowanych przez Izrael. Przez kilka lat była komisarzem ds. praw człowieka ONZ. Niedawno była członkinią komisji ONZ, która orzekła, iż Izrael dopuścił się ludobójstwa w czasie wojny w Strefie Gazy (Izrael nazwał to orzeczenie stronniczym). Dziś jest sędzią w Międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości w sprawie przeciw Mjanmie (dawnej Birmie) o ludobójstwo Rohingów.

Zagrożone instytucje, o których wspomina Komitet Noblowski, to zwłaszcza Międzynarodowy Trybunał Karny, który może oskarżać i ścigać polityków. Przewodniczący Komitetu wskazał wyraźnie, że wyróżnienie Pillay, wybitnej prawniczki, to także sygnał wsparcia dla nich.

Natychmiast po ogłoszeniu decyzji Komitetu fala krytyki spadła na nią ze strony Izraela i USA. Trump znów obraża się na Norwegię, że nie przyznano jemu nagrody (nie przyjmując do wiadomości, że Komitet jest niezależny od rządu w Oslo). Stany nigdy nie uznały MTK, a szczególnie krytyczna wobec niego jest administracja Trumpa, która w przeszłości ogłosiła już sankcje wobec jego pracowników. Teraz, reagując na Nobel dla Pillay, Trump objął sankcjami cały MTK jako instytucję.

Trybunału bronią sojusznicy Ameryki, w tym większość państw Unii Europejskiej. Warto przy tym przypomnieć, że w 2023 r. MTK wydał list gończy za Władimirem Putinem za zbrodnie wojenne, w tym za porywanie dzieci ukraińskich i wywożenie ich do Rosji.

Oceniając werdykt Komitetu Noblowskiego, nie sposób nie zauważyć, że samo prawo międzynarodowe jest tylko jednym z instrumentów zachowania pokoju. Nie da się go utrzymać lub wymusić wyłącznie zapisami prawnymi. Potrzebna jest też wola polityczna i skuteczność. Navi Pillay jest trzecią laureatką pokojowego Nobla z RPA. Pierwszymi byli „zwyczajni" politycy: Nelson Mandela i Frederik de Klerk, którzy wynegocjowali i wdrożyli polityczny proces przejścia od apartheidu do demokracji. ©℗

Czy prezydent podpisze ustawę o zabezpieczeniu artystów?



JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Ministra kultury Marta Cienkowska w Sejmie po uchwaleniu ustawy o zabezpieczeniu socjalnym artystów. Warszawa, 8 października 2026 r.

KULTURA ▪ Sejm przegłosował ustawę o zabezpieczeniu społecznym osób wykonujących zawód artystyczny. To ważny krok w przyjęciu rozwiązań, których celem jest zapewnienie godniejszego życia grupie, która do tej pory nie miała na nie szans. Chodzi tu – przypomnijmy – o ubezpieczenie społeczne i zdrowotne oraz składki pozwalające w przyszłości na minimalną emeryturę.

Prawo uchwalono w kształcie, w jakim wcześniej prezentowało je MKiDN. Zakłada ono dopłaty do składek osób o najniższych dochodach, które uprawiają działalność artystyczną. Do ich otrzymania nie wystarczy jednak odpowiednie wykształcenie czy twórczość – konieczne jest osiąganie dochodów związanych z wykonywaniem zawodu artystycznego. To zresztą nie jedyne zabezpieczenie przed nadużyciami.

Osiągany w trzech poprzednich latach podatkowych dochód nie może przewyższyć 125 proc. wynagrodzenia minimalnego w roku złożenia wniosku – obecnie to ok. 72 tys. zł brutto. Brany tu będzie pod uwagę każdy rodzaj dochodu. Wreszcie, żadna z osób nie otrzyma tych środków bezpośrednio – dopłaty trafią na konto w ZUS-ie. Nic wspólnego z rzeczywistością nie mają zatem opowieści o tym, że jest to ustawa dla celebrytów. Nie tylko w tym mijały się z prawdą wypowiedzi niektórych polityków czy dziennikarzy. Ustawa ta wprowadza rozwiązania uwzględniające specyfikę pracy osób wykonujących zawody artystyczne, w tym często jej sezonowość i dorywczość. Nie jest też wyjątkiem, bo przywilejami w polskim systemie ubezpieczeń społecznych cieszą się liczne grupy, by wymienić jedynie przedsiębiorców czy rolników.

Same dopłaty z budżetu do KRUS w ubiegłym roku wyniosły ponad 30,2 mld złotych. Tymczasem założono, że dopłaty do ubezpieczeń artystów i artystek mają wynosić od około 238 mln zł do maksymalnie 336 mln zł rocznie. I zapewne będą mniejsze, bo na początku ustawa obejmie, według szacunków MKiDN, jedynie 21 tys. osób.

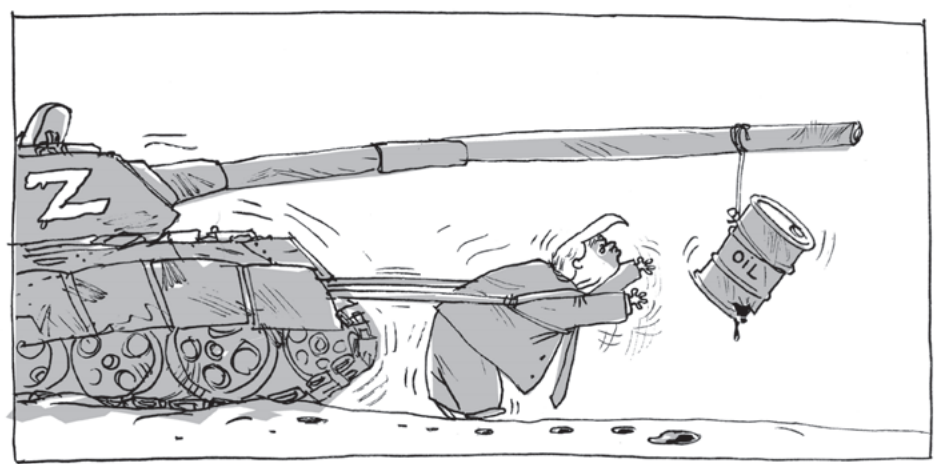
Ustawę poparło 232 posłów, przeciw było 197, od głosu wstrzymały się tylko 4 osoby. Za przyjęciem ustawy opowiedziała się niemalże cała koalicja rządowa z wyjątkiem 7 osób z klubu Centrum, a Paulina Hennig-Kloska w ogóle nie wzięła udziału w głosowaniu.

Przeciw była niemal cała opozycja. Przy poziomie obecnej polaryzacji można było spodziewać się podobnego podziału głosów. Wynik pokazuje jednak wewnętrzne problemy obozu rządowego i konflikt w gronie osób, które dawniej tworzyły Polskę 2050. A jednak dawniej posłów Prawa i Sprawiedliwości opowiedziała się za ustawą, w tym Piotr Gliński i Jarosław Sellin. Prace nad ustawą zaczęto w MKiDN za ich czasów. Warto podkreślać tę ciągłość – to jedna z niewielu spraw, w których w ostatnich latach udało się kontynuować to, co rozpoczęli poprzednicy.

Ustawa trafi teraz do Senatu, a potem po ostatecznym przegłosowaniu na biurko prezydenta. Nie ma pewności, czy zostanie podpisana. Tym bardziej ważne jest teraz budowanie szerszego porozumienia. Ustawa ma przecież zapewnić bezpieczeństwo socjalne artystkom i artystom niezależnie od ich poglądów politycznych, różnic artystycznych czy ideowych.

© PIOTR KOSIEWSKI

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

CHIŃCZYCY TRZYMAJĄ SIĘ MOCNIEJ

Stawką jest nie tylko przyszłość naszej gospodarki, ale i kwestie strategiczne, np. dostęp do surowców krytycznych, bezpieczeństwo infrastruktury oraz tempo europejskich zbrojeń. Jak wyzwolić się z uzależnienia od Pekinu?

JAKUB JAKÓBOWSKI

Jeździmy w chińskich samochodach, instalujemy w domach chińską elektronikę, chodzimy do „chińskich sklepów", a na chińskim TikToku oglądamy, jak chiński humanoidalny robot chodzi po Sejmie. Zakupowy szał – jak zresztą w całej Europie – trwa u nas w najlepsze, szczególnie że tani i przystępny „chińczyk" staje się też synonimem niezłej jakości.

Jest jednak również druga strona medalu: pogłębiające się kłopoty europejskiego przemysłu. A ten, niosąc na plecach bagaż ambitnych celów klimatycznych i ścisłych unijnych regulacji, przestaje nadążać za agresywnymi konkurentami. Którzy często omijają nasze reguły, biorąc udział w wyścigu na dopingu państwowych subsydiów czy sztucznie zaniżanej wartości chińskiej waluty. Efektem jest rosnący gwałtownie import i przemysłowa panika, która pod nazwą „chińskiego szoku 2.0" ogarnia całą Europę.

Powaga sytuacji wciąż jakby do nas nie dotarła. Państwo Środka nas ciekawi, ale dalej uznajemy je za egzotyczne i odległe. Tymczasem, nieco mimochodem, wraz z całą UE znaleźliśmy się z nim na kursie



kolizyjnym. Stawką jest nie tylko przyszłość polskiej gospodarki, ale także kwestie strategiczne, np. dostęp do surowców krytycznych, bezpieczeństwo infrastruktury i tempo europejskich zbrojeń.

Konflikt zaczyna dotykać Polski całkiem bezpośrednio, warto więc przyjrzeć się jego konturom. Nawet jeśli trudno mówić o „polityce Unii", która składa się z 27 państw, to pewne trendy stają się wyraźne – w sprawie Chin zresztą panuje większy konsensus niż kiedykolwiek wcześniej.

Pierwsze wystrzały w wojnie handlowej: dlaczego smok nas wyprzedził

„Niektórzy mówią, że nadciąga drugi chiński szok. Ale on już tu jest. Prowadzi do deindustrializacji przemysłowego serca Europy" – mówiła w tegorocznym orędziu o stanie Unii szefowa Komisji Europejskiej, Ursula von der Leyen. Choć takie głosy z brukselskich instytucji słychać było od dłuższego czasu, tym razem padły na podatny grunt w wielu stolicach. Wspólnota w istocie znajduje się w stanie przemysłowego szoku.

Jeszcze dekadę temu Europa i Chiny związane były kwitnącą relacją gospodarczą. Mówiono o wzorowej komplementarności, gdy w zamian za tanie dobra konsumpcyjne Europa mogła sprzedawać do Azji samochody i maszyny. Do czasu, kiedy z pomocą niezwykle rozbudowanej polityki, mieszającej subsydia z masowymi transferami technologii, Chiny zaczęły doganiać Zachód w najbardziej zaawansowanych sektorach przemysłu.

Wśród europejskich potęg od lat rosła frustracja, wywołana nierównym polem gospodarczej gry z Chinami. Ale długo korzyści – szczególnie po stronie wielkich koncernów samochodowych – przeważały szalę. Przemysłowe lobby, chciwe chińskiego rynku, otaczało szczelnym wianuszkiem europejskich liderów. Mimo licznych ostrzeżeń ekspertów, a także kolejnych sektorów gospodarki padających pod chińskim naporem, przywódcy krajów UE – z niemieckimi kanclerzami na czele – nadal pielgrzymowali do Pekinu, a przed Xi Jinpingiem rozwijano czerwony dywan, jeśli zechciał przybyć z rewizytą.

Wolta Niemiec najlepiej obrazuje zmianę podejścia Europy. Jeszcze dwa lata temu, w czasie unijnej „bitwy" o cła na samochody elektryczne, Berlin głosował przeciwko – i głosowanie przegrał. Na jego postawę składały się nadzieja na kontynuację krociowych zysków na chińskim rynku oraz strach przed retorsjami i odcięciem od komponentów.

Presja w Niemczech jednak rosła. Najpierw ze strony środowisk związanych z bezpieczeństwem, ekspertów i komentatorów, mówiących o zagrożeniu nadmierną zależnością od Chin. Potem ze strony padających pod ich presją niemieckich „ukrytych czempionów" w przemyśle chemicznym i maszynowym – słynnego *Mittelstand*. Na koniec przyszła pora na wielkie koncerny, dotąd spolegliwe wobec Pekinu. Kiedy Volkswagen ogłosił redukcję 100 tysięcy miejsc pracy na całym świecie, coś w Berlinie pękło – i same koncerny zaczęły zachęcać kanclerza Merza do twardszej gry.

Berlin i Paryż mają dość: czas ufortyfikować unijny rynek

Symbolicznym momentem przełomu stał się 5 października 2026 r., kiedy to Berlin i Paryż wspólnie wezwały Brukselę do postawienia się Chinom. W liście skierowanym do szefowej KE prezydent Macron i kanclerz Merz wezwali UE do stworzenia nowych instrumentów, porównywalnych do handlowej „bomby atomowej": możliwości gwałtownego odcięcia od rynku unijnego państw, które rażąco naruszają reguły konkurencji lub próbują wykoleić europejskie próby samoobrony.

Odrodzenie francusko-niemieckiego tandemu to ukoronowanie trwających od kilku lat mozolnych starań Brukseli i wielu europejskich stolic, ↦



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

↦ by odpowiednio ufortyfikować unijny rynek. UE nałożyła karne cła na ponad 200 kategorii produktów, z tego ok. 70 proc. wymierzono w Chiny. Nowe instrumenty zamykają przed nimi rynek przetargów publicznych. Unia pracuje nad wykluczeniami chińskich technologii z infrastruktury krytycznej, przymusowymi transferami technologii od chińskich inwestorów, narzędziem dywersyfikacji krytycznych dostaw, w tym metali ziem rzadkich. Europejskie młyny mielą powoli, ale biurokratyczna machina zwraca się przeciw presji Pekinu.

Kluczowym testem europejskiej determinacji – i politycznej woli – będzie Rada Europejska 15 października, gdzie mają zapaść decyzje o nowych instrumentach, w tym tych proponowanych przez Paryż i Berlin. Stawka jest niezwykle wysoka, a wynik nie jest przesądzony. Pekin nie ma bowiem ochoty oddawać walkowerem starcia o ostatni z bogatych rynków Zachodu, który wciąż stoi przed nim otworem. I szykuje zarówno twardy kij na swoich przeciwników, jak i soczyste marchewki dla przychylnych mu państw.

Chiński miecz Damoklesa: czy Pekin odetnie nas od kluczowych surowców?

Pekin od lat wyraża gorące poparcie dla projektu europejskiego, a także europejskiej „autonomii strategicznej" – przynajmniej na papierze. Jego rozumienie samodzielności Europy jest bowiem specyficzne. Kiedy UE dystansowała się od USA, była „prawdziwie autonomiczna" i chwalona. Jej asertywne kroki spotykały się jednak z chińskimi połajankami i oskarżeniami o „ślepe podążanie za USA". Europa najwyraźniej nie sprostała chińskim wyobrażeniom.

Faktem jest, że jeszcze niedawno niemrawą Unię do antychińskich działań zagrzewał, czasem dość obcesowo, sojusznik zza Atlantyku. Pekin dobrze to pamięta. I do dziś ma głębokie przekonanie, że działania Europy to element szerszego amerykańskiego spisku, wymierzonego w chińską gospodarkę. Mimo że tym razem impuls do działania idzie w przeważającym stopniu z Europy.

Dynamika w relacjach z USA sprzyja Pekinowi. Po przedłużonym niedawno w Waszyngtonie „zawieszeniu broni" między Xi Jinpingiem a Trumpem Pekin może skupić się na Europie. W Chinach panuje przekonanie, że w ubiegłorocznej wojnie celnej udało się utrzeć nosa Amerykanom. A skoro udało się z nimi, z każdym innym przeciwnikiem pójdzie z górki. Stąd przywódcy w Pekinie podchodzą do Europy nie tylko z arogancją, ale i poczuciem siły. Głównym celem jest zastraszenie i „wybicie zębów" nowym próbom ochrony unijnego rynku.

Oficjalną postawą Pekinu jest po prostu lekceważenie, co doprowadza unijnych negocjatorów do białej gorączki. Na zarzuty dotyczące drastycznej nadprodukcji w Chinach odpowiedź tamtejszych władz jest prosta: „Europa ją sobie zmyśliła". Na zarzuty o subsydiowanie swoich firm i naruszanie globalnych reguł handlu Pekin lamentuje z kolei, że to „Europa łamie zasady wolnego handlu"

Masa krytyczna

- UE i Chiny odpowiadają łącznie za prawie 30 proc. światowego handlu towarami i usługami oraz za ponad jedną trzecią światowego PKB.
- W 2025 r. wartość dwustronnego handlu towarami i usługami przekroczyła 880 mld euro.
- Chiny są trzecim co do wielkości partnerem UE w handlu towarami i usługami łącznie, a UE jest największym partnerem handlowym Chin.
- Import towarów z Chin do UE: 571,3 mld euro.
- Import usług z Chin do UE: 45,8 mld euro.
- Eksport towarów z UE do Chin: 199,5 mld euro.
- Eksport usług z UE: 67 mld euro.
- Najważniejsze towary importowane przez UE z Chin: sprzęt telekomunikacyjny i sprzęt audio, urządzenia biurowe, komputery osobiste i inne, maszyny i urządzenia elektryczne.
- Najważniejsze towary eksportowane przez UE do Chin: maszyny, samochody i pojazdy silnikowe, części do pojazdów silnikowych.
- Deficyt handlowy UE z Chinami sięga około 1 mld euro dziennie.

©℗ JS

źródła: UE, interia.pl

REKLAMA



ze szkodą dla globalnej gospodarki. Ot, diabeł ubrał się w ornat i ogonem na mszę dzwoni.

Pekin potrafi używać jednak znacznie bardziej bezpośrednich środków przymusu, a coraz mniej skrywane groźby gospodarczych retorsji wiszą nad Europą jak miecz Damoklesa. Dotąd Chiny uderzały dość precyzyjnie w nieprzychylne im europejskie rządy, nakładając np. cła na francuskie brandy, odcinając szwedzki Nordvolt od kluczowych surowców czy grożąc niemieckim koncernom. Nie mówiąc już o pokazowym ukaraniu Litwy za próbę dyplomatycznego zbliżenia z Tajwanem, w myśl starego przysłowia: „zabić kurczaka, by przestraszyć małpę".

Groźba chińskiej zemsty, często paraliżująca, blokowała – i nadal blokuje – działania wielu państw Unii. W połączeniu z polityką oferowania „marchewek" w postaci montowni samochodów i baterii bardziej spolegliwym Węgrom czy Hiszpanii, pozwalało to na skuteczną realizację starożytnej praktyki „dziel i rządź". To w pierwszej kolejności tym sposobem Pekin próbuje rozbroić Europę.

Arsenał tamtejszych władz szybko się jednak rozszerza i są one tutaj pilnymi uczniami USA – mistrza ekonomicznego i technologicznego przymusu. Kiedy w ubiegłym roku Pekin wprowadził globalne restrykcje na eksport metali ziem rzadkich, wielu Europejczyków było przekonanych, że po prostu dostaliśmy rykoszetem w amerykańsko-chińskiej wojnie handlowej. Kiedy jednak europejskie firmy, w tym zbrojeniowe, miesiącami bezskutecznie dobijały się do Pekinu o licencje na zakup krytycznych surowców, w jego opieszałości zaczęto się dopatrywać głębszych motywów.

Rozziew strategiczny: europejskie stolice i Pekin dzieli Rosja

Oprócz konfliktu handlowego, między Chinami a Europą pojawia się bowiem coraz większy rozziew strategiczny – a kością niezgody jest Rosja. Nadzieje na chińską pomoc w sprawie zakończenia konfliktu na Ukrainie, żywe na kontynencie jeszcze w 2022 r., niemal w całości uleciały. Pekin nie tylko nie był skłonny nacisnąć na Moskwę, ale jeszcze udzielił jej wymiernego wsparcia.

Rosyjska machina wojenna nie mogłaby działać bez chińskich dostaw. Europejskie wywiady donoszą o pracy chińskich inżynierów nad nowymi generacjami rosyjskich dronów.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Wraz z kolejnymi spotkaniami między Putinem a Xi Jinpingiem po rosyjskiej inwazji udział Chin w eksporcie do Rosji dóbr podwójnego zastosowania sukcesywnie wzrastał – z 20 proc. przed wojną do ponad 90 proc. obecnie. Rosyjska machina wojenna po prostu nie mogłaby działać bez chińskich dostaw, a europejskie wywiady donoszą m.in. o szkoleniu rosyjskich żołnierzy w Chinach i pracy chińskich inżynierów nad nowymi generacjami rosyjskich dronów.

Deklarowana przez Chiny „neutralność" w coraz bardziej oczywisty sposób zaczęła wyglądać jak przykrywka do wyrachowanej gry. Pekin podtrzymuje wysiłek wojenny Moskwy, by ta mogła dalej kąsać Zachód. Podczas spotkania z Kają Kallas latem 2025 r. chiński minister spraw zagranicznych powiedział wprost, że „Chiny nie mogą pozwolić sobie na przegraną Rosji w tej wojnie". A im bardziej to na Europę spada ciężar finansowania ukraińskiego wysiłku wojennego, tym bardziej działania azjatyckiego giganta uderzają w nasze wysiłki. Szczególnie że coraz częściej Chiny nie tylko dostarczają krytyczne komponenty Rosji, ale odcinają od nich Europejczyków.

Po licznych i bezskutecznych próbach przekonania Chin do pomocy w sprawie Rosji, nazwanej przez Josepa Borrella „dialogiem głuchych", Europa zmieniła taktykę. Choć napotykało to początkowo duży opór w samej UE, chińskie podmioty dostarczające komponenty rosyjskiej zbrojeniówce zaczęły być wpisywane na unijne listy sankcyjne. Przez długi czas Pekin oddawał lekko i symbolicznie, ale zmieniło się to latem 2026 r.

Wtedy to, w ramach retorsji za nową unijną listę sankcyjną, Chiny odcięły od krytycznych komponentów 14 europejskich podmiotów sektora zbrojeniowego i *dual-use*. Na celowniku znalazł się m.in. niemiecki gigant Rheinmetall, czeska Tatra, a także podmioty z Włoch, Francji czy Holandii. Straciły one dostęp nie tylko do metali ziem rzadkich, ale kilkuset chińskich komponentów z listy kontroli eksportu. Wśród podmiotów na chińskim celowników znalazł się też polski producent materiałów półprzewodnikowych Vigo Photonics oraz Politechnika Wrocławska.

Uderzając w jej zbrojeniówkę, Chińczycy chcieli wysłać Europie kilka sygnałów. Wyraźnie nie podoba im się zacieśnianie unijnych relacji wojskowych i zbrojeniowych z obszarem Pacyfiku, szczególnie z Japonią i Tajwanem. Chiny są też coraz bardziej wrogie wobec samego NATO. Żywe jest tam przekonanie, że europejski potencjał wojskowy może kiedyś, np. po pokonaniu Rosji, zostać wykorzystany przez USA do ataku na Państwo Środka. Przede wszystkim jednak, odcinając od komponentów europejskie spółki zbrojeniowe, Pekin pokazał, że jest w stanie uderzyć w najczulsze punkty Europy – a do repertuaru retorsji handlowych dodaje kontrolę eksportu w najbardziej krytycznych łańcuchach dostaw. ↦

Co na to Polska: czy nasza chata z kraja?

↦ Tej jesieni między Europą a Chinami dojdzie do wielkiej próby sił. Październikowe spotkania liderów państw UE mają przynieść rozstrzygnięcia, czy Wspólnota jest gotowa budować swój ekonomiczny arsenał wedle propozycji francusko-niemieckiego tandemu. Pekin coraz głośniej odgraża się, że będzie bezwzględnie reagował na europejskie działania – jednocześnie intensywnie „pracując" nad każdą z europejskich stolic z osobna.

Ale to dopiero początek długiej wojny w ekonomicznych „okopach", bo dla wielu europejskich branż to walka na śmierć i życie. A strategiczny rozdźwięk w sprawie Rosji tylko rośnie.

Nie możemy udawać, że nas to nie dotyczy. Chiński oddech na karku czują już tysiące polskich firm i całych sektorów, np. motoryzacyjny, meblowy, maszynowy czy chemiczny. Szereg polskich organizacji branżowych bije na alarm. Być może na tle zachodnich sąsiadów trzymamy się nieźle, ale jako część przemysłowego serca Europy jedziemy z nimi na jednym wózku – upadające europejskie koncerny mogą pociągnąć nas za sobą. Do klasycznych dla naszej ekonomicznej debaty recept „odbiurokratyzowania UE", często słusznych, trzeba dodać te dotyczące największego z naszych gospodarczych konkurentów – Chin.

Nie możemy udawać, że nas to nie dotyczy. Chiński oddech na karku czują tysiące polskich firm i całych sektorów, np. motoryzacyjny, meblowy, maszynowy czy chemiczny.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Rozlanie się europejsko-chińskiego konfliktu na obszar krytycznych dostaw to też czerwony alarm dla naszego myślenia o obronie kraju. Problemem jest nie tylko to, że uderzające w granicę z Ukrainą czy wlatujące w naszą przestrzeń drony pełne są chińskich komponentów. Pytanie, które powinniśmy sobie stawiać, to jak bardzo nasze własne zbrojenia i intensywną budowę przemysłu obronnego zdestabilizować mogłoby odcięcie od chińskich komponentów. Logika polityczna wskazuje, że to bardzo możliwe – pierwszy precedens już widzieliśmy.

Przede wszystkim musimy jednak zrozumieć, że kwestia Chin bezpośrednio nas dotyczy – naszej gospodarki, naszego bezpieczeństwa, naszej odporności. Nawet jeśli będziemy podtrzymywać pragmatyczny dialog z Pekinem, co w naszej nieciekawej sytuacji strategicznej jest pewnie potrzebne, nie możemy ignorować strukturalnego konfliktu, w jaki wpadamy razem z całą Europą. Pora kopać szańce i gotować się na długie gospodarcze zmaganie.

© JAKUB JAKÓBOWSKI

Autor jest wicedyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich, gdzie kieruje także Zespołem Chińskim, jest również wykładowcą Uniwersytetu Warszawskiego oraz Szkoły Głównej Handlowej. Obecnie przygotowuje książkę o relacjach polsko-chińskich, która ukaże się w Wydawnictwie Znak.

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Justyna Kowalczyk-Tekieli, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Paweł Pieniążek, Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Mateusz Gawron, Ewelina Lebida, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Erste Bank Polska S.A.
konto: 76 1910 1048 2102 0388 3361 0001
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

Kraków

Biblioteka Kraków







GABINET SŁAWOMIRA MROŻKA



Jedyna w Polsce kolekcja autentycznych pamiątek po pisarzu

Biblioteka Kraków zaprasza do zwiedzania Gabinetu Sławomira Mrożka

Biblioteka Główna
ul. Powroźnicza 2

Zwiedzanie z oprowadzaniem
poniedziałek, czwartek: 17:00–17:30
wtorek, środa: 12:00–12:30
sobota: 11:00–14:00

Zwiedzanie bez oprowadzania
poniedziałek–sobota:
w godzinach otwarcia Biblioteki Głównej

Oferta dla szkół i instytucji
Zapisy na zwiedzanie z oprowadzeniem oraz oglądanie filmu Marty Węgiel *Jak z Mrożka*:
gabinet_mrozka@biblioteka.krakow.pl
lub 797 301 001

Spotkania będą organizowane indywidualnie w dogodnym dla grupy terminie.

BIBLIOTEKA KRAKÓW • INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

REKLAMA

KRAJ

ŻEGNAJ, AWIZO

W oficjalnych statystykach widnieje tylko 140 wakatów na tym stanowisku. W sieci przybywa za to relacji tych, którzy swojego listonosza nie widzieli nawet od miesięcy. Czy Poczta Polska ukrywa kadrową zapaść?

MAREK RABIJ



Jeżeli brak wiadomości to dobre wiadomości, to do Poronina i kilku innych miejscowości na Podhalu taka „dobra passa" powraca z krótkimi przerwami co najmniej od wiosny. Podobnie w Lesznie i Komornikach pod Poznaniem, w dolnośląskim Lubaniu, Żukowie i Egiertowie na Pomorzu, Ożarowie Mazowieckim, Świnoujściu, Przecławiu i Niepołomicach – a nawet na warszawskiej Pradze i w co najmniej dwóch rejonach Krakowa. Wszędzie tam mieszkańcy skarżą się na trwające tygodniami problemy z doręczaniem korespondencji przez Pocztę Polską.

Nie będę ukrywał, mnie to również spotkało. Zaledwie wczoraj, 7 października, niewidziany co najmniej od miesiąca listonosz pojawił się ponownie, przynosząc pierwszy od dłuższego czasu list: fakturę z firmy energetycznej, nadaną 27 sierpnia. Natomiast list polecony, który wysłano do mnie jeszcze na początku sierpnia, kilkanaście dni temu wrócił do nadawcy z adnotacją „odmowa odbioru", choć mnie nie dostarczono nawet awiza. Sąsiedzi sygnalizują identyczne kłopoty i głowią się nad tym samym. Co się dzieje z Pocztą Polską?

„Kilka tysięcznych części"

Biuro prasowe PP w odpowiedzi na pytanie o problemy z listonoszami przysłało krótkie, niepodpisane niczyim nazwiskiem oświadczenie, z którego wynika, że „obecnie do obsadzenia pozostaje ok. 140 wakatów", ale to „zaledwie kilka tysięcznych części całkowitego zatrudnienia w tej grupie zawodowej", liczącej obecnie około 18 tysięcy osób. Słowem – sytuacja pod kontrolą. Zwłaszcza że „na koniec 2025 r. liczba wakatów na stanowisku listonosza wynosiła 405". Jedyny kadrowy problem tworzą „okresowe nieobecności pracowników, które mogą czasowo utrudniać obsadę konkretnych rejonów" – zapewniają pocztowcy. Doniesienia o niedostarczonej, zagubionej i zwróconej korespondencji, czy o listonoszu, którego nikt nie widział od kilku tygodni, stanowią więc zdaniem przedstawicieli spółki zrozumiałe, choć przesadzone reakcje na coś, co jest raczej wyjątkiem niż normą. Zwłaszcza że – jak wynika z lipcowego komunikatu Poczty – terminowość doręczania listów poleconych wzrosła jej z 94,1 proc. w I kwartale obecnego roku do 97,3 proc. w II kwartale.

Gdy cytuję te dane Bogumiłowi Nowickiemu z NSZZ Solidarność Poczty Polskiej, związkowiec zaczyna się śmiać. – Papier wszystko przyjmie – mówi. – Kilka miesięcy temu, pod koniec kadencji prezesa Sebastiana Mikosza, firma przeprowadziła reorganizację, która polegała na połączeniu dotychczasowych rejonów pocztowych w większe struktury, zwane obszarami. Czyli, mówiąc już dosłownie, policzyli, ilu listonoszy potrzeba do obsługi danego obszaru, ale w taki sposób, żeby wyszło, iż brakuje ich jak najmniej. A że nie ma to większego związku z rzeczywistością i nawet mając obsadzone te 140 wolnych stanowisk Poczta nadal nie będzie się mogła należycie wywiązać z poleconych zadań? Moim zdaniem zarząd zdaje sobie z tego sprawę, ale jego priorytetem jest wynik finansowy, bo za firmą ciągnie się odium nieefektywnego molocha, który przepali każdą kasę. Jakość usługi powszechnej, którą jest doręczanie korespondencji, zeszła na dalszy plan.

Ilu listonoszy brakuje więc realnie? Przed odpowiedzią Nowicki bierze głębszy wdech. – Tak, żeby to miało ręce i nogi? Robiliśmy wstępne szacunki, z których wynika, że potrzeba około 800-900 dodatkowych etatów na tym stanowisku – zapewnia.

W 2010 r. Poczta Polska zatrudniała 27 200 listonoszy. W 2022 było ich już tylko 22 479. Obecnie – około 18 tysięcy. Znamienne jest, że spółka nie podaje już dokładnej liczby zatrudnionych na tym stanowisku. Jeszcze w sierpniu chwaliła się, że w całym kraju brakuje jej zaledwie 90 listonoszy. Na przestrzeni niespełna dwóch miesięcy liczba nieobsadzonych etatów wzrosła jej więc o ponad 50 proc., do 140. Choć sami związkowcy podkreślają, że doceniają wysiłki centrali, która próbuje ograniczyć fluktuacje zatrud-



PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

W ciągu ostatnich 15 lat liczba listonoszy Poczty Polskiej spadła z ponad 27 do 18 tysięcy.

nienia, to ich zdaniem skala zjawiska jest nadal zbyt wysoka, aby doraźnymi działaniami poprawić skuteczność doręczeń. Nowicki jako przykład podaje niedawną sytuację w jednym z oddziałów, w którym świeżo zatrudniony listonosz, ujrzawszy czekający na niego stos zaległych listów do rozniesienia, poinformował przełożonych, że musi na chwilę wyskoczyć do domu po drugie śniadanie.

– Tyle go widziano – mówi związkowiec.

Zwykłe mogą poleżeć

Gdy blisko 40 lat temu Nowicki rozpoczynał pracę w Poczcie Polskiej, rejon jednego listonosza składał się z kilkuset potencjalnych adresów do obsługi. Dziś przeciętnemu rewirowi bliżej zwykle do dwóch tysięcy, a z ostatniej reformy, która wprowadziła obszary pocztowe, wyłoniły się molochy liczące nawet po kilka tysięcy miejsc doręczenia.

Pocztowi planiści na papierze dołożyli listonoszom roboty w przekonaniu, że w rzeczywistości będzie jej coraz mniej. Jak podaje Urząd Komunikacji Elektronicznej, w ciągu zaledwie jednej dekady pomiędzy rokiem 2015 a 2025 liczba przesyłek listowych w Polsce spadła z 1,47 mld do zaledwie 731 mln. W korespondencji coraz większe znaczenie ma bowiem komunikacja elektroniczna. Operatorzy telekomunikacyjni, kablówki czy dostawcy energii – preferują faktury elektroniczne i z roku na rok redukują liczbę rachunków wysyłanych w kopercie. Urząd Skarbowy, ZUS, Narodowy Fundusz Zdrowia, w zasadzie każda z instytucji porządkujących życie publiczne także ma w sieci swoje okienko do obsługi petentów, z własną skrzynką na wiadomości.

Na dodatek od października tego roku każdy przedsiębiorca, nawet samozatrudniony, musi posiadać konto w pocztowej usłudze e-Doręczeń. Ma ona w kontaktach z administracją publiczną całkowicie zastąpić tradycyjne, papierowe listy polecone za potwierdzeniem odbioru, a kiedyś być może nawet stanie się ich cyfrowym zamiennikiem także w korespondencji prywatnej. Pomysł, który stał za reorganizacją Poczty, zakładał, że listonosze, którzy w swoim dotychczasowym rejonie mają spokojniejszy dzień, odciążą w pracy swych kolegów, na których akurat spadł nawał korespondencji. Problem w tym, że większość z trudem wyrabia już na swoim rejonie. Listów jest mniej, ale przybywa paczek i przesyłek, które trzeba awizować. Regularnie zdarzają się też sytuacje, kiedy listonosz zwalnia się, rzucając nagle papierami, albo bierze dłuższe zwolnienie lekarskie. Jego rejon idzie wtedy „do rozbiórki", czyli zostaje rozparcelowany między pozostałych. Tymczasowo. Czyli w praktyce na czas bliżej nieokreślony, do momentu, aż znajdzie się nowy chętny.

Z wynagrodzeniem na poziomie 800 zł powyżej krajowej minimalnej (obecnie to 4806 zł brutto) Poczta nie jest atrakcyjnym pracodawcą i nawet nie próbuje takiego udawać. Nienajładniejsze polskie słowo „benefit" nabiera tu innego kształtu niż za drzwiami wielkomiejskich biurowców. Zamiast karty wstępu do klubów fitness czy abonamentu prywatnej lecznicy jest wsparcie dla osób w trudnej sytuacji bytowej. Nie ma owocowych czwartków, ↦

↦ bo... są wolne weekendy. Wynagrodzenie? Nawet nie „adekwatne do doświadczenia", jak w rekrutacyjnej mantrze powtarza większość ogłoszeń o pracę. Na listonosza Poczta Polska weźmie dziś praktycznie każdego chętnego, o ile tylko nie figuruje w rejestrze skazanych i zdrowie pozwala mu podjąć się takiego zadania. Ale i tak chętnych brak.

Waldemar, listonosz z małej podpoznańskiej miejscowości: – We wrześniu byłem na urlopie. W tym samym czasie zachorowała na dłużej także koleżanka i z czterech osób, które w naszej okolicy obsługują jakieś cztery tysiące adresów, nagle zrobiła się dwójka. Jak po dwóch tygodniach wróciłem do pracy, w urzędzie mieliśmy trzy tysiące niedostarczonych przesyłek. Przełożeni mówią nam już wprost: w pierwszej kolejności bierzcie do wydania polecone, zwłaszcza korespondencję z sądów. No i paczki, bo z nich jest więcej kasy. Zwykłe niech leżą.

„Nie mam listów, mam znicze"

Problemem, na który w rozmowie z „Tygodnikiem" wskazuje kilku byłych i obecnych listonoszy, jest właśnie organizacja pracy. Etat to osiem godzin, a firma restrykcyjnie przestrzega tego wymiaru, zdaniem pracowników głównie po to, by uniknąć wypłat za nadgodziny. W te etatowe ramy Poczta wtłacza dziś listonoszom coraz więcej obowiązków, które zabierają czas na pracę w terenie.

– Trzydzieści pięć lat temu, jak zaczynałem chodzić z pocztą, na jeden list z potwierdzeniem odbioru przypadało tak z dziesięć zwykłych – ocenia Waldemar. – Teraz myślę, że ta proporcja zbliża się już do: pół na pół. Z każdego poleconego ze zwrotką trzeba się po pracy rozliczyć, wprowadzić do systemu. A ja mam już pod sobą dwa rozległe rejony wiejskie. Każdego dnia robię samochodem po 80-85 kilometrów i w grafiku mam nadal zapisane, że sortowanie korespondencji przed i po pracy w terenie zajmie mi maksymalnie 1,5 godziny. Oczywiście trwa to znacznie dłużej. Najgorsze są poniedziałki, kiedy zwala się nam na głowy poczta z końcówki tygodnia i z weekendu.

Świeżo zatrudniony listonosz, **ujrzawszy czekający na niego stos zaległych listów,** powiedział, że musi na chwilę wyskoczyć do domu po drugie śniadanie. Tyle go widziano.

Artur, listonosz z 23-letnim stażem, obecnie pracujący na dalekich przedmieściach Warszawy: – Każdy listonosz, który jeździ z pocztą samochodem czy rowerem, ma co miesiąc sprzedać towaru za minimum 300 zł. Za chwilę Wszystkich Świętych, więc teraz namawiają nas, żeby brać w teren jak najwięcej towaru cmentarnego. No to chłopaki biorą więcej zniczy i mniej listów, bo o sprzedaż kierownictwo pyta, i z tego ich rozliczają. Listy ich aż tak nie interesują. Nikt nie dba też o to, żeby zaległą korespondencję wypchnąć z urzędu możliwie najszybciej. Dziś rano na przykład miałem osiem nowych listów na jedną ulicę. Chciałem zabrać od razu te zaległe z poprzednich dni, ale szefowa kazała je zostawić. Bieżąca poczta ma pierwszeństwo.

Siedem jutowych worków

W dolnośląskim Lubaniu, gdzie mieszkańcy od lat skarżyli się na znikające przesyłki, w tym korespondencję sądową i urzędową, do akcji wkroczył w końcu prokurator. W wyniku śledztwa prawomocnym wyrokiem skazano jednego listonosza. W miejscowej siedzibie Poczty policja odnalazła siedem jutowych worków z korespondencją, która nigdy nie wyszła do odbiorcy. Pod koniec ubiegłego roku, po zakończonym dochodzeniu, funkcjonariusze ponownie przekazali to *corpus delicti* pocztowcom, w nadziei, że tym razem dotrze do adresatów. Tymczasem dziewięć miesięcy później – jak ujawnili niedawno dziennikarze TVN – korespondencja nadal leży na poczcie. Worków nawet przybyło, co może świadczyć o tym, że problem uznano już za rozwiązany po skazaniu jednego pracownika.

Od rynku do etosu

Polowanie na winnych bałaganu w Poczcie Polskiej byłoby z pewnością spektakularnym widowiskiem. Wielu mogłoby wręcz ucieszyć, ale raczej nie przyniesie odpowiedzi na pytanie, co z tą instytucją dalej zrobić. Problemy firmy nie biorą się wyłącznie z błędnych decyzji czy zaniedbań, choć i jednych, i drugich nie brakowało. Poczta jest też ofiarą polityki, która przez lata nie potrafiła znaleźć odpowiedzi na pytanie, na jakich warunkach wpiąć tego monopolistę w wolny rynek.

Ostatnie ekipy rządzące tym państwowym molochem postawiły na ustabilizowanie jego płynności finansowej. W 2023 r. Poczta miała rekordową stratę netto na poziomie 621 mln zł i znalazła się na skraju niewypłacalności. W kolejnym udało się ją ograniczyć do 213 mln zł, a w zeszłym roku spółka pokazała nawet na papierze zysk rzędu 680 mln zł. Na plus udało się jednak wyjść głównie za sprawą zaksięgowania dwóch państwowych dotacji celowych na lata 2023 i 2024. Wynik z działalności podstawowej, na którą wciąż w głównej mierze składa się obsługa korespondencji, pozostał na bardzo dużym minusie, przekraczając 600 mln zł. Restrukturyzacja trwa, mimo że już kilka lat temu spółka przestała być największym pracodawcą w kraju, oddając to miano właścicielowi sklepów Biedronka.

Poczta nie może jednak pójść śladem duńskiej odpowiedniczki i całkowicie porzucić mocno niedochodową obsługę przesyłek listowych. Polska to nie Dania, niewielki kraj o tkance głównie miejskiej, a do tego z jednym z najwyższych w świecie współczynników cyfryzacji. Z Digital Post korzysta blisko 95 proc. pełnoletnich Duń-

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Wieliczce pod sygn. akt I Ns 620/24 toczy się postępowanie z wniosku Elżbiety Radwańskiej z udziałem: Wojciecha Radwańskiego, Jadwigi Radwańskiej i Agnieszki Radwańskiej-Sołtys o stwierdzenie, że Jerzy Radwański, s. Juliana i Zofii, stał się z dniem 4 listopada 1971 r. z mocy samego prawa, właścicielem nieruchomości składającej się z działki ewidencyjnej nr 990, położonej w Brzeziu, obręb gminy Kłaj, objętej Lwh nr 883 – Brzezie.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i wykazali swoje prawa do wskazanej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie będą pominięci w dalszym toku postępowania.

czyków, dlatego tamtejszy parlament mógł z końcem ub. roku zdjąć ze swojej poczty kosztowny, ale w gruncie rzeczy już zbędny obowiązek realizacji usługi powszechnej. W Polsce z systemu e-Doręczeń, czyli zalążka cyfrowej poczty, korzysta – nie licząc przedsiębiorców – ok. 2,5 mln osób fizycznych. To raptem 8,3 proc. dorosłej populacji kraju. Około 18 proc. polskich emerytów, blisko milion osób, nadal woli też dostawać wypłatę z ZUS od swojego listonosza, nie na konto. Ubywa ich z każdym rokiem, ale jeszcze przez co najmniej dekadę Poczta nie będzie mogła wycofać się z takiej usługi, nie narażając przy tym na kłopoty ludzi, którzy z racji wieku nie radzą sobie w świecie kart płatniczych, szybkich przelewów i e-zakupów.

Problem polega wreszcie na tym, że listonosz to nie tylko pracownik firmy, która powinna na siebie zarobić, i nie tylko chodzący dowód na to, że państwo wciąż funkcjonuje jak należy. To także ważny składnik lokalnego aparatu społecznej kontroli. Krążąc od domu do domu, może łatwo wypatrzeć patologie. To on często pierwszy wszczyna alarm, kiedy na przykład samotna starsza pani kilka dni z rzędu nie wpuszcza go z emeryturą. Dla ofiar społecznego wykluczenia, takich jak słynni „więźniowie czwartego piętra", listonosz bywa trudnym do wycenienia w wolnorynkowych kryteriach źródłem relacji międzyludzkich. Słowem – jest po prostu członkiem lokalnej społeczności, wśród której i na rzecz której pracuje.

■■■

Artur: – Jakiś czas temu kazali nam sprzedawać pocztówki świąteczne. Wiadomo, kto je teraz wysyła, głównie ludzie starsi. Na poczcie jedna kartka kosztowała 50 groszy. W terenie mieliśmy je sprzedawać po złotówce. Odmówiłem. Powiedziałem kierowniczce, że nie będę wciskać ich z dwukrotną przebitką ludziom, którym często na koniec miesiąca zostaje dwadzieścia złotych. Wiem przecież, ile emerytury im przynoszę.

Możliwe, że bez listonoszy Poczta faktycznie będzie zdrowszym organizmem. Polska niekoniecznie musi być jednak lepszym krajem.

©℗ MAREK RABIJ



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Zdążyć na czas

CEZARY ŻECHOWSKI, PSYCHIATRA, PSYCHOTERAPEUTA:

ZDROWIE | Studentom pokazuję renesansowy obraz, na którym dzieci są miniaturkami dorosłych. Jakby były takie same, tylko mniejsze. I wyjaśniam, że podobnie traktowane są problemy psychiczne dzieci.

ANNA GOC: Gdyby zadzwonili do Pana rodzice nastolatki z lękiem i odmową chodzenia do szkoły, że potrzebują szybkiej i bezpłatnej pomocy, bo na płatną ich nie stać, co by im Pan powiedział?

DR CEZARY ŻECHOWSKI: Żeby poszukali najbliższego Ośrodka Środowiskowej Opieki Psychologicznej i Psychoterapeutycznej (OŚOPiP). Po reformie psychiatrii dzieci i młodzieży z 2021 roku ośrodki te działają na terenie całego kraju, w województwie mazowieckim jest ich ponad sto.

Wiem, że pierwsze objawy to trudny moment dla rodziców. W ośrodku znajdą specjalistę, który im pomoże i jeśli będzie taka potrzeba – pokieruje dalej.

Dalej, czyli gdzie?

Ośrodki są pierwszym z trzech tzw. poziomów referencyjnych w psychiatrii dzieci i młodzieży, które wprowadziła reforma. Kolejnym są poradnie zdrowia psychicznego i oddział dzienny, a ostatnim – szpital psychiatryczny.

Czyli nie jest aż tak źle, jeśli chodzi o dostępność wsparcia psychiatrycznego?

Na pewno mamy więcej psychiatrów dziecięcych, zmniejszyły się też różnice terytorialne, jeśli chodzi o dostępność ↦

↦ specjalistów. Problemem jest jednak to, że placówki, które działają w ramach trzech poziomów referencyjnych, nie tworzą integralnego systemu.

Co to oznacza dla dzieci?

Wyobraźmy sobie taką sytuację: młody człowiek w kryzysie trafił do poradni zdrowia psychicznego albo na oddział dzienny. Nasz zespół pracuje z nim przez kilka miesięcy, ale objawy się zaostrzają i konieczne jest włączenie leczenia szpitalnego. Nastolatek z poradni, czyli z drugiego poziomu leczenia, trafia do szpitala, czyli do trzeciego poziomu. I tam jest nowym pacjentem.

Oznacza to, że szpital nie zwróci się do nas – czyli do zespołu, który przez ostatnie miesiące pracował z dzieckiem, ma już o nim wiedzę i przydatną dokumentację. A my jako zespół nie wymienimy informacji ze szpitalem o dalszym jego leczeniu, które moglibyśmy wykorzystać, jeśli wróci do nas.

Chodzi o to, że każda z tych jednostek jest oddzielnie finansowana?

Tak, co więcej – system leczenia oraz wsparcia dzieci i młodzieży jest nastawiony na finansowanie i realizowanie świadczeń. Im więcej tych świadczeń, tym lepiej. Nie towarzyszy temu jednak odpowiedzialność za losy dziecka. Każda jednostka rozlicza się oddzielnie i działa w izolacji. I dlatego nikt nie widzi całej drogi zdrowienia dziecka. To jest dramat tego systemu.

Rodzice, którzy szukają pomocy, krążą między różnymi instytucjami, odbijają się od nich, zdarza się, że zapisują się do kilku jednocześnie, a nawet – że słyszą odmienne diagnozy.

Psychiatria środowiskowa ma na to pomysł: centra zdrowia psychicznego, które powstają w całym kraju w ramach pilotażu od 2018 r. Odpowiadają za wybrane terytorium, zapewniają szybką dostępność, wszystkie formy wsparcia, jeden zespół terapeutyczny i są finansowane na zasadzie ryczałtowej. Tyle że są dostępne tylko dla dorosłych.

Dlaczego nie ma podobnych centrów dla dzieci?

O ich utworzenie postulujemy od dawna, na razie bezskutecznie. Psychiatrię dzieci i młodzieży traktuje się jako „dodatek" do psychiatrii dorosłych. Dziedzinę mniej ważną. Moim studentom pokazuję czasami renesansowy obraz, na którym dzieci są przedstawione jako miniaturki dorosłych. Jakby były takie same, tylko mniejsze. I wyjaśniam, że podobnie traktowane są problemy dzieci – jak miniatury problemów dorosłych, a tak przecież nie jest. Podobnie traktowana jest specjalizacja, którą wybrali, jako miniatura psychiatrii dorosłych.

Dostępność, szybka pomoc, ciągłość leczenia jest równie ważna, a może nawet ważniejsza w psychiatrii dzieci i młodzieży, bo od tego może zależeć ich dorosłe życie.

Odbijanie się od instytucji bywa dramatyczne. Nie mogę podać konkretnych przykładów ze względu na ochronę pacjentów, ale mam w pamięci niewidomą matkę i jej wyniszczoną anoreksją córkę, które prowadziły się pod rękę i razem szukały pomocy. Czy rodzinę, w której wszyscy złożyli się na jedną prywatną wizytę u psychiatry dla dziecka.

Podobno zrobił Pan centrum zdrowia psychicznego dla dzieci i młodzieży, ale na własną rękę.

Stworzyliśmy Środowiskowe Centrum Zdrowia Psychicznego dla Dzieci i Młodzieży przy Szpitalu Wolskim, które działa jak CZP. W dwóch budynkach i w ramach jednego zespołu mamy: OŚOPiP, poradnię zdrowia psychicznego dla dzieci i młodzieży oraz kliniczny oddział dzienny rehabilitacji psychiatrycznej. Czyli połączyliśmy to, co ministerialna reforma podzieliła na dwa poziomy referencyjne. Problem polega na tym, że – zgodnie z wytycznymi MZ i NFZ – musimy każdą z tych jednostek rozliczać osobno, mamy więc sporo czasochłonnych formalności. To jest trudne. I tu tracimy czas. W tej chwili zmierzamy w kierunku stworzenia wspólnego zespołu psychologów i psychoterapeutów, który integrowałby oddziaływania różnych poziomów, ale to wciąż przyszłość.

I co na to Ministerstwo Zdrowia?

Bardzo bym chciał, żeby urzędnicy ministerstwa wzięli pod uwagę to, co mają do powiedzenia lekarze psychiatrzy i inni specjaliści, którzy są najbliżej pacjentów. Powtarzamy sobie jednak, że dostaliśmy tyle pieniędzy na leczenie dzieci i młodzieży, ile dostaliśmy. Mamy tylu lekarzy, ilu mamy. I w tych ramach musimy działać najlepiej, jak potrafimy.

Zespół leczenia środowiskowego, o którym ministerialna reforma nawet nie wspomina, zorganizowaliśmy dzięki wsparciu miasta Warszawy i Szpitala Wolskiego.

Dzieci i młodzi ludzie w kryzysie psychicznym mają czasami problemy z wyjściem z domu. I wtedy to my musimy do nich pojechać – nie tylko do domu, także do szkoły czy do klubu sportowego, jeśli jest taka potrzeba. Widziałem takie zespoły w norweskim Tromsø, brałem udział w ich pracy i wiem, że to bywa bezcenne rozwiązanie. Już z naszych doświadczeń możemy powiedzieć, że i pacjenci, i rodzice są nam przychylni, nigdy nie spotkaliśmy się z oporem, z tym, że ktoś nie chciał nas wpuścić.

Być może trzeba częściej mówić o efektach takiego podejścia, żeby reformy ministerialne były bliżej tych rozwiązań, które naprawdę się sprawdzają. O leczeniu psychiatrycznym słyszymy najczęściej, że jest niedostępne.

Po wprowadzeniu psychiatrii środowiskowej w Norwegii liczba hospitalizacji spadła o dwie trzecie. Młodzi pacjenci otrzymują tam pomoc w swoim środowisku, bez rozrywania więzi z najbliższymi. Funkcjonują we własnej sieci społecznej, która potrafi się zmobilizować, żeby je wesprzeć. Tak działa psychiatria środowiskowa i takie są jej efekty.

Które grupy dzieci i młodzieży są najbardziej zagrożone kryzysami psychicznymi?

Z naszej klinicznej praktyki wynika, że to dzieci w spektrum neuroróżnorodności. Szacujemy, że w naszym dziennym oddziale psychiatrycznym to blisko osiemdziesiąt procent pacjentów, a w poradniach – ponad sześćdziesiąt.

Nie są to jednak osoby, które były chore wyjściowo. Tylko nie rozpoznano na czas ich potrzeb, także w szkołach.

To znaczy?

Załóżmy, że mamy dziecko, które jest nadwrażliwe na bodźce słuchowe albo wzrokowe. Przy ich nadmiarze zaczyna się denerwować, ma napady paniki. Wycofuje się. Albo dziecko, które ma problemy z interpretacją pewnych sygnałów

społecznych, z nawiązywaniem relacji. Ma trudności z rozpoznaniem, jak to robić na określonych przez większość zasadach, i też zaczyna się wycofywać.

Brak wiedzy o potrzebach tych dzieci i dostosowania się do nich może doprowadzić do tego, że ich stan będzie się pogarszał. Potem te osoby – z zaburzeniami lękowymi, depresyjnymi – trafiają do nas. Nierzadko po próbach samobójczych, po licznych wcześniejszych hospitalizacjach.

Możemy leczyć depresję i zastanawiać się, co zrobić, żeby było mniej samobójstw, ale najpierw należałoby rozpoznać potrzeby tych dzieci, które mają duży potencjał rozwojowy, i dopasować do nich np. program edukacyjny.

Inne dzieci szybko zauważają odmienność kolegi czy koleżanki?

Wiemy z badań, że wystarczy kilkadziesiąt sekund, by osoba nieautystyczna, także dziecko, rozpoznała spektrum kolegi czy koleżanki i zaczęła się wycofywać z tej relacji.

Dzieci najpierw rozpoznają nieelastyczne zachowania kolegi i pewne jego trudności. Dość szybko jednak odkrywają, że ta nieelastyczność jest „niegroźna", i dają o tym znać innym ewolucyjnie ukształtowaną reakcją, czyli śmiechem. Obśmiewanie ma zakomunikować otoczeniu – on jest niegroźny. Stąd już prosta droga do tego, żeby rozpętał się hejt.

O samotności tych dzieci słyszymy w gabinetach. Pamiętam dziewczynkę, która wyznała, że już nawet nie chce mieć przyjaciółki, tylko chciałaby po prostu przynależeć do grupy. Albo chłopca, który opowiadał, że dzieci najpierw mu zarzucały, że nie patrzy w oczy. A gdy próbował, że patrzy źle, bo wwierca się w nie spojrzeniem.

Nad tym trzeba pracować. Uczyć empatii, tolerancji, szacunku dla różnorodności. Dlatego dzięki jednemu z programów europejskich objęliśmy warsztatami wszystkie szkoły, przedszkola, a nawet żłobki na Woli, a później także znaczną część Warszawy. Zespół, który prowadzi warsztaty, włącza także ekspertów „przez doświadczenie", którymi są rodzice. Czyli rodzice, którzy przeszli kryzys własnego dziecka, prowadzą grupy wsparcia dla dorosłych, którzy są w kryzysowych sytuacjach ze swoimi dziećmi.



ARCHIWUM PRYWATNE

CEZARY ŻECHOWSKI jest psychiatrą, psychoterapeutą, wykładowcą akademickim, kieruje Środowiskowym Centrum Zdrowia Psychicznego dla Dzieci i Młodzieży w Szpitalu Wolskim w Warszawie, jest ordynatorem oddziału rehabilitacji psychiatrycznej dla młodzieży. Dwukrotny laureat Nagrody im. Profesora Stefana Ledera za szczególne osiągnięcia w psychoterapii, przyznawanej przez Polskie Towarzystwo Psychiatryczne.

Z drugiej strony: mamy dyskusję, z której wynika, że społeczeństwo jest przediagnozowane.

Nie zgadzam się, że diagnoz jest za dużo. Powiedziałbym, że raczej nadmiernie rozbuchana jest dyskusja niektórych psychoterapeutów z bardzo dowolnym użyciem języka psychopatologii. Coraz więcej z nich, mimo braku wiedzy i praktyki klinicznej, zabiera się za leczenie zaburzeń.

Niedawno trafiła do naszego szpitala dziewczynka, która była przez dwa lata w psychoterapii i psychoterapeuta nie rozpoznał u niej mutyzmu wybiórczego. Zaburzenie to polega na tym, że dziecko rozmawia z domownikami, ale poza domem milczy albo wypowiada pojedyncze słowa, króciutkie zdania. I te sytuacje poza domem wywołują w nim ogromny stres. Więc mogą się pojawić kolejne zaburzenia: lękowe, depresyjne, odżywiania.

Nie twierdzę, że relacja psychoterapeutyczna nie jest wspierająca. Tylko pytam, co ten psychoterapeuta robił przez dwa lata? Jakie ma wykształcenie, że tego nie zauważył? I takie sytuacje są nagminne. Dlatego uważam, że psychoterapeuci powinni zdawać bardzo trudny egzamin z psychopatologii, jeżeli się biorą za pracę z osobami, które wymagają leczenia.

Jak się leczy mutyzm?

Przede wszystkim w terenie – w szkole i w środowisku, gdzie dziecko przeżywa stres. Trzeba nawiązać kontakt z jego grupą rówieśniczą i tam w malutkich grupach nad tym pracować, uruchamiać proces mówienia. To jest ogromna praca; bez szkoły i środowiska dziecka się nie obejdzie. Psychoterapia też jest potrzebna, ale jako jeden z elementów.

To zapytam o jeszcze jedną grupę: dzieci „na granicy diagnozy".

Jako psychiatrzy jesteśmy w stanie określić, na czym polegają trudności dziecka, bo mamy wiedzę psychiatryczną. Postawienie diagnozy nie powinno więc stanowić problemu, choć bywa czasochłonne. I ma ogromne znaczenie dla rozwoju dziecka. Bo im wcześniej rozpoznamy objawy, tym szybciej możemy pomóc.

Jeżeli dziecko ma objawy spektrum autyzmu, to jako specjaliści mamy określone metody diagnostyczne – kwestionariusze, procedurę badawczą, wywiad. Jeśli ktoś mówi, że „dziecko jest na granicy diagnozy", być może nie ma wiedzy, by ją postawić, albo nie wie, co robić dalej. Przyjrzałbym się tej osobie na miejscu rodziców i zastanowił, czy trafiliśmy do właściwej, bo w zasadzie nie mówi nam nic. Może być to i to, i tamto.

Choć warto dodać, że w przypadku dzieci i młodzieży zdarza się, że diagnoza się zmienia.

Jak często?

Jeśli chodzi o spektrum autyzmu, badania pokazują różne wyniki, ale średnio nawet 30 proc. diagnoz może się zmienić w dorosłości.

Diagnozujemy nie po to, żeby etykietować dziecko, tylko żeby mu pomóc. Samo bycie w spektrum nie jest zaburzeniem, natomiast staje się nim wtedy, gdy pewne cechy są na tyle silne, że zaczynają destabilizować codzienne funkcjonowanie, są źródłem cierpienia. Dlatego powtarzam w naszym zespole w szpitalu, że musimy zrobić wszystko, by z tej magmy, którą jest brak diagnozy i wiedzy klinicznej, wyjść. ©℗ Rozmawiała ANNA GOC

Piknik za kratą

TEKST I ZDJĘCIA:
JACEK TARAN

REPORTAŻ | Dziecko nie popełniło przestępstwa, a jednak ponosi konsekwencje wyroku rodzica. Czy odwiedziny w pełnym krat więzieniu mogą nieść mu radość i mieć głębszy sens?



Na zabytkowym dziedzińcu rozłożono koce, wokół których gromadzą się rodziny. Dzieci wspólnie z ojcami biegają za piłką, puszczają bańki mydlane, rzucają ringo. Barokowe mury dawnego klasztoru rzucają przyjemny cień.

Trudno wyobrazić sobie mniej oczywiste miejsce na rodzinny piknik. Za murami, które otaczają dziedziniec, są cele, korytarze, zamykane drzwi i surowe procedury, przez które przechodzą wszyscy. To Zakład Karny w Nowym Wiśniczu, a dzieci wraz z mamami przyszły tutaj spotkać się ze swoimi ojcami.

Pięć dni przed komunią

Michał ma 32 lata. Odbywa drugi wyrok. – Za pierwszym razem trudno mi było to znieść, zwłaszcza na początku – wspomina swój pobyt w więzieniu w 2019 r., który trwał nieco ponad rok. Dla Karoliny, jego żony, był to bardzo trudny czas. Miała wtedy niewiele ponad 20 lat i małe dziecko.

– Największą trudnością było zorganizowanie całego dnia. Ze wszystkim byłam sama jak palec – wspomina. Nie utrzymywała wtedy kontaktów ani ze swoją rodziną, ani z rodziną Michała. Dużo płakała, zdarzało się, że nie miała siły wstać z łóżka. Myślała o rozwodzie, złożyła nawet pozew. Załatwiła też rozdzielność majątkową, bo Michał narobił długów.

Po jego wyjściu zaczęli spotykać się na nowo, poszli na terapię dla par. Powoli odbudowywali relację, a Karolina nawiązała kontakt z rodziną Michała. To właśnie ten czas, który spędzili razem po pierwszym wyroku, Michał uważa za fundament ich związku. – Mamy silną relację, którą udało nam się zbudować, kiedy byłem na wolności. Trzeba ją wzmacniać, żeby wytrzymać.

Od kwietnia 2025 r. znów jest w więzieniu, z podobnym wyrokiem. To trauma zwłaszcza dla 10-letniej Julii, bo Michała zamknięto pięć dni przed jej pierwszą komunią. – Płakała, pytała, gdzie jest tata, dlaczego wciąż go nie ma – wspomina Karolina. – Na przyjęciu nikt nie mówił o tym wprost, ale przecież wszyscy wiedzieli.

Julia wie już, że tata jest w więzieniu. Czteroletni Jakub myśli, że wyjechał do pracy. To samo Karolina mówiła wcześniej córce.

Zwykłe widzenia odbywają się trzy razy w miesiącu, ale nie jest łatwo budować wtedy relację, trudno o szczerą rozmowę, intymność. Siedzą przy stoliku, nie można wstać, pospacerować, zrobić czegoś razem, jak w normalnym życiu.

Michał chce ten czas odzyskać po wyjściu na wolność. Marzą mu się wspólne wycieczki w góry i wędrówki, podczas których będą się ze sobą „docierać na szlaku". Kiedy rozmawiamy, podbiega Jakub z kawałkiem plasteliny. – Tato, zrób mi taką ładną kulkę – prosi. Michał bierze bezkształtną masę i przez dłuższą chwilę skupia się wyłącznie na prośbie syna.

Dzieci nie wiedzą, dlaczego ich tata jest w więzieniu. Na razie Michał nie chce im o tym mówić, ale wie, że w przyszłości będzie musiał. On sam nauczył się traktować więzienie z dystansem; najważniejsze, by starać się tu żyć w zgodzie z innymi. – To trochę jak obóz letni. Trzeba tylko samemu umieć zaplanować czas, coś robić, zająć czymś głowę, żeby nie oszaleć – mówi.

Matka Michała umarła, gdy był bardzo mały. Nie pamięta jej. Zajmował się nim ojciec: „tak jak potrafił, a chyba nie potrafił".

Dziś w więzieniu może korzystać z pomocy psychologa. To dla Michała ważne spotkania i czasem zastanawia się, czy gdyby miał taką możliwość jako dziecko, jego życie potoczyłoby się inaczej. Jednej rzeczy chce najbardziej dla swych dzieci: – Żeby nie poszły moją drogą.

To, co niewypowiedziane

W ten wyjątkowy dzień widzenie z rodziną wygląda inaczej. Dzieci mogą bawić się z ojcami, przytulać – co jest zazwyczaj zakazane. Na koniec rodzice napiszą list do dzieci i siądą przy rozwiniętej na całym placu roli papieru, żeby narysować swoje marzenia.

Spotkanie jest częścią projektu „Wypowiedzieć Niewypowiedziane. Sztuka



Piknik rodzinny na terenie Zakładu Karnego w Nowym Wiśniczu. 29 sierpnia 2026 r.

własnej narracji", realizowanego w Polsce w ramach działań Children of Prisoners Europe, czyli sieci organizacji pozarządowych, działających na rzecz dzieci, których rodzice odbywają karę pozbawienia wolności. Jednym z głównych celów COPE jest wzmacnianie lub naprawa więzi między dziećmi i rodzicami. W realizację projektu zaangażowani są również studenci i studentki z Koła Naukowego Pedagogów Resocjalizacyjnych UJ, którzy uczestniczą w organizacji rodzinnych widzeń. Opiekunką koła jest prof. Małgorzata Michel, która również działa w COPE.

W Nowym Wiśniczu organizatorzy chcą stworzyć sytuację, w której dziecko jest nie tylko kimś, kto przychodzi do zamkniętego ojca, ale staje się uczestnikiem spotkania na własnych prawach. Może decydować, co chce narysować, o czym opowiadać, w co się bawić. Może też przez chwilę zapomnieć, że spotkanie odbywa się za kratami.

– Najważniejszym naszym celem jest przeciwdziałać stygmatyzacji dzieci z rodzicem w więzieniu i oddać im podmiotowość oraz poczucie godności – mówi zaangażowana w projekt Ewelina Startek.

Dzieci, których rodzic jest w więzieniu, zazwyczaj żyją z tajemnicą, w niestabilnym świecie. Nie zwierzają się kolegom, boją się pytań i reakcji otoczenia. Mogą być też postrzegane przez rówieśników i dorosłych przez pryzmat czynów rodzica. Dlatego ważny jest szczery kontakt: nie tylko to, co ojcowie powiedzą swoim dzieciom, ale również to, co dzieci powiedzą albo narysują swoim ojcom.

Robić zwyczajne rzeczy

Jednym z nich jest 11-letni Edziu z Chrzanowa. – Kiedy tato drugi raz poszedł do więzienia, byłem na niego bardzo zły. Przez rok nie chciałem go odwiedzać – opowiada chłopiec.

O tym, że ojciec jest w więzieniu, Edziu nikomu nie mówi. Wie o tym tylko psycholog. – Koledzy by nie zrozumieli, że można tęsknić za tatą, który jest w więzieniu. Mogliby się śmiać.

Edziu spotyka się z psychologiem z powodu problemów ze złością i niepanowaniem nad emocjami. Uważa, że może mieć to związek z tym, co nosi w sobie. – Jak tata wyjdzie na wolność, to chciałbym z nim robić zwyczajne rzeczy. Trenuję ju-jitsu, moglibyśmy razem ćwiczyć, chodzić na różne wyprawy, na spacery – wylicza Edziu.

Tego dnia, podczas spotkania, początkowo trudno mu się włączyć w zajęcia. Siedzi z boku, obserwuje innych. Jest w nim napięcie i zawstydzenie, które trudno przykryć kredkami czy kopaniem piłki. Jednak pod koniec dnia ściąga buty i biega po trawie z innymi dziećmi, chętniej rozmawia też z tatą.

Dzieci takich jak Edziu, które muszą się nauczyć żyć na co dzień bez ojca, może być w Polsce nawet 100 tysięcy. – Trzeba pamiętać, że wyrok dla rodzica to jest też kara dla dziecka – mówi prof. Małgorzata Michel, zajmująca się pedagogiką resocjalizacyjną. – Dziecko nie popełniło przestępstwa, a jednak ponosi jego konsekwencje.

I dlatego w centrum widzenia rodzinnego na terenie więzienia powinno być dziecko – jego potrzeby, emocje i prawo do kontaktu z rodzicem. Utrzymywanie więzi nie może być traktowane tylko jako przywilej osadzonego. To ma być budowanie głębszej relacji rodzinnej, będącej ważnym punktem oparcia po wyjściu na wolność i mającej znaczenie dla readaptacji w społeczeństwie. Chodzi głównie o to, by człowiek po odbyciu kary był dojrzalszy; żeby nie wszedł w stare koleiny świata przestępczego; żeby miał dokąd wrócić. Najlepiej, jeśli będzie to dom, w którym czekają na niego bliscy. Pielęgnowanie więzi może pomóc zarówno dziecku, jak i rodzicowi, ale potrzeby dziecka nie mogą być podporządkowane resocjalizacji więźnia.

To się nam opłaca

W procesie tym rodzina jest społeczną kotwicą. Wejście z powrotem w role ojca i partnera może ograniczyć ryzyko powrotu na drogę przestępczą. Człowiek, który po wyjściu z więzienia jedzie do ukochanej rodziny, szybciej podejmie pracę i raczej nie wróci za kratki. Nie będzie też obciążeniem dla państwa.

Jako wzór podobnego działania przywoływane są często skandynawskie systemy penitencjarne. Wśród osób zwolnionych w Norwegii z więzienia w latach 2016-2020 odsetek ponownych skazań w ciągu dwóch lat wyniósł 17,6 proc. Dla Danii było to 32 proc., dla Szwecji 32 proc., dla Finlandii 33 proc. W Polsce ten współczynnik w 2020 r. wynosił 39,5 proc.

Dane te pokazują istotną różnicę w filozofii: w krajach nordyckich troska o to, co stanie się z człowiekiem po wyjściu z więzienia, jest jednym z najważniejszych elementów systemu. Norwegia zakłada, że państwo, które odbiera człowiekowi wolność, powinno też przygotować go do życia po odbyciu kary – z pracą, edukacją, mieszkaniem, dochodem i dostępem do usług społecznych. Więzienie ma być więc częścią drogi powrotnej do społeczeństwa, a nie miejscem, w którym człowiek uczy się co najwyżej funkcjonować w izolacji.

W Polsce ten sposób podejścia do systemu penitencjarnego również zaczyna być widoczny. 19 marca 2026 r. w Ministerstwie Sprawiedliwości podpisano Kartę Praw Dzieci Rodziców Pozbawionych Wolności. Dokument podkreśla, że ukaranie rodzica nie może być podstawą dyskryminacji dziecka ani ograniczania jego praw do kontaktu.

Prof. Michel zwraca uwagę, że Polska jest pod tym względem jednym z europejskich pionierów – przed nami tylko Włochy przyjęły podobny dokument. Trzeba jednak pamiętać, że Karta nie jest obowiązującym prawem. To dokument, który ma wyznaczać standard działania instytucji, a jego stosowanie nie jest obowiązkowe. ↦



W Polsce nawet 100 tys. dzieci może mieć rodziców za kratami

↦ Kolejnym krokiem ma być rozwijanie szkoleń dla funkcjonariuszy Służby Więziennej. Znaczenie ma bowiem także to, co dzieje się po wejściu dziecka za bramę – jak długo czeka, jak jest traktowane podczas kontroli, czy może ojca przytulić i przez chwilę zapomnieć, że jest w zakładzie karnym. – Jakość kontaktu z rodziną jest ważną częścią resocjalizacji – podkreśla prof. Michel.

Jak być tatą w celi

O perspektywę dziecka w systemie penitencjarnym upomina się też Ewelina Startek z COPE. Jej zdaniem, myśląc o takich rodzinach warto zacząć od pytania nie o to, co kontakt z dzieckiem daje uwięzionemu ojcu, ale przede wszystkim, jaką wartość ma dla dziecka. – Dziecko nie może być traktowane jak narzędzie do resocjalizacji rodzica – mówi Startek.

Zgoda na widzenie nie może być też nagrodą (a odebranie go – karą) dla osadzonego. Jest spotkaniem, do którego dziecko ma własne prawo. Może również decydować, jak blisko chce podejść, o czym rozmawiać i czego nie chce wiedzieć. Nie musi pomagać ojcu się zmieniać ani brać odpowiedzialności za jego przeszłość i przyszłość. To dorośli powinni zadbać, żeby w tej relacji było dla dziecka bezpieczne miejsce – w ten sposób tworzy się więź, dzięki której trudniej wrócić na przestępczą ścieżkę.

– Często karą doraźną w więzieniu jest ograniczenie widzeń z rodziną. System musi szukać innych kar, takich, które nie uderzą w dziecko – przekonuje Startek. Przestrzega jednak przed patrzeniem na dzieci wyłącznie jak na ofiary. Chodzi o to, żeby odzyskały podmiotowość – podczas widzeń mają mieć przestrzeń, by opowiedzieć własną historię, nazwać emocje lub po prostu pobyć z ojcem bez poczucia, że uczestniczą w jakiejś procedurze.

> Warto zacząć od pytania nie o to, co kontakt z dzieckiem daje uwięzionemu ojcu, **ale przede wszystkim, jaką wartość ma dla dziecka.** Ono nie może być narzędziem do resocjalizacji rodzica.

Dlatego tak ważne są pozornie zwyczajne rzeczy: wspólne rysowanie, zabawa, zdjęcie. – Przekonujemy, żeby na czas widzeń rodzinnych osadzeni przebierali się w cywilne ubrania. Dzieci nie chcą mieć na fotografii taty w więziennym skafandrze – mówi Startek.

Taka perspektywa zmienia też sposób patrzenia na samych więźniów. W celach to nie tylko osadzeni, ale także ojcowie, mężowie i synowie. Tyle że na co dzień narzędzia do podtrzymywania tych ról są skromne: telefon, widzenie, czasem list.

Mariusz, ojciec Edzia, mówi: – Trudno być tatą w więzieniu. Serce boli.

Jego syn przez rok nie chciał do niego przychodzić, ale Mariusz potrafi zrozumieć tę złość. – Miał prawo tak się czuć, zawiodłem go – przyznaje. – Najbardziej żałuję chwil, które mi już przepadły. Tego, że nie nauczyłem go jeździć na rowerze, że nie chodziliśmy razem na spacery, nie odrabialiśmy lekcji.

Wolność i co dalej

Osadzeni chętnie opowiadają o tym, co będą robić po wyjściu na wolność. Darek ma 34 lata i jeszcze niespełna rok do końca kary. Liczy na wcześniejsze wyjście „na bransoletkę", czyli wolność z dozorem elektronicznym. – Myślenie o rodzinie w więzieniu to jedna z najtrudniejszych rzeczy. Ono powoli zabija – mówi.

Dlatego dużo czyta. Dopiero tutaj znalazł w sobie chęć, by wreszcie przeczytać całego Harry'ego Pottera. Po wyjściu z Wiśnicza chce zacząć uczciwe życie i ożenić się z narzeczoną, która przyjechała do niego z dwójką ich dzieci: półtoraroczną Amelką i pięcioletnim Michasiem. Mówi o tym, czego najbardziej chciałby je nauczyć: – Żeby szły przez życie z podniesioną głową. Żeby umiały odróżniać dobro od zła.

Darek bardzo lubi gotować, ma nawet swoje popisowe danie: kotlet schabowy z ziemniakami i sałatką ze świeżych warzyw. Zrobi go dzieciom po powrocie...

Na koniec dnia rodzice pochylają się wspólnie nad czystymi kartkami. Na papierze można wyrazić więcej niż przez kilka minut rozmowy telefonicznej. Można napisać to, co trudno powiedzieć przy więziennym stole.

„Chciałbym Wam powiedzieć, że bardzo Was kocham. Jesteśmy z Was bardzo dumni" – pisze jeden z ojców. W innym liście pojawiają się słowa: „Jesteście i będziecie dla nas najważniejszymi osobami, które dają nam najwięcej szczęścia. Zawsze w nas znajdziecie oparcie".

Jeden z ojców zwraca się do córki: „Chciałbym Ci powiedzieć, że jesteś moją królewną i kocham Cię najbardziej na świecie". Pisze o jej przedszkolu, o rzeczach zwyczajnych, które za więziennym murem stają się szczególnie ważne. Bo może właśnie o tę zwyczajność chodzi tu najbardziej. O to, żeby mimo zamkniętych drzwi, murów i procedur ojciec nadal mógł powiedzieć córce: jestem twoim tatą, a ty jesteś moją królewną.

©℗ JACEK TARAN

OLGA

Drenda:
Chaos w świecie kontroli



Dawno, dawno temu, gdy telefony komórkowe były jeszcze rzadkością, trafiłam na reklamę prasową jednej z sieci. Telefon, a były to jeszcze czasy sprzed powszechnej integracji systemów GPS, reklamowano tam jako przewrotny sposób na łyk wolności – pracownik dzwonił do szefa, mówiąc, że stoi w straszliwym korku, podczas gdy w rzeczywistości biegł z dziewczyną po łące (zapamiętałam to pewnie dlatego, że były to naprawdę dobre zdjęcia). Przypomniało mi się to ostatnio, bo zdałam sobie sprawę, jak rzadkim zjawiskiem już jest, a jeszcze bardziej stanie się nieobecność czy niedostępność.

Telefon komórkowy kilka lat później zyskał dalekie od wolności konotacje. Kilku „ostańców" życia beztelefonicznego wśród moich znajomych uparcie twierdziło, że nie chcą żyć na smyczy – używali takiego sformułowania i nie bez racji, problem w tym, że nakazywali obsługę kontaktu ze sobą swoim mamom, więc dla własnej wolności nie wahali się uszczknąć cudzej. Sama chwile poza zasięgiem bardzo sobie cenię, może nawet chwile najczystszej radości życia przeżywałam, gdy uświadamiałam sobie, że nikt nie może mnie dopaść i niczego ode mnie chcieć, bo właśnie jestem np. w starorzeczu Prosny.

Jednocześnie, mimo większego niż statystyczne zapotrzebowania na prywatność i margines swobody, żywię mieszane uczucia wobec głosów bezkrytycznej nostalgii za czasami przedtechnologicznymi. Podobno wtedy bowiem – jak podpowiada podmalowana na różowo pamięć – wszyscy chowali się samopas, bez „helikopterowych rodziców", a przecież nadal żyjemy, mówią nostalgicy. Ale pamięć swoje, a archiwa na piśmie i taśmie



OLGA DRENDA

Telefon z czasów niewielkiego zasięgu

co innego. Pamiętam nieprzyjemny dreszcz, towarzyszący oglądaniu odcinków „997", w których ofiarą zbrodni padały dzieci bawiące się z dala od oczu opiekunów albo kilkulatki dojeżdżające autostopem do podstawówki. To dotyczyło czasów tuż przed transformacją, gdy polska socjologia intensywnie przyglądała się zjawisku erozji więzi i, jak mówiono wtedy, znieczulicy. Przyznaję, że w takich chwilach zdecydowanie czułam się już człowiekiem lat dwutysięcznych, przyzwyczajonym do ogrodzeń i monitoringów, nawet mimo świadomości, że im więcej zabezpieczeń, tym paradoksalnie silniej może działać wyobraźnia i tym więcej zagrożeń podpowiada. Do dziś mam ambiwalentne odczucia na ten temat: wierzę, że „strach zabija dusze" i że najlepszy sposób na przeciwstawienie się wrogości świata to niepoddawanie się mu; a z drugiej strony trudno mi ocenić, gdzie zaczyna i kończy się zwyczajna rozwaga.

Prawdopodobnie nierozwiązywalne napięcia między potrzebą wolności a potrzebą bezpieczeństwa będą teraz zapewne często powracać, bo w nasze już i tak mocno nadzorowane życie wkradła się chaotyczna i nieprzewidywalna przemoc. Co było niestety do przewidzenia – rozproszone, nieskoordynowane ataki ze strony ludzi, po których nikt się nie spodziewał, że zostaną „samotnymi wilkami", czy podzlecanie napaści niezupełnie tego świadomym osobom odnotowuje się dziś, niestety, niemal wszędzie na świecie. Felieton to zbyt mała przestrzeń, by przyjrzeć się zjawiskom z pogranicza zdecentralizowanego terroryzmu, cyberprzestępczości, ale przede wszystkim realnych zapadlisk w naszej codzienności: samotności, wyczerpania, czucia się zbędnym, pospolitej przemocy ze strony tzw. ludzi normalnych, które ścierają stopniowo warstwy odporności. Nie jest to zupełny precedens, bo czasami jakby skrapla się pomiędzy ludźmi potrzeba podążania za impulsem przemocy, desperackie rozhamowanie, jakby nie mieli już nic do stracenia. Co jakiś czas coś wyciąga na wierzch destrukcyjny, ciemny nurt duszy i nadaje mu uwodzicielską urodę. Odpowiedzią jest zazwyczaj „więcej kontroli", co pozwala również politykom doraźnie budować sobie poparcie. Ale przypadki „zaraźliwej" przemocy zdarzają się również w tak szczelnie nadzorowanych krajach jak Chiny; destrukcyjny impuls jest zmiennokształtny i nawet w warunkach nadzoru i presji potrafi wkradać się w szczeliny jak lotna substancja.

Spodziewam się, że czekają nas nowe pomysły w rodzaju zupełnie oczywistych dziś kontroli na lotniskach czy tak podobno powszechnego udostępniania sobie lokalizacji. Być może niedostępność czy tymczasowy brak kontaktu za jakiś czas zaczną wydawać się równie nieprawdopodobne co kilkulatki jeżdżące autostopem. Ale nie jest to rozwiązanie, które potrafi odczarować przemoc z jej straceńczej urody, za którą jak w hipnozie podążają ludzie stojący nad krawędzią. Najbardziej ponure myśli płyną w stronę naszych osób publicznych, którym wyraźnie spodobały się igraszki z agresją szczególnego rodzaju – tą rozrechotaną, skupioną na poniżaniu, satysfakcji z deptania po kimś. Daje zbyt wiele doraźnych zysków, by byli skłonni z niej zrezygnować. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

W RAZIE „W”

Strach byłoby się nie bać, ale żyjemy normalnie i damy radę: taki ton można usłyszeć w rozmowach na Łotwie, Litwie i w Estonii. Jak kraje bałtyckie radzą sobie z groźbami Rosji?

TOMASZ OTOCKI
Z TURMONTU (LITWA) I RYGI (ŁOTWA)



W OSTATNICH TYGODNIACH NIE MA dnia, aby jakaś niepokojąca wieść nie przychodziła znad Bałtyku. A to podpalenie zakładów Milrem Robotics w Estonii, a to artykuł w rosyjskich mediach, gdzie grozi się Litwie „specjalną operacją wojskową”. Teraz doszły kolejne wieści znad granicy łotewsko-białoruskiej.

Jednak informacja o „śmierci krajów bałtyckich” jest mocna przesadzona.

O rzut beretem

– Wiesz, Tomasz, ja już, jakby co, jestem przygotowany na wyjazd – zwierza mi się Witold Janczys, znajomy dziennikarz z Wilna, piszący dla mediów litewskich i zagranicznych. Wspomina, że w momencie wybuchu pełnoskalowej wojny na Ukrainie w 2022 r. wraz z rodziną zaczął rozważać możliwość przeniesienia się do Polski na dłuższy okres. – Nie ukrywam, że myśleliśmy o jakimś dalszym regionie, choćby Pomorzu Zachodnim czy Dolnym Śląsku. Tam, gdzie prawdopodobnie nie dotrą wojska rosyjskie.

Janczys twierdzi, że nie jest na Litwie odosobniony. Po tym, jak Rosja zaczęła regularną wojnę, wielu zamożnych Litwinów zaczęło się zastanawiać np. nad kupnem nieruchomości w Hiszpanii czy Portugalii. Opisywał to lokalny portal LRT.

Inaczej widzi to Teresa Narkiewicz. Od ponad dwóch dekad mieszka w Turmoncie, odległym o 165 km od Wilna. „Rzut beretem” stąd jest granica łotewska i białoruska. Ze swojego domu, położonego obok kościoła, nie zamierza się ruszać. Narkiewicz jest emerytką, społecznie angażuje się w działalność Związku Polaków na Litwie.

– W Turmoncie nie ma strachu przed wojną, ludzie mają nadzieję, że do wojny nie dojdzie. Boją się nadchodzącej zimy, kosztów życia – wylicza Narkiewicz. – Nie boimy się tu dronów ani balonów od Łukaszenki, bardziej już uchodźców, których nasyła, bo to są zbóje – dodaje. Na Litwie i Łotwie o uchodźcach/migrantach znad granicy mówi się ostrzej niż w Polsce.

Łotysze popierają rząd

W ostatnich dniach Łukaszenka znów „namieszał”. Tym razem nie w Turmoncie, ale na granicy łotewsko-białoruskiej. Szef MSW Łotwy, Jānis Dombrava, informował o „szczególnie agresywnej” próbie przejścia granicy przez grupę 20 migran-



VALDA KALNINA / EPA / PAP

Estońscy żołnierze przy zaporach przeciwpancernych, stawianych wzdłuż granicy z Rosją. Okolice wsi Kiislova w południowo-wschodniej Estonii, 26 czerwca 2026 r.

tów, wspieranych przez zbrojną eskortę. „Członkowie tej eskorty usiłowali przepchnąć migrantów i grozili naszym żołnierzom" – podał minister. Z Łotwą solidaryzuje się Litwa: Wilno podjęło prewencyjną decyzję, że na najbliższe tygodnie skieruje wojsko do wzmocnienia granicy z obwodem królewieckim.

Wykorzystując labilną sytuację na granicy, Łukaszenka próbuje wpływać na Rygę, która po tym, jak w 2021 r. Mińsk rozkręcił kryzys graniczny, a w lutym 2022 r. wsparł atak Rosji na Ukrainę, zerwała praktycznie relacje z Mińskiem. Najnowsze decyzje rządu Łotwy to zakaz importu na Łotwę białoruskich i rosyjskich książek oraz zakaz komunikacji autobusowej między oboma krajami (za to z Wilna do Mińska czy Grodna wciąż można dojechać, starczy się rozejrzeć po dworcu autobusowym). – Teraz wszystko będzie szło przez Estonię – dodaje, nieco złośliwie, znajomy dziennikarz z Rygi.

Łotysze nie zamierzają ustępować ani Łukaszence, ani Putinowi. W wyborach parlamentarnych, które odbyły się 3 października, poparli proukraińską i prozachodnią politykę swego rządu. Partia premiera Andrisa Kulbergsa, który kieruje centroprawicową koalicją sił proeuropejskich i proatlantyckich, otrzymała 41 proc. mandatów w Sejmie.

Aleksiej Roslikow – były poseł łotewskiego Sejmu i twarz rosyjskiej V kolumny, dziś przygarnięty przez Mińsk – w przypływie megalomanii liczył na sukces swej formacji w tych wyborach; zapowiadał powrót do kraju dzień po nich. Dostał 2 procent. Nie chcieli go nawet łotewscy Rosjanie, choć oni do wojny na Ukrainie mają stosunek niejednoznaczny.

„Jeże" stoją po mieście

Jak czują się ludzie na Łotwie?

Rozmawiam z Edgarsem Mekšsem, merem rejonu (powiatu) lucyńskiego, położonego przy granicy z Rosją. – Nastroje w powiecie są normalne. Stale współpracujemy, w granicach swoich kompetencji, z państwowymi organami bezpieczeństwa, strażą graniczną i siłami zbrojnymi. Oczywiście obecna sytuacja geopolityczna budzi wśród mieszkańców niepewność i obawy, co w tych okolicznościach jest zrozumiałe – mówi spokojnie.

– Życie w rejonie lucyńskim toczy się normalnym rytmem: placówki oświatowe, kulturalne i społeczne funkcjonują bez zakłóceń, świadczone są wszelkie usługi komunalne, a także kontynuowane są prace nad różnymi projektami rozwojowymi. W trudnych czasach kluczowa jest współpraca wszystkich zaangażowanych stron, a poszczególne struktury działają w sposób skoordynowany – zapewnia mer.

To, że jest normalnie, potwierdza w rozmowie ze mną Helena Wieligórska, mieszkanka położonego w rejonie lucyńskim miasteczka Zilupe (to kilka kilometrów od granicy z Rosją; nieco dalej znajduje się przejście graniczne Terehova–Buraczki).

– Jak się tu czujemy? Widzimy „jeże", betonowe zapory, ustawione w pobliżu mostów w całym mieście – mówi Helena Wieligórska. – Na granicy stoi płot, ale tam nie chodzimy. Kilkakrotnie zawyły syreny alarmowe, a nad głowami przeleciały samoloty aliantów, o czym dowiedzieliśmy się z wieczornych wiadomości. W piwnicach domu kultury urządzono schrony, w których ludzie mogą się ukryć na wypadek bombardowania.

Pani Helena, która rozmawia ze mną po łotewsku (po polsku trudniej, choć jej ojciec był znanym działaczem polonijnym) przyznaje, że osobiście nie czuje się bezpiecznie. – Mam wielką nadzieję, ↦

↦ że uda się znaleźć sposób na wznowienie rozmów pokojowych – dodaje.

Wielu innych mieszkańców rejonu lucyńskiego potwierdza, że życie toczy się dalej, trudno na co dzień żyć wojną na Ukrainie. Ale mieszkańcy Łotwy nie zrezygnowali z gestów solidarności. We wszystkich krajach bałtyckich wciąż widzę liczne flagi ukraińskie. W Wilnie nadal jeżdżą autobusy z napisami „*I love Ukraine*". Nie do pomyślenia dziś w Polsce.

„Jesteście na celowniku"

Czego można się realnie obawiać? Kto ma rację: pani Teresa z Turmontu czy pani Halina z Zilupe?

W ostatnich tygodniach mieliśmy sporo doniesień o zaostrzeniu w regionie bałtyckim. W połowie września Rosja wprowadziła ograniczenia w poruszaniu się w pięciokilometrowej strefie granicznej z Estonią (w tym bezwzględny zakaz przemieszczania się po zmroku). Miesiąc wcześniej miał miejsce rosyjski atak (podpalenie) na zakłady Milrem Robotics w Tallinnie, które produkują drony naziemne, w tym model THeMIS używany przez Ukrainę.

Parę dni temu media podały, że Estonia na stałe przerzuca część swych wojsk nad granicę z Rosją i kupuje broń pozwalającą na prowadzenie dalekich uderzeń. „Musimy zacząć od granicy i wygrywać już od pierwszych bitew" – mówił mediom płk Tarmo Kundla, dowódca Pierwszej Brygady Estońskiej. Martin Herem, który dowodził estońską armią w latach 2018--2024, a teraz jest ministrem obrony w centrowym rządzie Kristena Michala, mówił, że władze Estonii powinny przygotowywać się na możliwość rosyjskiego ataku w ciągu roku.

Wcześniej, we wrześniu, Putin oskarżył kraje bałtyckie o „rusofobię" i „dyskryminację rosyjskojęzycznych". Z Kremla zaczęto grozić Litwie, że znajdzie się „na celowniku" Rosji po tym, jak litewski Sejm przegłosował możliwość stacjonowania broni jądrowej na terenie kraju. Agencja RIA „Nowosti", tuba władz, opublikowała artykuł z groźbą, że „Rosję czeka jeszcze jedna specjalna operacja wojskowa, będzie bardzo krótka". W tekście, który szybko zniknął ze strony agencji, pisano, że w razie konfliktu Rosja nie musiałaby wysyłać wojsk lądowych i mogłaby ograniczyć się do użycia „rakiet z odpowiednimi głowicami".

Groźby te rezonowały także w Polsce. „Jestem przekonany, że Rosja szykuje coś bardziej spektakularnego wobec krajów NATO, by zagrozić swego rodzaju konfliktem egzystencjalnym. Mógłby rozpocząć się od incydentu powodującego masowe straty, na przykład na terytorium jednego z państw Sojuszu" – mówił w mediach Maciej Korowaj, analityk rosyjskiej wojskowości.

Eksperci z państw bałtyckich są zgodni, że atak Rosji na dużą skalę jest dziś nierealny, **ale możliwe są akcje niekonwencjonalne.**

Operacja „szalony pułkownik"

Co na to mówią na Litwie?

Artur Płokszto jest wykładowcą w Akademii Wojskowej w Wilnie. Pytam go, czy Litwa ma się czego obawiać ze strony Rosji, czy też to wszystko bluff Putina.

– Rosja teraz próbuje zniechęcić państwa europejskie do wspierania Ukrainy, wojna nawet dla nich trwa za długo, sankcje powoli dają o sobie znać. Po sierpniowych demonstracyjnych ćwiczeniach NATO w zakresie walki elektronicznej, na Kremlu zrozumieli, że w razie konfliktu nie są w stanie obronić obwodu królewieckiego. Stąd jądrowa histeria, która w istocie jest paniką. Nie widzę obecnie zagrożenia klasyczną agresją wojskową, byłaby ona dla Rosji samobójstwem – ocenia Płokszto. Dodając jednocześnie, że na Kremlu rządzi „szaleniec żyjący we własnej bańce".

Aleksandras Matonis, litewski dziennikarz i dyplomata, zajmuje się obronnością. – Nie wiemy, co wydarzy się w 2027 r. Moim zdaniem rosyjska agresja na Ukrainę będzie trwać nadal, w związku z czym Rosja nie będzie w stanie przestawić swoich sił zbrojnych na nowy kurs – ocenia Matonis w rozmowie z „Tygodnikiem".

Co nie znaczy, że będzie spokojnie. – Spodziewam się nasilenia działań hybrydowych, obejmujących ataki cybernetyczne, informacyjne i propagandowe – mówi Matonis. – A także długofalowe destrukcyjne tajne operacje na terenie UE i NATO, zwiększone wsparcie dla radykalnych ruchów politycznych i dalsze podsycanie destabilizacji przez nielegalną migrację.

Matonis uważa, że rosyjska operacja konwencjonalna na szeroką skalę jest dziś nierealna, ale możliwe są akcje niekonwencjonalne: – Nasze siły zbrojne ćwiczą reagowanie na scenariusze typu „szalony pułkownik", w których ograniczone siły zbrojne wroga pod jakimś pretekstem wkraczają na nasze terytorium, a Rosja nie przyznaje się do nich. Innym wariantem jest scenariusz „nieudanego tranzytu przez obwód królewiecki" lub atak terrorystyczny przy użyciu dronów na infrastrukturę portu w Kłajpedzie, np. terminale gazowe lub naftowe.

Czy Litwa byłaby gotowa na takie zagrożenie? – Jestem przekonany, że nasze siły zbrojne są w pełni zdolne do poradzenia sobie z takimi scenariuszami. Choć zdajemy sobie sprawę, że odpowiednie zdolności wykrywania dronów są wciąż na etapie rozwoju – twierdzi Aleksandras Matonis.

„Ruski mir"? Raczej nie

Nawiązując do Kłajpedy, pytam Matonisa o słabe punkty na mapie Litwy. Bo w kontekście Estonii od lat pisze się o Narwie, najbardziej na wschód wysuniętym mieście, gdzie większość mieszkańców to rosyjskojęzyczni. A jak jest tutaj? Można usłyszeć, że czasem za słaby punkt Litwy uznaje się granicę z Białorusią albo zamieszkałą przez polską mniejszość Wileńszczyznę; część z jej mieszkańców często ogląda białoruską telewizję i wierzy w propagandę Łukaszenki.

– Na Litwie są miasta takie jak Kłajpeda i Wisaginia, zamieszkane przez rosyjskojęzycznych. W przeszłości w Kłajpedzie, mieście portowym, dochodziło do drobnych incydentów. Sytuacja uległa poprawie po 2022 r., gdy zamknięto tamtejszy konsulat rosyjski, będący siedliskiem działań szpiegowskich, a także wydalono znaczną część personelu ambasady rosyjskiej w Wilnie – mówi Matonis.

I ocenia, że niewielka mniejszość rosyjskojęzyczna na Litwie nie stanowi poważnego zagrożenia dla bezpieczeństwa kraju: – Zwłaszcza że większość etnicznych Rosjan jest dobrze zintegrowana z litewskim społeczeństwem, zna język



litewski i nie ma problemów dotyczących obywatelstwa czy kwestii językowych, jakie występują na Łotwie.

Zresztą Łotysze także uspokajają: wskazują, że choć mieszkańcy Łatgalii – regionu, gdzie wielu ludzi mówi na co dzień po rosyjsku – wciąż mają problemy (wielu nie posiada obywatelstwa, nie w pełni opanowali też język państwowy), to mało kto z nich pali się do tego, by stać się częścią „ruskiego miru".

Jeszcze mniejsze powody do tego mają mieszkańcy estońskiej Narwy, którzy kiedyś codziennie mogli się naocznie przekonać, jak żyje się po drugiej stronie, w Iwangorodzie – mieście, które do 1945 r. tworzyło wspólny organizm miejski wraz z Narwą, a obecnie przynależy do Rosji.

– Spójrz, Tomasz, jak wygląda ten Iwangorod. Naprawdę uważasz, że rosyjskojęzyczni z Narwy, nawet jeśli psioczą na państwo estońskie, chcieliby takich standardów? – pyta retorycznie mój estoński znajomy.

Brigade Litauen już na stałe

Tymczasem Litwa przygotowuje się do przyjęcia większej liczby wojsk od zachodnich sojuszników. Chodzi o niemiecką Brigade Litauen: jej 5 tys. żołnierzy ma na stałe stacjonować na Litwie. Tworzenie ich bazy jest w toku.

– Zakończenie procesu planowane jest na koniec 2027 r. Brygada będzie dysponować niezbędnym wsparciem w zakresie logistyki, rozpoznania, łączności, inżynierii i innych zdolności operacyjnych, a także wsparciem elementów macierzystej dywizji, które w przypadku poważnego zagrożenia zostałyby przerzucone z Niemiec. Niemiecka brygada jest już wzmacniana przez siły sojusznicze z Holandii, Norwegii, Chorwacji i Czech – mówi w rozmowie ze mną płk Gintaras Bagdonas, wieloletni pracownik służb specjalnych, w latach 2014-2018 szef NATO Energy Security Centre of Excellence.

Pytam Bagdonasa, gdzie widzi słabości litewskiego systemu obrony. – Po pierwsze, wciąż brakuje nam wielowarstwowych systemów obrony powietrznej. W szczególności potrzebujemy lepszych zdolności do zwalczania nisko lecących dronów i skuteczniejszej obrony przed pociskami balistycznymi. Po drugie, musimy rozwijać zdolności do rażenia celów na dalekich dystansach. W razie agresji musimy mieć środki umożliwiające niszczenie celów wojskowych głęboko na terytorium Rosji – mówi pułkownik.

Litwini krok po kroku przygotowują się do różnych sytuacji, by nie być zaskoczonymi. Od urzędniczki samorządu miejskiego Wilna Indrė Naureckaitė dostaję całą listę działań, które podjęto, by nie tylko poczuć się bezpieczniej, ale zapewnić realną pomoc mieszkańcom Wilna „w razie W".

Kwestia nastawienia

Brigade Litauen to część sił NATO, które stacjonują (lub będą wkrótce stacjonować) w krajach bałtyckich. Łącznie to kilkanaście tysięcy żołnierzy z różnych państw. Najwięcej z Niemiec (na Litwie), Kanady (na Łotwie), Wielkiej Brytanii (w Estonii) i USA (głównie na Litwie). Są też Polacy: 230 żołnierzy należy do kontyngentu NATO na Łotwie. Sojusznicy czuwają też nad niebem: armie krajów bałtyckich nie mają lotnictwa i samoloty z państw NATO prowadzą misję Baltic Air Policing. W razie poważnego zagrożenia wojska te mogą zostać wzmocnione przez Siły Szybkiego Reagowania z europejskich krajów Sojuszu.

A jak jest w Turmoncie? – Tutaj drony nie latają, nigdy żadnego nie widzieliśmy. Jeśli ludzie rozmawiają u nas o wojnie, to o Ukrainie i o tym, kiedy mogą tam ustać walki. Martwią się też rosnącymi cenami paliwa i żywności oraz nadchodzącą zimą. Musimy ogrzewać domy, a wszystko drożeje – mówi mi Wiera Pupiel, mieszkanka Turmontu (przynależy do staroobrzędowców, jest aktywna w polskiej organizacji).

– Nie mamy wpływu na bieg wydarzeń, żyjemy tym, co pozytywne – dodaje pani Wiera.

– Mamy wpływ, możemy już teraz nastawiać się na to, co może przyjść – kontruje pułkownik Bagdonas i jeszcze raz wylicza mi całą listę litewskich przygotowań.

Być może każde z nich ma, po swojemu, rację. © TOMASZ OTOCKI

Autor jest bałtystą z zamiłowania, od 2015 r. zaangażowanym w tworzenie Przeglądu Bałtyckiego, jedynego polskiego portalu poświęconego całkowicie tematyce regionu Morza Bałtyckiego.



KIRAN RIDLEY / AFP / EAST NEWS

Uczennice i uczniowie szkół średnich demonstrują w Paryżu, 6 października 2026 r.

Gazem w maturzystę

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

FRANCJA | Obrazy ulicznych starć zepchnęły na bok słuszne postulaty licealistów. Przemoc ze strony części protestujących nie uchyla pytania: dlaczego pokojowi manifestanci boją się francuskiej policji?

Paryż, wtorek 6 października, południe. Kolorowy pochód sunie szerokim bulwarem Voltaire'a w stronę Place de la Nation. Żadnego mundurowego. W tłumie są głównie licealiści i studenci, ale także ich nauczyciele, rodzice, jak również zwykli Paryżanie. Morze ludzi (MSW poda później, że było 56 tys. manifestantów).

Na transparentach postulaty: „Pieniądze dla liceów, nie dla miliarderów", „Chcemy matury, nie policyjnej »rury«". Z platformy furgonetki wybrzmiewa stare hasło przeciwko skrajnej prawicy: „Młodzież ma w dupie Front Narodowy" (to dawna nazwa nacjonalistycznej partii Marine Le Pen, dziś noszącej miano Zjednoczenia Narodowego). Tłum podchwytuje. Tu słychać skoczną pieśń „Bella ciao", gdzie indziej „Marsyliankę".

Nagle, z boku, a potem z przodu pochodu zjawia się oddział prewencji policji (tzw. CRS). W pełnym rynsztunku, w hełmach, z tarczami i pałkami. Policjantów wita niechętny pomruk, a potem skandowanie: „Wszyscy nienawidzą policji!". Dochodzi popularne wśród młodych hasło „ACAB" (akronim od: *All cops are bastards*). Policja blokuje w poprzek ulicę, przecina drogę manifestacji.

Po chwili napięcie mija. Odprężenie. Policjanci „zwalniają" blokadę, pochód znów rusza. Tyle że nieco później, już na końcu marszu, Plac Narodu przeradza się w pole bitwy. Z bocznej uliczki widać rzucane w stronę policji kostki brukowe i lecące poziomo ładunki pirotechniczne. Potem – huk policyjnych granatów ogłuszających. Tłum rzuca się panicznie do ucieczki. Widzę starszego człowieka, oślepionego gazem. Toniemy w kłębach, które wyciskają łzy.

I znów, jak w ostatnich latach, pokojowe protesty nad Sekwaną – w tym przypadku licealistów – przerodziły się w zadymę z policją. Czy tak musi być?

Czego chcą licealiści

Protest licealistów, który potem rozlał się na cały kraj, zaczął się 17 września w liceum w Créteil, na przedmieściach Paryża. W kulminacyjnym momencie w manifestacjach, głównie pokojowych blokadach szkół, brali udział uczniowie z około tysiąca placówek. Z czasem dołączyły do nich także niektóre uczelnie.

Licealiści domagają się od Ministerstwa Edukacji poprawienia warunków nauki (zwłaszcza remontów sypiących się lokali szkolnych, zwykłych napraw), a także dostępu do opieki pielęgniarskiej w szkołach i zapewnienia odpowiedniej liczby nauczycieli.

Postulaty te mogą wydać się oczywiste. Tyle że Francja od lat cierpi na problem z rekrutacją personelu w szkołach. Według tegorocznego badania, prowadzonego przez związek branży edukacyjnej SNES-FSU, na początku tego roku szkolnego w ponad połowie gimnazjów i liceów brakowało co najmniej jednego nauczyciela.

Inny wielki problem strukturalny to nierówność we francuskiej oświacie – średnio rzecz biorąc, szkoły w biednych gminach, zwłaszcza na przedmieściach, dzieli przepaść od gmin bogatych pod względem poziomu nauczania i warunków nauki.

Krótko mówiąc: żądania francuskich licealistów wydają się w pełni zasadne i nie mają w sobie nic rewolucyjnego. Wspierają je zresztą w ogromnej części także ich nauczyciele.

„Czy ktoś nas usłyszy?"

Na manifestacji paryskiej z 6 października niektórzy – jak spotkana przeze mnie Anastasia, uczennica liceum w zamożnej Szóstej Dzielnicy – motywowali swój udział w proteście „solidarnością z licealistami z przedmieść, gdzie jest dużo gorzej".

Z kolei Nina, także licealistka, przyszła na ten protest z koleżankami ze swojej szkoły imienia Colberta w paryskiej Dziesiątej Dzielnicy. Opowiadają, że blokowały swoją szkołę, bo chodzi im po prostu o godne warunki do nauki. Lista jest długa: „obrzydliwe toalety", zła izolacja klas szkolnych („marzniemy zimą, latem padamy z upału"), przeciążone klasy po 35 uczniów (to wątpliwy standard we francuskich liceach).

– Chcemy, żeby wreszcie ktoś nas usłyszał. I nie tylko nas, bo większość naszych nauczycieli popiera protesty. Od 10 lat nasi nauczyciele piszą listy, alarmują polityków i zero reakcji – mówi mi Nina. –

A do tego wszystkiego – dodaje – nie godzimy się na to, żeby policja stosowała przemoc wobec pokojowo protestujących licealistów.

Licealiści z Colberta irytują się, że główne francuskie media ciągle pokazują migawki podpalonych śmietników i zadym, a zbyt rzadko, ich zdaniem, mówią o ich postulatach naprawienia szkolnictwa.

Koleżanka Niny wtrąca: – Jeśli ktoś podpala licea, to nie my, ale osoby z zewnątrz. Oczywiście, że to niedopuszczalne!

Po czym dodaje: – Ale dzisiaj całkowitym pacyfizmem trudno coś osiągnąć. Nie mówię, że trzeba się bić z policją, ale nie byłoby rewolucji w maju 1968 r., gdyby studenci tylko grzecznie stali i mówili: „Bardzo was prosimy, no przestańcie...".

Ultralewica się dołącza

W zdecydowanej większości przypadków protesty licealistów ograniczały się do blokowania szkół co najwyżej np. pojemnikami na śmieci. Jednak przy okazji notowano liczne przypadki ataków fizycznych na personel szkolny oraz zniszczeń i podpaleń. Według resortu edukacji podpalono lub zniszczono 24 licea, które wskutek tego zamknięto.

Ogromnych zniszczeń w niemal nowym liceum im. Nelsona Mandeli w Nantes dokonał ogień podłożony przez zamaskowanych sprawców. Według policji „agresywni osobnicy" przybyli z zewnątrz i „wmieszali się w grupę licealistów".

Łączne straty materialne liczą się w dziesiątkach milionów euro. W związku z tym rząd ogłosił, że przyspieszy pracę nad ustawą, która ma zobowiązać sprawców „demolki" (lub ich rodziców, w przypadku nieletnich) do pokrycia spowodowanych przez nich strat.

Kto stoi za podpaleniami i napaściami na nauczycieli? Media, cytując świadków (tj. zwykle personel szkolny i licealistów), mówią enigmatycznie o „osobnikach z zewnątrz". Zwykle ubranych na czarno, z zamaskowaną twarzą.

– Do protestów licealistów, chaotycznych i pozbawionych organizacji, podczepiły się grupki, będące w zdecydowanej mniejszości, które prowokują policję. Prawdopodobnie chodzi o osoby z kręgu ultralewicy – mówi „Tygodnikowi" Sebastian Roché, socjolog z Instytutu Nauk Politycznych w Grenoble, specjalista od badań porównawczych nad policją.

Roché zaznacza, że te ultralewicowe grupy, choć w skali Francji liczą ledwie 3 tys. członków, wywołują często zadymy przed rozejściem się pokojowych manifestacji.

Socjolog nie wyklucza, że do protestów licealistów dołączyli też pospolici przestępcy – choć przeciw temu przemawia fakt, że tym razem zniszczeniom nie towarzyszą napady na sklepy i rabunki, jak to się zdarzało w przypadku innych starć z policją (np. w Paryżu po meczu klubu PSG w czerwcu tego roku).

Młodzież wrogiem państwa?

Komentatorzy we Francji zwracają uwagę na bardzo ostrą, niekiedy brutalną ripostę policji na zwykle pokojowe blokady liceów. Według bilansu, jeszcze niepełnego (z 5 października), rannych zostało łącznie co najmniej 215 uczniów oraz 715 żandarmów i policjantów. Wskutek interwencji policyjnej 15-letni uczeń w Lens na północy kraju stracił dłoń po eksplozji granatu ogłuszającego, wystrzelonego przez policjanta. Po tym dramatycznym zdarzeniu francuskie MSW oficjalnie zawiesiło używanie tej broni (tzw. nieśmiercionośnej) wobec manifestantów.

Francuska prasa donosi też o innych przypadkach okaleczeń licealistów wskutek interwencji policyjnej – w tym o wybitym oku szesnastolatka w Tours, od wystrzału gumowej kuli. Generalna inspekcja policji (tzw. „policja w policji", IGPN) ma zająć się osiemnastoma przypadkami w trakcie ostatnich protestów, w których zarzuca się funkcjonariuszom drastyczne złamanie prawa.

Sebastian Roché dodaje, że przez trzy tygodnie policja zatrzymała tymczasowo rekordową liczbę prawie 7 tys. uczestników protestów, głównie nieletnich. Socjolog uważa, że nie da się uzasadnić masowych aresztowań inaczej niż chęcią podniesienia policyjnych statystyk.

– Minister spraw wewnętrznych Laurent Nuñez pręży w ten sposób muskuły. Liczba zatrzymań stała się, już od 10 lat, trofeum politycznym, które nie wynika ze skali rzeczywistego łamania prawa – twierdzi Roché, według którego Nuñez uznał młodzież za „wroga państwa".

Amatorszczyzna

Część mediów i politycy lewicy zarzucają MSW brutalne metody tłumienia młodzieżowych protestów. Roché mówi natomiast o „amatorszczyźnie" policji i twierdzi, że wielu funkcjonariuszy nie jest dostatecznie przeszkolonych do kontaktu z manifestantami.

– Można było zaobserwować, że niektórzy policjanci łamią podstawowe reguły używania broni, np. strzelają z miotacza kul gumowych z bliskiej odległości lub celują w głowę, co jest absolutnie zabronione – podkreśla Roché.

W ostatnich latach policji, a zwłaszcza jej oddziałom prewencji CRS, regularnie zarzuca się nad Sekwaną brutalne metody. Jaskrawym przykładem były manifestacje ruchu „żółtych kamizelek" z lat 2018-19. Wtedy to, według zestawienia agencji AFP, gumowe kule wystrzelone przez policjantów trwale oślepiły 23 protestujących. Mimo to sprawców nie spotkały sankcje i jak dotąd nie wycofano tej broni z policyjnego arsenału używanego wobec manifestantów.

Dziennik „Le Parisien" twierdzi, że prezydent Macron miał być zdenerwowany ostrym działaniem policji wobec licealistów. Według anonimowo cytowanego ministra, szef państwa zarzucił MSW, że „odpowiedź policyjna była zbyt twarda i bez empatii".

Centroprawicowy rząd premiera Sébastiena Lecornu nie poprzestał na ripoście policyjnej. Ogłosił, że do końca miesiąca przedstawi konkretne propozycje rozwiązania problemów licealistów. Pierwsze żądanie ma być spełnione już teraz: 8 października resort edukacji ogłosił, że w ciągu kilku dni wyśle do szkół, które cierpią na brak kadr, trzy tysiące nauczycieli na pilne zastępstwa.

Trudno się nie dziwić, czemu do prostej decyzji trzeba było ogromu zniszczeń i tysięcy zatrzymanych.

Kontekst wyborczy

Za osiem miesięcy nad Sekwaną są wybory prezydenckie, stąd kryzys w liceach ma też wymiar polityczny.

Główna dziś faworytka w walce o prezydenturę, szefowa skrajnej prawicy Marine Le Pen, podkreślała, że „najpilniejsze jest, aby do szkół wrócił porządek". Z kolei jej główny konkurent w walce o Pałac Elizejski, centroprawicowy Édouard Philippe (w przeszłości premier z nominacji ↦

↦ Macrona), potępił „niedopuszczalne” akty przemocy w trakcie protestów licealistów: ataki na kadrę i zniszczenia szkół.

Z kolei premier Lecornu – podobnie jak prawica i skrajna prawica – zarzucił radykalnie lewicowej Francji Nieujarzmionej i jej liderowi Jeanowi-Lucowi Mélenchonowi (on również kandyduje na urząd prezydenta), że podsycają kontestację, by siać chaos w państwie. Lewicowy trybun wielokrotnie deklarował, że wspiera ruch licealistów, a aktywiści jego partii jeździli na szkolne blokady i na manifestacje poparcia dla liceów.

Czy oskarżenia pod adresem Mélenchona są zasadne? – Nie wierzę, by jego partia miała kontrolę nad ruchem licealistów. Z pewnością zależy jej na tym, by wykorzystać te protesty dla własnych celów, pod warunkiem, że pozostaną pokojowe. Wbrew temu, co głosi premier, w interesie Mélenchona – niedługo przed wyborami, które chce przecież wygrać – nie leży teraz odwoływanie się do przemocy – twierdzi Roché.

Mélenchon wie natomiast, że jest bardzo popularny wśród młodzieży. Jego partia robi więc wszystko, by zachęcić tę grupę, zwykle rzadko głosującą, do udziału w wyborach prezydenckich. W tych poprzednich, w 2022 r., w pierwszej turze to właśnie Mélenchon dostał najwięcej głosów w grupie wiekowej najmłodszych wyborców (18-24 lata), przed Marine Le Pen i Macronem.

Im bliżej wyborów

Po trzech tygodniach od ich rozpoczęcia protesty w liceach wciąż trwają, choć na mniejszą skalę. Nie wiadomo, czy to nie cisza przed nową burzą.

Od wielu miesięcy Francuzi zmagają się z kolejnymi kryzysami: politycznym, budżetowym, socjalnym. Francuski „kociołek” wrze i kipi, jest bliski erupcji. A w miarę rozwoju kampanii wyborczej ciśnienie będzie tylko rosnąć.

© SZYMON ŁUCYK

Tekst ukończono 9 października

Puchar dla szejka

MICHAŁ OKOŃSKI

PIŁKA | Strategia arabskich szejków, realpolitik brytyjskiego premiera – i wołanie zwykłych kibiców o uczciwość. Mistrzostwa, puchary – i przekręt na blisko miliard funtów. Finał tej historii wpłynie nie tylko na futbol.

Można opowiadać tę historię z różnych perspektyw.

Dziennikarz śledczy zacząłby pewnie w styczniu 2017 r., gdy jeden z dyrektorów Manchesteru City zalogował się do swojej skrzynki pocztowej i kliknął w link dołączony do maila, rzekomo pochodzącego z centrali UEFA. W istocie maila wysłał portugalski haker i aktywista Rui Pinto, który w ten sposób włamał się na klubowe serwery i pozyskał tysiące dokumentów, dziś będących materiałem dowodowym.

Historyk sportu wróciłby do września 2008 r., gdy ten zasłużony, acz podupadły klub z północy Anglii zmienił właściciela. Kupił go szejk Mansur, wiceprezydent i wicepremier Zjednoczonych Emiratów Arabskich (i brat prezydenta ZEA). Kwestia, czy była to prywatna inwestycja jednego z najbogatszych ludzi świata, czy strategiczna operacja kraju znad Zatoki Perskiej, jest dziś przedmiotem sporu, także prawnego.

Kibic Manchesteru City (i kibic piłkarski w ogóle) sięgnąłby pewnie do maja 2012 r. Wtedy to, dzięki bramkom zdobytym przez Edina Džeko i Sergia Agüero w doliczonym czasie gry ostatniego meczu sezonu, klub przeskoczył w tabeli sąsiada zza miedzy – słynny Manchester United – i zdobył mistrzostwo Anglii, pierwsze pod nowym właścicielem. Ryk „Agüeroooooo!!!”, jaki wyrwał się z gardła sprawozdawcy Sky Sports Martina Tylera, to symbol Premier League: rozgrywek, w których walczy się do końca.

Dla kogoś umiarkowanie zainteresowanego piłką cała ta historia może zacząć się we wrześniu 2026 r.: David Ornstein, dziennikarz portalu The Athletic, jako pierwszy podaje wieść, którą powtarzają wszystkie media. Powołana przez Premier League komisja uznaje, iż Manchester City jest winny ponad stu naruszeń zasad finansowych, jakie panują w angielskiej ekstraklasie.

News wpływa także na brytyjską politykę i ekonomię. Niektórzy mówią nawet, że zagrożona jest posada premiera Andy’ego Burnhama.

KLUB NA POTĘGĘ | Jakie to zarzuty? Dotyczą one lat 2009-18, a więc dekady, w której działający metodycznie przedstawiciele szejka Mansura (prezesem klubu jest Khaldoon Al Mubarak, jego zaufany polityk i przedsiębiorca z Abu Zabi) stworzyli z City globalną potęgę.

Na boisku wyrazem tego było osiem mistrzostw Anglii i triumf w Lidze Mistrzów. Puchary do klubowej gabloty, pustawej wcześniej, ładował Pep Guardiola, uważany za najlepszego trenera naszych czasów. Jego wyrafinowaną taktykę realizowały gwiazdy, których nazwiska kojarzą nie tylko kibice: De Bruyne, Rodri czy Haaland.

Szejkowie inwestowali nie tylko w trenerów i graczy. Na zdegradowanych terenach wschodniego Manchesteru powstało ogromne centrum treningowe – ośrodek tyleż sportowy, co edukacyjny i medyczno-naukowy. Szkoląca się tu młodzież należy do najlepszych w Europie. Nawet jeśli o obliczu pierwszej drużyny stanowią supergwiazdy, to nie brak w niej wychowanków. Także reprezentantów kraju, jak Foden czy O’Reilly. Młodzieńców, którzy nie mieszczą się w składzie, klub sprzedaje.

Supernowoczesny stadion, mający – cóż za niespodzianka – za sponsora tytularnego emirackie linie lotnicze Etihad, to wielki kompleks komercyjno-rozrywkowy. Wiele inwestycji w miejską infrastrukturę i nieruchomości odbywa się



MARTIN RICKETT / PA / EAST NEWS

Prezes Khaldoon Al Mubarak i ówczesny trener Pep Guardiola prezentują puchar za mistrzostwo Anglii, które Manchester City zdobył w maju 2023 r. Po tym, jak MC uznano winnym naruszeń zasad ligowych, Guardiola oświadczył: „Stoję, zawsze stałem i zawsze będę stać murem za moim klubem".

za pieniądze znad Zatoki Perskiej. Doprawdy: wieloletni burmistrz Wielkiego Manchesteru – czyli obecny premier Andy Burnham z Partii Pracy – ma mnóstwo powodów, by myśleć z wdzięcznością o inwestorach z Emiratów.

Problem w tym, że – zdaniem komisji powołanej przez Premier League – sukcesy Manchesteru City nie zostały osiągnięte w sposób uczciwy.

PARADA ZARZUTÓW | Wyjaśnijmy zasady, na jakich odbywa się rywalizacja między klubami. Nie tylko zresztą w angielskiej ekstraklasie, bo wedle podobnych reguł organizowane są rozgrywki UEFA.

Jasne: nie od dziś wiadomo, że bogaty może w nich więcej. Stefan Szymanski, ekonomista specjalizujący się w gospodarczych aspektach futbolu, wykazał, że istnieje silna zależność między wydatkami na płace a pozycją klubu w tabeli. Piłkarskie władze dbają jednak, by takie wydatki pozostawały w korelacji z klubowymi przychodami. Oraz aby konkurujące zespoły nie generowały zbyt wielu strat.

Tymczasem z ustaleń komisji Premier League wynika, że Manchester City przez lata aranżował fikcyjne kontrakty z partnerami komercyjnymi oraz ukrywał prawdziwe zarobki piłkarzy i trenerów. Pozwalało to sztucznie zawyżać przychody klubu i obniżać jego koszty – właśnie po to, by sprawiać wrażenie zgodności z regulaminami ligi.

Formalnie wszystko było w porządku. Np. wspomniane linie Etihad sponsorowały klub, ale w istocie większość pieniędzy nie pochodziła z tej umowy (zwiększającej komercyjny przychód klubu), lecz od – stojącego także za tymi liniami – właściciela, który pokrywał faktyczne straty Manchesteru City. Rachunki miały się w ten sposób rozjechać o ponad 900 mln funtów. Do tego klub wprowadzał władze ligi w błąd: udzielał nieprawdziwych informacji, utrudniał dochodzenie.

Przy tej skali fikcyjnych kontraktów i umów informacja, że niektóre wynagrodzenia płacono pod stołem, brzmi jak smakowity, ale tylko szczegół. Np. Roberto Mancini, jeden z poprzedników Guardioli, prócz oficjalnej pensji dostawał drugą, za rzekome konsultacje dla jakiegoś klubiku z Emiratów.

Prawie miliard funtów. Szokująca kwota, nawet jeśli mówimy o lidze angielskiej – najbogatszej i najchętniej oglądanej lidze świata.

PYTANIA I OPCJE | Z perspektywy innych klubów, które w tym samym czasie ograniczały wydatki na piłkarzy (bo np. inwestowały w rozbudowę stadionu albo, jeśli nie udało im się awansować do przynoszącej dodatkowe bonusy Ligi Mistrzów, na gwałt wyprzedawały najlepszych graczy), ten wieloletni „doping" MC to skandal. Padają pytania: czy gdyby przynoszący faktyczne straty klub szejków musiał dostosować się do ligowych reguł, zdobyłby tyle mistrzostw i pucharów? Czy mógłby najpierw kupować, a potem wynagradzać bajecznymi pensjami najlepszych piłkarzy?

W świecie sportu nie było afery o takiej skali. Nie było też afery o takich skutkach – na razie zresztą po części potencjalnych, bo choć komisja Premier League stwierdziła winę, nie wymierzyła jeszcze kary.

Skoro za dużo mniejsze odstępstwa od reguł inne kluby karano odjęciem punktów, jaki powinien być sprawiedliwy wyrok w tym przypadku? Nawet drastyczna grzywna finansowa wydaje się mijać z celem przy tak zamożnym właścicielu. Cóż więc pozostaje? Odjęcie w tabeli tak wielu punktów, by oznaczało to automatyczną degradację? „Opcja atomowa", czyli usunięcie z ligowych struktur? Zmuszenie szejka Mansura do sprzedaży klubu?

Dylemat jest w gruncie rzeczy filozoficzny, a próby jego rozstrzygnięcia mówią wiele nie tylko o winowajcy. Ewentualna degradacja MC oznacza zwolnienie z pracy setek pracowników klubu, Bogu ducha winnych.

A to przecież kwestia istotniejsza od rozważań o skalanym dziedzictwie Guardioli oraz o tym, czy tego trenera, niewątpliwego geniusza w swej roli (skądinąd chętnie wypowiadającego się także na tematy pozasportowe, na czele z ludobójstwem w Gazie), można przedstawiać jako ofiarę sytuacji. Czyli kogoś, kto przyjmował w dobrej wierze zapewnienia szejków, że w papierach wszystko gra, a on ma tylko dobrze trenować. ↦

↦ **PO PROSTU WYMAZAĆ?** | No i co zrobić z pucharami, zdobywanymi dzięki przekrętom? Skoro bywały sezony, w których Manchester City bił się o mistrzostwo z Liverpoolem, wygrywając ledwie jednym punktem – czy nie byłoby sprawiedliwie przyznać tytuły tej drugiej drużynie, prowadzonej wówczas przez Jürgena Kloppa?

Goszczący niedawno na naszych łamach historyk futbolu Jonathan Wilson – kibic Sunderlandu, który w przypadku odebrania MC trofeów mógłby liczyć na przyznanie pierwszego w dziejach klubu Pucharu Ligi – odrzuca taką możliwość.

„Chcę i tego przypływu adrenaliny, kiedy piłka wpada do siatki, i tego nieznośnego oczekiwania na koniec doliczonego czasu oraz nagłego wybuchu emocji, gdy wreszcie rozlega się końcowy gwizdek – pisze Wilson. – Chcę łez, uścisków, poczucia bliskości – wszystkich tych rzeczy, o których tak często mówiło pokolenie mojego ojca. Chcę się upić i śpiewać w pociągu. Nie chcę dowiadywać się o wszystkim z powiadomienia na telefonie, 12 lat później, podczas rozpakowywania zmywarki".

Z perspektywy Wilsona tamte tytuły City należałoby po prostu wymazać, traktując puste miejsca w futbolowych kronikach jak *memento*. Przestrogę, dokąd prowadzi bezrefleksyjna wiara w kapitalizm *laissez-faire*, gdzie wszystko – nawet to, co kochamy najbardziej, tradycję i dobro kulturowe – można sprzedać komuś, kto zapłaci najwięcej.

OKIEM POLITYKA | Politycy mają jeszcze trudniej. Taki Andy Burnham do niedawna chętnie flirtował z elektoratem kibicowskim, podnosząc m.in. kwestię poluzowania zakazu spożywania alkoholu na trybunach. Aby sprawę skomplikować: obecny premier ma karnet na mecze Evertonu, jednej z drużyn, które z powodu reguł tak długo lekceważonych przez Manchester City traciły punkty i wyprzedawały piłkarzy.

Z drugiej jednak strony: przez lata Burnham patrzył, jak inwestycje szejków realnie zmieniają zarządzane przezeń miasto. A dziś ma świadomość, że ich kolejne inwestycje – np. w naukowo-technologiczny klaster Oxford-Cambridge Growth Corridor, zwany brytyjską Doliną Krzemową – mogą przysłużyć się rozwojowi gospodarki, podupadłej po brexicie.

> Siła zarzutów, działanie Premier League, reakcje klubów pokrzywdzonych przez City: **to pozwala wierzyć, że procesu oczyszczenia nie uda się zatrzymać.**

To zapewne perspektywa utraty miliardów funtów, które w podobne przedsięwzięcia skłonne były inwestować Emiraty, tłumaczy dziś wstrzemięźliwe reakcje Downing Street na orzeczenie Premier League. W BBC premier mówił, że „byłby naprawdę zmartwiony", gdyby szejkowie zostali zmuszeni do sprzedania klubu.

Później służby prasowe Burnhama korygowały swój komunikat: fraza, że „jeśli stwierdzono naruszenie, odpowiedzialni powinni ponieść odpowiednie konsekwencje", zmieniła się na „wszędzie, gdzie stwierdzono naruszenie, odpowiedzialni powinni ponieść odpowiednie konsekwencje".

Media wytropiły zresztą, że Jonathan Reynolds – minister ds. biznesu, innowacji, nauki i handlu – podejmował Khaldoona Al Mubaraka na dwa tygodnie przed ogłoszeniem werdyktu Premier League. Oficjalnie spotkanie dotyczyło relacji inwestycyjnych między obu państwami.

CO TERAZ? | Gdy wspomniany David Ornstein opublikował newsa o orzeczeniu Premier League, można było być sceptycznym. I uznawać futbol za lustro otaczającej nas rzeczywistości.

Także w tym sensie, że – jak w polityce światowej, gdzie nawet ludzie uwikłani w zbrodnie wojenne są bezkarni, jeśli reprezentują państwo, z którym trzeba robić interesy – zasada równego traktowania nie obowiązuje tu wszystkich. *Soft power*, *sportswashing*, budowanie „miękkiej potęgi" kraju, wybielanie jego wizerunku przy pomocy sportu – to należy dziś do reguł dyplomacji. Obok inwestycji Emiratów w Manchester City mamy przykład zaangażowania Kataru w Paris Saint-Germain (i szerzej: we francuską rzeczywistość).

Dziś, kilkanaście dni później, optymistów w kwestii tego, że szejkom nie ujdzie na sucho, jest jednak więcej. Konkretność zarzutów, jednoznaczność komunikatu Premier League, przecieki na temat reakcji innych klubów (pokrzywdzonych mataczeniem City) – to pozwala wierzyć, że procesu oczyszczenia nie uda się zatrzymać. Że liga, owszem, powinna martwić się o kolejne kontrakty marketingowo-telewizyjne, ale nie ze względu na to, czy zabraknie w niej gwiazd z Manchesteru, lecz z powodu pytań o etyczną integralność.

„Często mówi się, że ofiary nie powinny same wymierzać sprawiedliwości. Ale co się dzieje, gdy ofiarą jest cały sport, całe pokolenie kibiców, kluby, które straciły swoich najlepszych zawodników, oraz nadawcy telewizyjni, którzy – jak się okazało – kierowali swoje kamery na rozgrywki będące farsą?" – to trzeźwa obserwacja publicysty „Guardiana" Jonathana Liew.

BATALIA NA LATA | Takie rzeczy tylko w Anglii: na kolumnach sportowych czytać rozważania, czy ważniejsze jest ukaranie sprawcy, czy „unieważnienie" wyrządzonej szkody – jak mogliby argumentować Kant czy Hegel. Oraz kto ma rację: francuski socjolog Émile Durkheim (autor tezy, że celem kary nie jest odstraszanie innych przez przykład, lecz umacnianie wspólnych wartości) czy angielski filozof Jeremy Bentham (ten uważał, że zadawanie cierpienia dla samego zadawania cierpienia jedynie powiększa pierwotne zło, więc należy kłaść nacisk na zapobieganie przyszłemu).

Takie pytania pozostaną w mocy niezależnie od ostatecznego werdyktu. Na ten przyjdzie zresztą poczekać: Manchester City odwołał się od orzeczenia Premier League, a choć przepisy przewidują rozstrzygnięcie tego odwołania do Bożego Narodzenia, to władze klubu szykują się do wieloletniej batalii, w którą zapewne zaangażują najlepszych brytyjskich prawników, m.in. Lorda Pannicka.

Ciekawe, czy znajdzie się haker zdolny do wykrycia, z czyjego tak naprawdę konta popłynie honorarium mecenasów.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Teraz też kurierem. Prosto pod Twoje drzwi.

InPost



Koniec z szukaniem „Tygodnika” w kiosku.
Teraz najlepszy tygodnik społeczno-kulturalny w Polsce sam do Ciebie przychodzi – kurier zostawia go pod drzwiami, zanim zdążysz pomyśleć, że czegoś Ci brakuje.

Zamów prenumeratę z dostawą kurierską!

- **Płacisz raz w roku** – bez rat, bez miesięcznych przypomnień.
- **Oszczędzasz ponad 40 zł** w porównaniu do zakupu w kiosku.
- Dostawa kurierem wliczona w cenę.
- Nowy numer „Tygodnika” w środę pod Twoimi drzwiami.

TygodnikPowszechny.pl/oferta-kurier-inpost

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



CZY TO JEST JUŻ WOJNA?

GIDEON RACHMAN, KOMENTATOR „FINANCIAL TIMES" DS. POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ:

Globalny konflikt to jeden z głównych elementów myślenia strategicznego światowych przywódców. Ale trzeba pamiętać, że nowe wojny nigdy nie przypominają poprzednich.

VANTOR / GETTY IMAGES

MATEUSZ MAZZINI: Wydaje Pan właśnie książkę o ryzyku nowej globalnej wojny. Ale czym właściwie jest wojna? Mark Galeotti, brytyjski ekspert zajmujący się Rosją, uważa, że jest… wszystkim.

GIDEON RACHMAN: Problem z definicją polega na tym, że dziś jednocześnie toczy się kilka wojen. Niektóre wyglądają bardzo konwencjonalnie, wręcz tradycyjnie. Wojna Ukrainy z Rosją to przecież starcie dziejące się w okopach, linia frontu się nie rusza – pod tym względem można tworzyć analogie do lat 1914-1918. Jedyną zmienną jest fakt, że pozycje obu stron są wymuszane ruchami dronów – to rzeczywiście całkowita nowość, w dodatku pojawiła się już w trakcie wojny, nie przed jej wybuchem.

To ważna obserwacja. Z reguły ktoś wywołuje wojnę, korzystając z praktyk i rozwiązań z poprzednich konfliktów. Ale potem, pod wpływem ogromnej presji i zmieniających się okoliczności, ludzie wprowadzają innowacje. Zachodni wojskowi są pod wielkim wrażeniem szybkości, z jaką Ukraińcy wprowadzają do działań bojowych nowe rozwiązania technologiczne – to często zajmuje jedynie kilka tygodni od pomysłu do zastosowania na froncie. Drony oczywiście są w centrum debaty publicznej, ale to nie jedyny aspekt tej rewolucji, jest przecież sztuczna inteligencja na polu bitwy. Problem w tym, że Rosjanie też są coraz lepsi w innowacjach, więc konflikt zaczyna się wyrównywać. W rezultacie mamy do czynienia z bardzo starą, tradycyjną wojną, prowadzoną nowymi metodami.

Kolejny czynnik to zmiana celu ataków. Im bardziej Rosjanie mają problemy z podbiciem nowych obszarów, tym mocniej uderzają w infrastrukturę, zwłaszcza energetyczną. I to się też rozlewa, np. na Iran. Ostatnio rozmawiałem z Lloydem Austinem, sekretarzem obrony w administracji Bidena – przyznał, że był zdziwiony tempem, w jakim Irańczycy przeszli do ataków na cele energetyczne w Arabii Saudyjskiej czy Katarze, choć zaczęli od bombardowania amerykańskich baz. Mówił, że w normalnych warunkach taka ewolucja zajmuje kilka lat, tymczasem tu trwała kilka tygodni. Coraz częściej cel strategiczny się zmienia, bo wojska próbują zniszczyć gospodarkę, a nie armię przeciwnika. To bezpośrednie ataki, nikt już tego nawet nie ukrywa – Ukraińcy uderzają w rosyjskie rafinerie, chcąc zdusić rosyjską zdolność do finansowania wojny.

Atak ukraińskich dronów na rosyjską rafinerię ropy naftowej w Tuapse nad Czarnym Morzem, do którego doszło 16 kwietnia 2026 r.

Tylko czy to wszystko nie jest właśnie dowodem na konieczność zmiany definicji wojny? Mamy mnóstwo pojęć takich jak „sabotaż", „agresja podprogowa", „wojna hybrydowa" – może to wszystko jest wojną i tyle?

Zdaję sobie sprawę, że np. w Polsce czy w Estonii pojawiają się głosy sugerujące wyrzucenie przymiotnika „hybrydowy" – tak samo jak apele, by agresywniej Rosji odpowiadać. Niemniej istnieje druga strona tego medalu. Mam przyjaciela, który pracował w Białym Domu za czasów Bidena i często rozmawia ze mną o sytuacji w Europie. Niedawno powiedział mi wprost, że powinniśmy przestać zacierać granice między pełną wojną a wojną hybrydową – gdyby naprawdę ta wojna była pełnoskalowa, bez przymiotników, to byśmy odczuli różnicę. Jego przekaz był jasny: pomiędzy tym, co robi Rosja teraz, a co się dzieje od 2022 r. w Ukrainie, jest olbrzymia różnica. Przy czym jasne, że wojna hybrydowa może łatwo wywołać wojnę na pełną skalę.

Istnieje mnóstwo scenariuszy, w ramach których Rosja mogłaby doprowadzić do konfrontacji z NATO – ale ich celem jest prowadzenie takiej agresji, która nie była jednoznaczna w optyce artykułu 5. Traktatu Północnoatlantyckiego, czyli nie wywołałaby zbrojnej odpowiedzi. To może być np. pseudo-misja pokojowa, chroniąca rosyjską mniejszość gdzieś w krajach bałtyckich – cokolwiek, co wywoła zamieszanie i sprzeczne reakcje ze strony Zachodu.

Na rosyjską eskalację trzeba patrzeć w szerszym kontekście. Z jednej strony to oczywiście dowód ich agresywności, ale z drugiej – pokazuje, jak niewiele możliwości działania realnie ma Putin. Rosjanie są przecież wściekli, bo Europa robi od jakiegoś czasu rzeczy, które jeszcze niedawno były nie do pomyślenia. W listopadzie 2024 r. Wielka Brytania, Francja i USA pozwoliły Ukraińcom wykorzystywać rakiety dalekiego zasięgu do ataków w głąb terytorium Rosji, co było niewyobrażalnym przełomem. Wcześniej Zachód się tego bał, bo Rosja groziła dalszą eskalacją, w tym nuklearną.

Co się więc zmieniło?

Nasze podejście. Nikt tych gróźb użycia broni nuklearnej nie brał na poważnie. Na początku, w 2022 r., one jeszcze działały, teraz już nie. W związku z tym po stronie rosyjskiej pojawia się dylemat: jeśli nie mogą nas odstraszyć machaniem nuklearną szabelką, to co mogą zrobić? Używają metod hybrydowych przeciwko Europie, żeby podnieść koszt pomocy Ukrainie.

Jeśli przenieść tę analizę na poziom globalny, natychmiast pojawia się pytanie o III wojnę światową. Niektórzy eksperci, jak prof. Paul Poast z University of Chicago, uważają, że mamy już dwie trzecie tej wojny, brakuje tylko konfliktu w Azji, potencjalnie wokół Tajwanu.

Wiem, że III wojna światowa brzmi ekstremalnie, ale umieściłem to pojęcie w podtytule mojej książki nie bez powodu. Putin powiedział wprost: bezpośrednia konfrontacja między Rosją i NATO ustawi nas o krok od wybuchu takiej wojny. Zełenski stawia sprawę jeszcze jaśniej: wojna światowa nastąpi, jeśli Zachód nie zatrzyma Rosji w Ukrainie. W jego mniemaniu ten konflikt już i tak ma międzykontynentalny zasięg – dzieje się tak, od kiedy po stronie Rosji walczą żołnierze z Korei Północnej. Nawet sekretarz generalny NATO Mark Rutte powiedział niedawno, że musimy się wszyscy w Europie Zachodniej przygotować na wojnę, która była udziałem naszych dziadków i pradziadków – wojnę światową właśnie.

Nie ma więc wątpliwości, że to jeden z głównych elementów myślenia strategicznego światowych przywódców. Nawet Xi Jinping, który wprawdzie mówi o tym raczej metaforycznie, chce uniknąć pułapki Tukidydesa, czyli zderzenia mocarstwa w fazie schyłku z mocarstwem rosnącym – co jest opowieścią o rywalizacji amerykańsko-chińskiej.

Przy czym tu znowu ważne są definicje. Czym właściwie byłaby III wojna światowa?

Uprzedza Pan pytanie. Bo czy dobrze robimy, zakładając, że kolejny konflikt światowy przypominałby dwa ↦

↦ **poprzednie? Przecież Iran, Chiny i Rosja ze sobą współpracują, nie mając przy tym sformalizowanych sojuszy, jak państwa Osi w II wojnie światowej.**

Są, moim zdaniem, dwa czynniki, na które trzeba zwracać uwagę, zastanawiając się, czy mamy już do czynienia z wojną światową. Po pierwsze, potrzeba do tego bezpośredniego konfliktu pomiędzy mocarstwami. USA, Rosja i Chiny musiałyby walczyć bezpośrednio, a nie za pomocą państw zależnych czy wojen zastępczych. Po drugie – wciąż nie mamy konfliktu terytorialnego w Azji Wschodniej, który byłby powiązany z Ukrainą i Bliskim Wschodem. Musiałby zaistnieć, w dodatku w taki sposób, żeby dało się plus minus zidentyfikować dwa bloki walczące ze sobą we wszystkich tych teatrach.

Racja: w dzisiejszym świecie powiązania mogą być nieformalne, a jednocześnie bardzo silne. Przy czym Zachód wciąż polega na zinstytucjonalizowanych sojuszach, jak NATO, czy bilateralne pakty USA z Japonią i Koreą Południową. Druga strona też rusza się w tym kierunku, choć nie w takim samym tempie. Rosja niedawno podpisała nowy pakt w zakresie bezpieczeństwa z Koreą Północną, ale to w dużej mierze gest retoryczny. Podobnie jest w gruncie rzeczy z Rosją i Chinami: mają tzw. „partnerstwo bez limitów", ale to też nie są formalne gwarancje bezpieczeństwa. Nie ma żadnych wątpliwości, że Chiny robią wszystko, aby utrzymać Rosjan w grze o Ukrainę – gdyby jakimś cudem Putin upadł i został zastąpiony przez jakąś prozachodnią postać, dla Chin byłby to potężny cios geopolityczny. Rosjanie prawdopodobnie wspierają Iran danymi wywiadowczymi i koordynatami dla ataków drogowych, w drugą stronę szły drony i rakiety balistyczne. Nie trzeba formalnych umów, żeby partnerstwo było realne.

Jednocześnie ludzie są ostrożni w mówieniu o jakiejś nowej „osi" zła także dlatego, że poprzednia wersja tego hasła została zdewaluowana przez George'a W. Busha. Takie proste, naciągane interpretacje rzeczywistości mogą prowadzić do niebezpiecznych, nieprawdziwych konkluzji. Co oczywiście nie zmienia faktu, że istnieje grupa państw – Iran, Korea Północna, Rosja, Chiny – które z różnych powodów są niezadowolone z porządku światowego skupionego wokół USA i chciałyby go zmienić.

Kissinger mawiał, że do istnienia jakiegokolwiek porządku potrzeba hegemona, chętnego, by tworzyć ogólne zasady, i zdolnego do ich narzucenia. Dziś Amerykanie nie mają już takich zdolności, a Chińczycy – zainteresowania pełnieniem takiej roli. Mamy jeszcze w ogóle jakiegoś hegemona?

Myślę, że Stany Zjednoczone wciąż pozostają krajem będącym najbliżej hegemonii i tak naprawdę nie zdecydowały, czy chcą się z tej roli wycofać. Jasne: Trump wielokrotnie mówił, że czas zakończyć zaangażowanie międzynarodowe i wrócić do domu, ale potem poszedł na wojnę z Iranem. Wokół niego są ludzie tacy jak J.D. Vance – akurat w jego przypadku jestem przekonany o autentyczności izolacjonistycznych poglądów. Ukształtowały go doświadczenia wojny w Iraku, nawet jeśli był w niej tylko wojskowym oficerem prasowym. Ale inni z tej administracji walczyli...

...jak sekretarz wojny, Pete Hegseth.

Nie jestem do końca przekonany, czy akurat jemu wojna się przejadła tak samo jak innym weteranom z Iraku i Afganistanu. W mojej książce przytaczam fragment rozmowy z Danem Caldwellem, który służy tej administracji, zresztą ściągnął go tam Hegseth. Caldwell podpisał się pod decyzją o redukcji pomocy wojskowej dla Ukrainy, jest prawdziwym izolacjonistą, uformowanym przez doświadczenia tych wiecznych wojen na Bliskim Wschodzie. Uważa, że porządek światowy z USA na czele nie jest dobry ani dla USA, ani dla świata.

Dlaczego?

Właśnie dlatego, że Amerykanie mają tendencję do mieszania się w awantury bez sensu i bez wyjścia. Zapytałem go wprost, czy wojna w Iraku była błędem. Odpowiedział, że nie była błędem, tylko „olbrzymią zbrodnią, w której zabiliśmy milion Arabów po nic". Opisywał też drastyczne konsekwencje, które ta wojna przyniosła ludziom w niej walczącym. Stwierdził, że nie zna nikogo, kogo małżeństwo przetrwało Irak. Tysiące ludzi wróciło do domu poranionych – jak nie fizycznie, to psychicznie.

Caldwell był częścią tej ekipy, która wewnątrz administracji bardzo sprzeciwiała się wojnie z Iranem, a teraz chciałaby ją zakończyć i kontynuować dzieło wycofywania Ameryki ze świata.

Ale to tylko jedna frakcja.

Blisko niej jest Tucker Carlson, który ostatnio w rozmowie z brytyjskim politykiem Jacobem Rees-Moggiem potrafił nawet powiedzieć, że Wielka Brytania nie powinna była przyłączać się do wojny, kiedy Hitler zaatakował Polskę w 1939 r. Ale jest też frakcja ludzi takich jak senatorowie Ted Cruz, Tom Cotton, nieżyjący Lindsey Graham – tradycyjnych neokonserwatystów, którzy wciąż chcą zaangażowanej Ameryki.

A Marco Rubio?

Jest skupiony na amerykańskiej dominacji na półkuli zachodniej, prawdopodobnie chce obalić rząd na Kubie. Podsumowując więc – debata o przyszłości amerykańskiego zaangażowania pozostaje nierozstrzygnięta. Robert Kagan, jeden z najważniejszych ekspertów od polityki zagranicznej USA, powtarza, że supermocarstwa nie mają prawa do emerytury. Mogą chcieć się wycofać z tej roli, ale nikt im na to realnie nie pozwoli.

Natomiast jeśli chodzi o Chiny, to pamiętajmy, że tu mowa o znacznie mniej transparentnym społeczeństwie. Yan Xuetong, jeden z najbardziej wyrazistych chińskich ekspertów, o jastrzębich poglądach w kontekście Zachodu, powiedział mi kiedyś, że Chiny są jak najbardziej zainteresowane zastąpieniem USA w roli globalnego hegemona. Rzadko się zdarza, żeby ktoś z tamtejszego establishmentu mówił takie rzeczy publicznie, ale on jest dość wpływowy, więc to pokazuje, że myśli hegemoniczne w chińskich elitach istnieją. Przy czym sądzę, że Chińczycy, patrząc na Amerykanów, widzą kogoś, kto nieustannie strzela sobie w stopę, wchodząc właśnie w bezsensowne wojny. Dlatego pewnie woleliby dojść do hegemonii poprzez stopniową akumulację wpływów, niż rzucając kostką i licząc na wygraną w wojnie – choć naprawdę nie wiemy, jaka jest ich kalkulacja strategiczna w kwestii Tajwanu.

Czy bez oczywistego hegemona jesteśmy w stanie przywrócić rów-

nowagę na świecie? Premier Kanady Mark Carney proponował w Davos sojusz średnich potęg, potem prezydent Finlandii Alexander Stubb zasugerował swoją wersję tego projektu, z silnym komponentem moralnym. Uda im się zbilansować nowy układ sił?

Pytanie, dla kogo chcieliby być przeciwwagą? Dla USA? Dla Chin? Dla jednych i drugich? Jasne, ruch Carneya to ważna polisa ubezpieczeniowa, w końcu Trump podważył sens istnienia Kanady jako suwerennego kraju, więc jej premier musiał zareagować. Poza tym Europa też nie może zakładać, że Amerykanie będą tu obecni po wsze czasy. Musi proaktywnie odpowiedzieć na wezwania dotyczące zwiększenia wydatków na obronność. Ale długa droga przed nami, bo Europa jest mocno w tyle z niektórymi kluczowymi technologiami, liczbą żołnierzy, których może zmobilizować, zaawansowaniem logistycznym.

A to tylko kwestie militarne. Europa w ogóle nie liczy się w wyścigu o dominację w sztucznej inteligencji, nie ma tyle mocy obliczeniowej co USA czy Chiny. Nie mówiąc o tym, że o ile każdy może dostrzec zasadność tezy Carneya, to już wcielenie jej w życie jest problemem na olbrzymią skalę, bo to wciąż pojedyncze, niezależne kraje, często mające sprzeczne, osadzone w lokalnych kontekstach interesy. Korea Południowa i Japonia, Polska i Niemcy, Polska i Ukraina – długo mógłbym wymieniać. Nie umiem sobie wyobrazić sytuacji, w której taki zestaw państw zmienia układ sił na świecie.

Gdzie w tej układance widzi Pan miejsce dla Wielkiej Brytanii? Dla mnie to przypadek kraju, który cierpiał na kaca po dawnych czasach większego znaczenia geopolitycznego. Europa podąża w tym samym kierunku – już niewiele może, ale wciąż się z tym nie pogodziła.

Nie przesadzałbym z tym kacem. Jasne, jakaś część naszego społeczeństwa wciąż uważa, że jesteśmy potęgą, ale to absurd, nie ma dowodów na poparcie tej tezy. Nie uważam też, że nostalgia za imperium była decydującym czynnikiem przy brexicie. Moim zdaniem część Brytyjczyków zagłosowała za wyjściem z Unii nie dlatego, że wierzyła w powrót do bycia supermocarstwem po uwolnieniu się z unijnej biurokracji. Bardziej chodziło o mit Wielkiej Brytanii stojącej samotnie na światowej scenie, naszej suwerenności. Wie pan, my naprawdę wyciągnęliśmy zupełnie inne wnioski z II wojny światowej niż np. Francja czy Niemcy. Nigdy nie uznaliśmy, że powinniśmy się stowarzyszać z innymi krajami. Dlatego właśnie zjawisko, które teraz obserwujemy, czyli rosnące poparcie dla nowego sojuszu Wielkiej Brytanii z Unią, wynika moim zdaniem z rosnącej świadomości, że świat się zmienił, a my mamy ekspozycję na wiele ryzyk, jeśli jesteśmy sami.

Debata o referendum w sprawie brexitu pojawiła się w momencie, w którym w światowej geopolityce już widać było olbrzymie zmiany. Przecież w tym samym roku po raz pierwszy do władzy doszedł Trump. David Cameron, który był wtedy premierem, próbował zakomunikować społeczeństwu, że tu się dzieje coś poważniejszego i trzeba się zdecydować na odważne ruchy, ale został wyśmiany. Dzisiaj, przynajmniej takie mam wrażenie, tej naiwności nie ma.

Nigdzie?

Prawie nigdzie. Jedyną osobą, która manifestuje jakiś dziwny poziom nostalgii za własnym imperium, jest Marine Le Pen. Byłem mocno zdziwiony, kiedy słuchałem jej wystąpienia na wiecu w poprzedniej kampanii prezydenckiej. Ona naprawdę zdaje się uważać, że Francja ma szansę wrócić do roli globalnego supermocarstwa – i to jest problem, bo jeśli dojdzie do władzy, zderzy się ze ścianą.

Gdzie to stawia współczesną Europę? Cóż, Europa dużo mówi o swoich chęciach stania się ważnym graczem geopolitycznym, ale jeszcze nim nie jest i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Chyba że pojawi się jakieś olbrzymie zagrożenie zewnętrzne, np. prawdziwa rosyjska inwazja. Wtedy Unia albo się zawali, albo przekształci w silniejszy, oparty na bezpieczeństwie sojusz.

Cały czas rozmawiamy o tradycyjnych formach konfliktu. Państwa narodowe, żołnierze, bomby. A są zagrożenia, które nie uznają ani tych form, ani ich granic – jak sztuczna inteligencja. Nie boi się Pan, że koncentrując się na starych wojnach, omijamy zagrożenia planetarne, egzystencjalne dla nas wszystkich?

Niedawno rozmawiałem z Francisem Fukuyamą o jego autobiografii. Na końcu przyznał, że nigdy nie twierdził, iż demokracja jest dobrym ustrojem do walki z katastrofą klimatyczną. Wręcz przeciwnie, jest pewnie jednym z najgorszych. Przygnębia mnie fakt, że wróciliśmy dziś do niemal średniowiecznych instynktów walki o kawałek mapy, niewielkie zdobycze terytorialne. Putin dosłownie cofa się o tysiąc lat, żeby uzasadnić atak na Ukrainę. Patrzę na to i myślę sobie „mój Boże, naprawdę jeszcze to robimy?". Musimy się zająć katastrofą klimatyczną, sztuczną inteligencją, zmianami demograficznymi, tymczasem Putin wysyła połowę swoich młodych mężczyzn na śmierć. Przecież to szaleństwo.

Niestety żyjemy w świecie, w którym najwięksi przywódcy mają ponad 70 lat, patrzą wstecz, a nie do przodu, mierzą swoją chwałę w kategoriach historycznych. Nie mam żadnej wątpliwości, że gdyby zamiast Trumpa był ktoś taki jak Kennedy, albo nawet Obama, do tematu sztucznej inteligencji podszedłby znacznie bardziej odpowiedzialnie. Ale nie ma Kennedy'ego, nie ma Obamy, jest Trump – i musimy z tym żyć.

© Rozmawiał MATEUSZ MAZZINI



HORST FRIEDRICHS / ALAMY / BE&W

GIDEON RACHMAN (ur. 1963) – brytyjski dziennikarz, od 2006 r. główny komentator spraw międzynarodowych dziennika „The Financial Times". Był korespondentem w Brukseli, Waszyngtonie i Azji. Jest autorem książek „Zero-Sum World", „Easternisation" oraz „The Age of the Strongman".



Jego najnowsza publikacja, „War is Interested in You: The Breakdown of International Order and What Comes Next", ukaże się 22 października 2026 r.

WIARA

BURA W KONFESJONALE

Gdy język terapii staje się wszechobecny, psychologicznej otuchy szukamy nie tylko u specjalistów, ale też podczas spowiedzi. Jakie to przynosi konsekwencje?

ADRIAN BURTAN

Anna niedawno rozpoczęła swoją trzecią terapię. Pierwsza była konsekwencją nieudanej próby dostania się na wymarzone studia. Druga: gdy wpadła w anoreksję. Aktualna jest związana z wypaleniem zawodowym. Czuje się zagubiona, a zmęczenie przekłada się na jej funkcjonowanie fizyczne i psychosomatyczne. Cierpi na migreny, boli ją kręgosłup, niechętnie spotyka się z ludźmi. Jednocześnie regularnie się spowiada.

– Dla mnie te dwie sfery – spowiedź i pomoc psychologiczna – idą dwutorowo. Terapia pozwala mi zauważyć momenty, kiedy popełniam grzechy, a których dawniej bym tak nie traktowała. Przekłada się to na lepszą spowiedź. Nie chodzi tylko o myślenie z perspektywy grzechów, ale również o dostrzeganie rzeczy dobrych, których wcześniej nie zauważałam – mówi.

Wierzy, że rozwój psychiczny może iść w parze z tym duchowym. Ma poczucie, że wraz z większą świadomością własnych emocji rośnie otwartość na to, co ksiądz powie jej w konfesjonale. – Czy uważam, że ksiądz może mi powiedzieć coś, co uznam dla siebie za niewygodne? Tak, ale uznaję spowiedź za ważny i konieczny sakrament. Psychoterapia nie zaspokoi potrzeby przygotowywania się do sakramentu. Nadal czuję, że potrzebuję rachunku sumienia. Spowiedź daje mi ogromny spokój i radość z życia, której nie mam po terapii. Psychoterapeuta z kolei uświadamia mi, że wiele rzeczy jest procesem, pracą, ciągłym poprawianiem się, również w spowiedzi. Często mówi mi: odpuść – tłumaczy.

Wiedząc, że terapia skupia się na jej wnętrzu i problemach, Anna dostrzega zagrożenie, że tego samego mogłaby oczekiwać od spotkania w konfesjonale. Dlatego gdy myśli o spowiedzi, stara się skupiać na innych i Bogu. – Zawsze po spowiedzi obiecuję sobie, że poszukam jakiejś parafialnej wspólnoty albo zadbam o kogoś, o kim zapomniałam. Tej szczerości uczę się też dzięki terapii – wyjaśnia.

Co jednak wtedy, gdy spowiednika próbujemy ubierać w szaty psychologa?

Ksiądz to nie prokurator

Wierni często oczekują, że kapłan w konfesjonale nie tylko odpuści im grzechy, ale pomoże również przeanalizować życiowe problemy. Zdarza się, że spotykają się z surowością duchownych i mają w związku z tym poczucie żalu, a nawet traumy.

Jak przekonuje jednak ks. Jacek Prusak, jezuita i psychoterapeuta, spowiedź nie zastąpi terapii czy konsultacji teologicznej. Jej podstawą jest wyznanie grzechów i pojednanie z Bogiem. – Człowiek idzie do spowiedzi ze świadomością popełnionego grzechu, chce go wyznać i pojednać się z Bogiem oraz wspólnotą Kościoła. Ksiądz ma tu funkcję sądowniczą, czyli przyjmuje to wyznanie. Kiedy czuje, że jest ono szczere, oparte na żalu i postanowieniu poprawy, z powrotem przywraca penitenta do wspólnoty Kościoła – tłumaczy.

Jednocześnie celem spowiedzi nie są pozbycie się poczucia winy ani poprawa samopoczucia. Ulga czy inne pozytywne emocje są drugorzędne. Mogą towarzyszyć człowiekowi w momencie wyznania grzechów, ale nie zawsze mają miejsce. Jeśli osoba znajdzie się w mentalnym kryzysie, czuje lęki i cierpi, powinna skorzystać z psychoterapii. – W jej centrum leżą albo objawy pacjenta, albo jego chęć do autoanalizy i samopoznania. Inaczej niż w spowiedzi, gdzie podmiotem jest sumienie – mówi jezuita.

Przy czym rola spowiednika nie musi ograniczać się tylko do moralnej oceny czynu i udzielenia (lub nie) rozgrzeszenia. To fundament, ale w kontekście dobrej spowiedzi istotne są również jego nastawienie do wiernego i wrażliwa postawa. Duchowny bowiem, przez nieodpowiednie zachowanie, może skrzywdzić osobę pragnącą skorzystać z sakramentu pokuty. Spowiedź nie może więc być machinalna. – Ksiądz to nie prokurator. Ma obowiązek pouczenia, ale jego zadaniem nie jest moralizowanie czy potępianie. Jeśli tak robi, to nadużywa władzy duchowej – zaznacza ks. Prusak.

Płacz i rozgoryczenie

Paulina po ostatniej spowiedzi wybuchnęła płaczem. Udała się do konfesjonału, by podzielić się wątpliwościami dotyczącymi bliskości i intymności. Niedawno, po kilku nieudanych próbach, poznała mężczyznę, z którym weszła w dojrzałą i, jak mówi, wymodloną relację. Chciała ją

ANDRZEJ SIDOR / FORUM



Spowiedź podczas nabożeństwa różańcowego w Studzienicznej koło Augustowa

rozwijać, ale szarpały nią rozterki związane z cielesnością. – Kościół w tym temacie bardzo dużo zabrania, zwłaszcza przed ślubem. Z drugiej strony, jak unikać bliskości z osobą, którą się kocha – zastanawia się.

Zapytała o to spowiednika. Oczekiwała rozmowy, zrozumienia oraz wskazania, jak postąpić. Spowiedź okazała się jednak dla niej traumatyczna. – Zamiast poczuć się bezpiecznie, zostałam potraktowana oceniająco, zero-jedynkowo. Nie było dialogu, próby wejścia głębiej w temat. Ksiądz mnie skarcił i nie wysłuchał. To spotkanie mną wstrząsnęło. Nie byłam pewna, czy chcę wrócić ponownie – wyznaje.

Mateusz po swojej spowiedzi również wyszedł z kościoła rozdarty. W konfesjonale próbował opowiedzieć księdzu o konfliktach w jednej ze wspólnot duszpasterskich, do której przynależał, oraz jej destrukcyjnym wpływie na jego życie osobiste. – Liczyłem na wsparcie, poradę, co mam z tym zrobić, czy mam jakoś zareagować. Spowiednik stwierdził, że marnuję jego czas, nieustannie mi przerywał, podnosił głos – opowiada.

Rozgrzeszenie dostał, ale był rozgoryczony postawą kapłana. Zaczął więc szukać miejsc, gdzie ludzie są zadowoleni ze spowiedzi. Tam, gdzie poza odpuszczeniem grzechów, w spowiedzi znajdzie się też miejsce na troskę i dialog.

Zdaniem jezuity ks. Dariusza Piórkowskiego, rekolekcjonisty, autora książki „Po co nam spowiedź”, coraz częściej zdarza się, że do konfesjonału udają się ludzie, którzy poza wyznaniem grzechów potrzebują przede wszystkim towarzyszenia duchowego. – Ono w gruncie rzeczy powinno odbywać się poza konfesjonałem, ↦

↦ ale gdy przychodzi do mnie człowiek, który chce porozmawiać, staram się go wysłuchać. Wiem, że nie wszyscy księża tak postępują. Często nie potrafią, nie są na to przygotowani, uznają, że nie muszą, skoro to jest spowiedź. Mam inne zdanie, spowiednik powinien uczyć się być wrażliwym, umieć słuchać – przekonuje.

Pułapki pop-psychologii

Oczekiwanie od spowiednika głębszego zajęcia się problemem osobistym jest odbiciem szerszego zjawiska, zwanego kulturą terapeutyczną. Polega ona na przenoszeniu elementów, słownictwa i sposobów myślenia znanych z gabinetów terapeutycznych do różnych obszarów codzienności.

– Odnosi się do przekonania, że zaglądanie do własnej historii, dzieciństwa czy relacji i dogłębne analizowanie tych tematów jest kluczem do tego, aby odnaleźć kierunek i sens życia. Pojęciowość psychoterapeutyczna i rozumienie swoich doświadczeń przez jej pryzmat staje się narzędziem, które nas dookreśla, nadaje tożsamość i język do opisywania własnych emocji czy intuicji – tłumaczy Kama Wojtkiewicz, psycholożka, autorka podkastu „Sznurowadła myśli" i książki „Sobą zajęci. O pułapkach samorozwoju i kultury terapeutycznej".

Dowodów na istnienie klimatu psychoterapeutycznego nie trzeba długo szukać. Na platformach kierowanych algorytmami co rusz można trafić na różnej jakości treści psychoedukacyjne. Swoimi przeżyciami i uczuciami w sieci chętnie dzielą się również influencerzy. Część tej twórczości jest niekiedy nawet pomocna, zwykle nieszkodliwa, ale niektóre materiały wpisują się w kategorię tzw. pop-psychologii, czyli uproszczonej próby tłumaczenia mechanizmów ludzkiego zachowania.

– W pop-psychologii nie ma miejsca na niuanse, wątpliwości czy zadumę nad własną niewiedzą. Daje ona konkretne wskazówki, typu: po tych pięciu zachowaniach rozpoznasz, że masz do czynienia z narcyzem. W takich treściach znajdziemy sugestie, aby zawsze stawiać siebie na pierwszym miejscu, odcinać się od osób myślących inaczej, nie obcować z emocjami takimi jak lęk, smutek, złość czy frustracja. To myślenie ma mało wspólnego z sensownie prowadzoną psychoedukacją czy procesem terapeutycznym – przekonuje Wojtkiewicz.

Spowiednik powinien mieć podstawową wiedzę psychologiczną, żeby umieć rozpoznać sytuację, która wymaga skierowania człowieka po specjalistyczną pomoc. **Inaczej spowiedź może zaszkodzić.**

Grzech zmieniony w wadę

Powszechność kultury terapeutycznej przekłada się na nowy model opisywania życia: ludzie chętniej sięgają po język psychologiczny, by tłumaczyć świat i własne doświadczenia. Nierzadko jednak specjalistyczne słownictwo zmienia sposób, w jaki rozumiemy pojęcia opisujące dotąd konkretne porządki społeczne, np. moralność. Za sprawą języka terapii jej kategorie bywają zniekształcane. Coś przestaje być postrzegane jako jednoznacznie złe, a jego ocenę zaczyna się niuansować, odwołując się do trudnej przeszłości czy pojęć zasłyszanych w gabinetach.

– Kiedy coś, co jest moralnie niedopuszczalne, określamy przykładowo jako „narcystyczne" czy „toksyczne", rozmywa nam się znaczenie tego czynu. Znika pytanie o to, czy jest to zgodne z normami moralnymi lub obywatelskim porządkiem. Wypłukuje się tym samym myślenie w kategoriach etycznych – podkreśla Wojtkiewicz.

Efekt tej zmiany dostrzec można również w przypadku spowiedzi i rozumienia przez katolików, co jest grzechem, a co nie. Wielu z nich nie chce postrzegać go wyłącznie jako aktu przeciw Bogu, z którego należy się wyspowiadać, ale odnieść go również do siebie przez próbę zrozumienia, dlaczego tak postąpili.

– Wierni nie stracili świadomości zła, ale na skutek wiedzy o tym, jak złożone są ludzkie motywacje, nie wszyscy potrafią się zmieścić w modelu grzechu rozumianego jako czyn, bez zastanawiania się nad jego uwarunkowaniami – zaznacza ks. Prusak. – Ludzie, poza spektakularnymi grzechami, gdzie wiedzą, że intencjonalnie kogoś skrzywdzili, traktują je jako upadki, które niekoniecznie wynikają ze złej woli przeciwko Bogu, ale z kontekstu, w którym się znaleźli. Dlatego trudno im jednoznacznie określić, czy to, co robią, jest grzeszne. Przykładem są tu różne wymiary seksualności człowieka – dodaje.

Spowiedź i terapia razem

W rozmowach z wiernymi o dobrej spowiedzi często pojawia się przekonanie, że jej istotą jest rozmowa.

Paulina: – Nie oczekuję, że podczas spowiedzi ksiądz będzie poklepywał mnie po plecach i chwalił, że przyszłam do konfesjonału. Spowiedź buduje naszą moralność, ale powinna polegać na dialogu, a nie formalnym odhaczaniu sakramentu.

Według niej spowiedź zbliża do Boga wtedy, kiedy penitent dostaje od spowiednika wskazówkę, jak może postąpić inaczej i jak radzić sobie z wątpliwościami etycznymi. Wychodząc z płaczem z konfesjonału, czuła się zagubiona, bo nie wiedziała, kto mógłby odpowiedzieć na jej moralne dylematy.

Mateusz: – Żyjemy w czasach, w których szukamy wsparcia, umocnienia. Czasem znajdujemy się w trudnych sytuacjach, które wpakowały nas w grzech i upadek moralny. Wyznanie grzechów to jedno, ale wsparcie ze strony spowiednika i dobre słowo też potrafią zdziałać dużo dobrego.

Czy oczekiwanie penitentów, że spowiednik wskaże drogę, zatroszczy się i da wsparcie, jest zasadne? Ks. Prusak uważa, że rozmowa w konfesjonale jest możliwa, ale jeżeli penitent oczekuje od spowiednika, że ten będzie podsuwał rozwiązania na życiowe problemy, to jest to nierealistyczne. – Spowiedź może być połączona z kierownictwem duchowym tylko wtedy, gdy podstawowym celem penitenta jest wyznanie grzechów, a dopiero potem rozmowa o tym, skąd one się biorą i jak sobie z nimi radzić – tłumaczy.

Zwłaszcza gdy ze spowiedzi i terapii korzysta się jednocześnie, ważna jest znajomość różnic między nimi. Ze względu na odmienne role nie powinny być traktowane zamiennie, lecz mogą się wzajemnie uzupełniać. W jaki sposób?

Rachunek sumienia przygotowujący do spowiedzi pozwala przyjrzeć się własnemu postępowaniu i dostrzec obecność grzechu. Terapia zaś pomaga zrozumieć, dlaczego postępuje się w sposób, który do tego grzechu prowadzi. Postanowienie poprawy wypowiedziane

w konfesjonale może dać początek pracy z emocjami czy mentalnością – już w gabinecie terapeutycznym.

Spowiednik i psycholog się uzupełniają: pierwszy towarzyszy penitentowi w wyznaniu przewinień i odbudowie relacji z Bogiem, drugi – w rozpoznaniu źródeł problemów i pracy nad nimi. Zarówno jeden, jak i drugi powinni wykazywać się zrozumieniem.

– Gdy spowiadam się, a ksiądz mnie krzywdzi – krzyczy, wyśmiewa, wyzłośliwia się – to mam prawo odejść od konfesjonału i poszukać spowiedzi gdzie indziej. Spowiednik nie ma prawa patrzeć na mnie z góry, ma traktować mnie z maksymalnym szacunkiem – zaznacza ks. Piórkowski.

W poszukiwaniu sensu

Żeby zrozumieć fenomen kultury terapeutycznej i jej wpływ na spowiedź, warto zauważyć, że dziś trafia ona na podatny grunt. Osamotnienie, rozkład więzi, niska samoocena czy szybkie tempo życia sprawiają, że ludzie poszukują pomocy w miejscach, które znają i darzą zaufaniem.

Ks. Prusak: – Do konfesjonału przychodzi wielu starszych czy samotnych, bo nie mają z kim porozmawiać. Bardziej niż o wyznanie grzechu chodzi im o to, by ktoś ich dostrzegł, żeby przez chwilę byli ważni. Nierzadko też do spowiedzi udają się osoby z problemami emocjonalnymi, błędnie je interpretując, oczekując, że ksiądz załatwi ich problemy.

Mylenie spowiedzi z terapią i przypisywanie duchownemu kompetencji psychoterapeuty mającego odpowiedzieć na trudne emocje rodzi konkretne konsekwencje. Może nie tylko wypaczyć sens spowiedzi, ale też – w poczuciu niezrozumienia, a nawet odrzucenia – pogłębić kryzys u penitenta. Dlatego, jak zwraca uwagę ks. Prusak, warto, by spowiednik miał podstawową wiedzę psychologiczną, żeby umieć rozpoznać sytuację, która wymaga skierowania człowieka po specjalistyczną pomoc, a nie trzymania go w konfesjonale.

– Jeśli natomiast ktoś podczas spowiedzi np. powie, że doświadcza przemocy domowej, spowiednik powinien zachęcić, by osoba ta skontaktowała się z ośrodkiem interwencji kryzysowej lub Niebieską Linią – mówi ks. Prusak.

Nie bez znaczenia w odniesieniu do terapeutycznego rozumienia świata pozostaje również erozja wartości. Gdy nie znajdujemy sensu w religii, miłości, przyjaźni czy wspólnotowości, zaczynamy go szukać w zajmowaniu się sobą. Stąd też może brać się oczekiwanie regularnej analizy własnego stanu emocjonalnego, rozmowy o uczuciach i własnych doświadczeniach. Zarówno w rozmowie z terapeutą lub partnerem, jak i spowiednikiem.

Równowaga

Jak zatem czerpać wartość ze znajomości własnych emocji, nie popadając w odruch ciągłej samoanalizy?

Kama Wojtkiewicz radzi, by szukać równowagi – drogi środka. Zamiast w trudnych, aczkolwiek wpisanych w codzienność momentach kierować się od razu do terapeuty czy szukać psychologicznego wsparcia w konfesjonale, warto odważyć się, by opowiedzieć o swoim doświadczeniu najbliższym. – Może się okazać, że moment wspólnego namysłu nad naszą sytuacją, usłyszenie, że ktoś nas rozumie, obejmuje swoim umysłem i nie odrzuca za przeżywanie trudności, będzie wystarczający. A interwencja specjalisty okaże się niepotrzebna – dodaje.

Ks. Jacek Prusak wskazuje na dobrą współpracę nauki z religią. Psychoterapia pozwala człowiekowi wziąć odpowiedzialność za własne życie, przepracować deficyty i rozwiązywać wewnętrzne konflikty. Spowiedź z kolei uświadamia, że grzech – być może wynikający z tych konfliktów – może zostać odpuszczony. – Psychoterapia i spowiedź mogą się przenikać, ale się nie zastąpią – podsumowuje.

Anna dodaje: – Ksiądz może dać mi burę w konfesjonale, ale niech ta rozmowa będzie dla mnie motywacją. Dobrze mieć kogoś, kto towarzyszy duchowo w tej drodze. To również wpływa na dobrostan, z którym mamy potem szansę pracować w trakcie terapii.

Połączenie obu tych sfer, duchowej i terapeutycznej, daje szansę zadbania zarówno o kondycję psychiczną, jak i relację z Bogiem. Bez wzajemnego konfliktu.

© ADRIAN BURTAN

REKLAMA



POLSKA STOLICA KULTURY
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Polskie Stolice Kultury dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
75 NARODOWE CENTRUM KULTURY
Miasto Bielsko-Biała
BB 2026 Bielsko-Biała Polska Stolica Kultury
Mecenas: TOTALIZATOR SPORTOWY LOTTO
Współpraca: Polska POLSKA ORGANIZACJA TURYSTYCZNA


W KRZYWYM ZWIERCIADLE POLITYKI

Czy ewangeliczny radykalizm da się pogodzić z realną polityką? Co w czasie konfliktów i wojen powinno być ważniejsze dla rządzących – nasze bezpieczeństwo czy nakaz miłowania nieprzyjaciół? Czy religia i polityka nie są dwoma odrębnymi porządkami wartości, których nie należy mieszać?

Tydzień temu artykułem **Michała Rzeczyckiego „W krzywym zwierciadle polityki" („TP" 41/2026)** rozpoczęliśmy debatę na temat relacji religii (i Kościoła) z polityką. Poniższy tekst jest kolejnym głosem.

Chrześcijaństwo musi być polityczne

KONSTANTY PILAWA

DYSKUSJE | Kościół po Soborze Watykańskim II nie schował Boga do szafy. Nie odwołał także tezy, że Chrystus jest Królem świata.

Przeprowadziłem niedawno wywiad z kard. Grzegorzem Rysiem. Zapytałem go, czy nie tęskni za czasami, w których Kościół katolicki cieszył się w Polsce niemal niepodważalnym autorytetem społecznym. W odpowiedzi usłyszałem anegdotę.

Kiedyś kard. Franciszek Macharski poświęcił dwa dni obradom Archidiecezjalnej Rady Duszpasterskiej w Zakopanem, debatującej nad możliwością powołania Akcji Katolickiej. Rozmawiano długo i ostatecznie wszyscy uznali, że jest to dobry pomysł. Kardynał wysłuchał wszystkich głosów, spisał je, po czym wrócił do Rady i oznajmił, że Akcji Katolickiej w archidiecezji nie będzie.

Dlaczego? Jak relacjonował mi kard. Ryś, Macharski miał dobrze rozumieć ducha nadchodzących czasów. Akcja Katolicka wyrastała z wizji Chrystusa królującego: Jezusa, którego panowanie obejmuje nie tylko życie prywatne i rodzinne, ale również życie społeczne i polityczne. Tymczasem Kościół po Soborze Watykańskim II coraz mocniej odkrywał odmienne oblicze Chrystusa – który nie przychodzi, aby panować nad człowiekiem, lecz aby mu służyć.

To rozróżnienie jest dla kard. Rysia istotne. Kościół może przemawiać do społeczeństwa albo z pozycji władcy, albo z pozycji sługi. Chrześcijanie, przekonuje krakowski metropolita, powinni wystrzegać się pokusy dominacji.

Gdy polityk wierzy

Trudno się z tym nie zgodzić. Kościół nie jest partią polityczną. Ewangelia nie jest programem wyborczym, a zdobycie większości parlamentarnej nie jest celem chrześcijaństwa. Historia zna wystarczająco wiele przypadków, w których związek religii z polityką kończył się źle zarówno dla polityków, jak i dla samego Kościoła.

Problem zaczyna się jednak wtedy, gdy z prawdziwego twierdzenia, że Kościół nie powinien nawracać ludzi siłą ręka w rękę z państwem, wyprowadza się twierdzenie znacznie dalej idące: że chrześcijaństwo powinno w ogóle wycofać się z polityki jako takiej.

Czy chrześcijanin, kiedy wkracza w życie publiczne – czy to jako obywatel, czy jako polityk – może zostawić swoją wiarę w domu? Czy katolik może uznać, że Ewangelia mówi mu, jak ma żyć prywatnie, ale milknie, kiedy trzeba zdecydować, w jaki sposób powinno wyglądać wspólne życie w państwie?

Chrześcijaństwo musi być polityczne – nie dlatego, że Kościół powinien zdobywać większość parlamentarną i prezydenckie pałace, lecz dlatego, że chrześcijaństwo ma coś do powiedzenia o człowieku, o wolności, o rodzinie, o sprawiedliwości, o własności, o solidarności, o pracy i wreszcie o tym, czym jest dobro wspólne.

To świat sekularny redukuje władzę do dominacji i przemocy, dla katolików zaś władza jest przede wszystkim służbą. Uczy o tym nie tylko Sobór Watykański II, ale i św. Tomasz z Akwinu.

Liberalni teolodzy

Gdy czyta się część publicystów katolickich czy tzw. progresywnych teologów, można odnieść wrażenie, że ich interpretacja ostatniego Soboru jest wybiórcza, i to chyba szczególnie w kontekście rozumienia stosunku Kościoła do państwa i władzy.

Dla przykładu Tomáš Halík, popularny w Polsce liberalny teolog, przekonuje w książce „Popołudnie chrześcijaństwa", że Kościół powinien przestać być religią, a stać się duchowością. Religia kojarzona jest tutaj ze strukturami, instytucjami, hierarchiami, tożsamością kulturową. Duchowość zaś z głęboką perspektywą egzystencjalną, pytaniami o sens życia, śmierci, cierpienia, w końcu Boga.

Czeski ksiądz nie neguje istotności sakramentów, liturgii czy wspólnoty, nie jest więc to wizja indywidualistyczna. Wyraźnie nieufny pozostaje jednak wobec tych form chrześcijaństwa, które wiążą się z hierarchią, instytucją, posłuszeństwem czy kulturową dominacją.

Wydaje się, że Halíkowi trudno wyobrazić sobie polityczność chrześcijaństwa inaczej niż jako formę mniej lub bardziej zawoalowanej przemocy. Cieszy się, że chrześcijaństwo przestało być religią panującą na Zachodzie, ponieważ dzięki temu zaczynamy, jego zdaniem, zrzucać z siebie wielki balast klerykalnej i upolitycznionej instytucji.

Trudno nie odnieść wrażenia, że Kościół z wizji Halíka przypomina naiwną utopię. Zamiast szpitala polowego, a nie zapominajmy, że one znajdują się

w pobliżu bitew, otrzymujemy jakiś bliżej nieokreślony ośrodek spirytualistyczno-terapeutyczny.

Jeżeli chrześcijaństwo wycofuje się z tych obszarów ludzkiego życia, które nie są bezpośrednio religijne, nie pozostawia ich pustymi. Ktoś je zagospodaruje. Paradoksalnie, próba ratowania Kościoła przed upolitycznieniem może więc skończyć się tym, że świat staje się nie bardziej, lecz mniej chrześcijański. Choć Królestwo Boże jest nie z tego świata, to jeszcze nikt nam nie pozwolił na to, aby przestać budować sprawiedliwszą rzeczywistość.

Jak interpretować Sobór

Jakże kontrastująco z wypowiedziami Halíka i jego naśladowców brzmią słowa Jana Pawła II, który już w swojej homilii inauguracyjnej mówił: „Nie lękajcie się. Otwórzcie, otwórzcie na oścież drzwi Chrystusowi! (...) Jego zbawczej władzy otwórzcie granice państw, systemów ekonomicznych, systemów politycznych, kierunków cywilizacyjnych. Nie lękajcie się!”.

Vaticanum II trzeba czytać konsekwentnie. Skoro Chrystus jest Panem całego człowieka, to nie można z nauki o wolności sumienia wyprowadzić postulatu neutralizacji chrześcijaństwa w życiu publicznym. W Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym „Gaudium et spes” obecna jest przestroga przed instrumentalizowaniem wiary na potrzeby polityczne oraz postulat instytucjonalnej autonomii Kościoła i państwa, ale jednocześnie podkreślona została konieczność współpracy, a także obowiązek zaangażowania katolików w życie obywatelskie.

Chrześcijanie mają troszczyć się o dobro wspólne i bronić chrześcijańskiej wizji człowieka, a jednocześnie muszą pamiętać o wolności sumienia i religii w państwie. Kościół jednak nigdy nie zrezygnował z wizji Chrystusa Króla – „Pana wszechświata i historii”, jak czytamy w Katechizmie Kościoła Katolickiego (668).

Jan Paweł II wielokrotnie powtarzał w swoim nauczaniu, że to Jezus „objawił pełnię człowieka człowiekowi”. Dlatego oddanie się Chrystusowi we władanie nie oznacza zniewolenia, lecz realizację naszej natury. I dotyczy to zarówno pojedynczych ludzi, jak i społeczeństw, a także państw.

Ojcowie soborowi wiedzieli, że postulat neutralności aksjologicznej państwa jest fikcją. Przyznawali tym samym rację Leo Straussowi, żydowsko-niemieckiemu filozofowi polityki, który trzeźwo zauważył, że każda polityka zakłada jakąś wizję dobrego życia i jakąś wizję człowieka.

Polityka może być albo próbą zmiany rzeczywistości na lepsze, albo utrzymaniem obecnego stanu rzeczy. Żeby ocenić swój pomysł jako lepszy lub aby bronić rzeczywistości takiej, jaka jest, musimy wpierw wytłumaczyć sobie, co jest dobre, a co złe. Zatem postulat neutralności światopoglądowej państwa nie jest światopoglądowo neutralny.

Po co katolikom partia

Poprzedni fragment brzmi teoretycznie, a polityka jest przede wszystkim działalnością praktyczną. Pojawia się zatem pytanie: jak w tejże praktyce życia społecznego realizować trudny ideał proponowany nam przez Kościół?

Mamy jako katolicy jednocześnie szanować wolność sumienia i religii innych ludzi, mamy zgadzać się na autonomię państwa i Kościoła, a jednocześnie mamy obowiązek bronić chrześcijańskiej antropologii, wcielać w życie postulat władzy pojmowanej jako służba i dążyć do społecznego królowania Jezusa Chrystusa. Niełatwe to zadanie. I to zapewne skala trudności sprawia, że jedni pragną Kościoła uwolnionego od polityki, a drudzy ulegają pokusie traktowania katolicyzmu jak tożsamości partyjnej, myląc krzyż z pałką na politycznych rywali.

Najlepiej umieścić te rozważania w konkretach. Państwo rodzinne przyjmuje inną antropologię niż państwo całkowicie indywidualistyczne. Inaczej wygląda polityka mieszkaniowa, jeśli mieszkanie jest rozumiane jako serce rodzinnego życia, a inaczej jeśli jest przede wszystkim aktywem inwestycyjnym.

Inaczej wygląda polityka narkotykowa i alkoholowa, jeśli człowiek jest istotą zdolną do absolutnego samostanowienia, a inaczej jeśli jest istotą wolną, choć słabą, a więc podatną na uzależnienia i wymagającą ochrony.

Inaczej wygląda polityka prorodzinna, jeśli dziecko jest dobrem wspólnym społeczeństwa oraz osobą stworzoną na obraz i podobieństwo Boże, a inaczej jeśli pozbawienie go życia w fazie prenatalnej będzie w prawie redukowane do rutynowego zabiegu.

Inaczej wreszcie będzie wyglądała polityka wobec internetowej prostytucji i dostępu dzieci do pornografii, jeśli będziemy ponad wszystko bronić prawa do samostanowienia i prywatności, a inaczej gdy zależeć nam będzie przede wszystkim na godności osoby.

Niekonfesyjne argumenty

Nietrudno rozpoznać, które z tych postulatów pasują do katolickiej wizji człowieka, a które są z nimi sprzeczne. Nietrudno zatem także wyobrazić sobie, jakie poglądy w sferze publicznej powinien głosić polityk przyznający się do katolicyzmu. Choć często nie jest to tak oczywiste.

Polityk ma jednak nie tylko szanować wolność religijną innych ludzi, ale także oddawać cesarzowi, co cesarskie, a Bogu to, co boskie. Dlatego z szacunku dla pluralizmu światopoglądowego powinien poszukiwać niekonfesyjnych argumentów na rzecz swoich tez.

To, że chrześcijaństwo jest źródłem jego poglądów, jeszcze niewiele znaczy w praktyce działania politycznego. Po to wykonuje on ten zawód, aby wcielać dobrą politykę w życie. A będzie skuteczny, działając w warunkach pluralistycznego społeczeństwa, gdy przekona większość do swoich postulatów. Nie zrobi tego wówczas, gdy swoje argumenty ograniczy do straszenia piekłem.

Polityka nie jest jednak wyłącznie sztuką przekonywania. Jest również sztuką organizowania trwałej większości zdolnej do przeprowadzenia określonych zmian. W obecnych okolicznościach nie zrobi się tego jednak w pojedynkę. Zatem potrzebna będzie politykowi partia przyznająca się do katolickich fundamentów, które nie tyle mają funkcjonować jak deklaracja tożsamości, ile stanowić źródło poglądów.

Nie należy katolicyzmu oczywiście ukrywać, ale trzeba także unikać instrumentalizowania krzyża, i to nie ze względu na demokratyczne reguły, bardziej ze względu na szacunek wobec Chrystusa.

Szatan w polityce

Nawet jeśli założymy jednak, że możliwy jest taki katolicki polityk, a nawet że możliwa jest partia uznająca chrześcijańską wizję człowieka za prawdziwą, to w praktyce ↦

↦ życia politycznego grupa ta będzie codziennie funkcjonowała w zepsutym środowisku, w którym wielokrotnie będzie dochodziło do nadużyć.

Nieuczciwa walka o wpływy i przetrwanie, manipulowanie emocjami tłumu, nierzadko konieczność głosowania wbrew swojemu sumieniu, obłudne budowanie wizerunku, niejasne reguły finansowania przedsięwzięć. To wszystko świat współczesnej polityki i codzienność katolików, którzy dziś uprawiają ten zawód. Być może więc dla dobra chrześcijańskich dusz powinniśmy raczej zgłosić postulat obowiązkowego zakazu uczestnictwa w polityce?

Gdyby obowiązkiem chrześcijanina było uciekanie od zła, to można byłoby to rozważyć. Polityka jest przestrzenią grzechu. Tak samo jak przestrzenią grzechu są media, biznes, uniwersytety i Kościoły. Z jakiegoś jednak powodu wydelikacone sumienia niektórych chrześcijan w Polsce starają się przekonać, że to właśnie politykę lepiej odpuścić i zająć się w zamian rozwijaniem swojej duchowości i swojej małej wspólnoty.

Polityka imigracyjna

Na koniec podbicie stawki. Nic tak nie pokazuje konieczności angażowania katolickich sumień w politykę, jak wojna za naszą wschodnią granicą i kryzys na granicy polsko-białoruskiej. Jesienią 2021 r. zobaczyliśmy, jak trudno w decyzjach wagi państwowej połączyć moralną naukę z przypowieści o miłosiernym Samarytaninie z polityczną roztropnością. Miały z tym wówczas problem obie strony sporu. Jedni, strasząc muzułmańskimi imigrantami, uzasadniali stosowanie wątpliwych moralnie push-backów, drudzy pozwalali sobie na pięknoduchostwo i brak szacunku dla Straży Granicznej. Czego w tej debacie zabrakło?

Dobrze uformowanych katolickich sumień połączonych z polityczną roztropnością. Wiele wskazuje na to, że podobne dylematy mogą wrócić w Polsce już w niedalekiej przyszłości. Tylko czy odrobiliśmy tę lekcję?

© KONSTANTY PILAWA

Autor jest doktorem filozofii, wiceprezesem Klubu Jagiellońskiego.



Moce doktora Kaszpirowskiego

JAN HLEBOWICZ, DANIEL WICENTY

PORTRETY | Hipnotyzujący Polaków u progu transformacji ustrojowej Anatolij Kaszpirowski zmarł 3 października. Skąd się wziął jego fenomen i jaką rolę odegrał w nim Kościół katolicki?

Jest druga połowa 1989 roku. Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego ostrzega wiernych przed Kaszpirowskim. Duchowni widzą w rozpalającym wyobraźnię Rosjan „sługę Szatana" i „okultystę" doprowadzającego osoby uczestniczące w seansach do opętań, obłędu, a nawet śmierci. Jednym z dowodów na obecność złych mocy stojących za psychiatrą jest jego nazwisko – słowo „kaszpir", przekonują księża, w języku białoruskim oznacza „wampira". Choć ta etymologia nie ma jakiegokolwiek naukowego uzasadnienia, plotka o diabelskim rodowodzie uzdrowiciela niesie się po Związku Radzieckim.

Mniej więcej rok później Kaszpirowski w Katedrze św. Michała Archanioła i św. Floriana Męczennika w Warsza-



NIKOLAI IGNATIEV / ALAMY / BE&W

Anatolij Kaszpirowski podczas spotkania z ludźmi szukającymi pomocy, 1989 r.

wie stoi naprzeciw wypełniających mury świątyni księży, zakonnic i wiernych. W mowie poprzedzającej seans odwołuje się do Biblii i Jezusa Chrystusa. Ludzie z aprobatą kiwają głowami. „Wyrażam wdzięczność Panu Bogu, tu, obecnemu w kościele, który przez człowieka, swojego sługę, pana Anatolija, uczynił takie dobro" – dziękuje jeden z kapłanów. Niedługo potem hipnotyzer pojawia się na Jasnej Górze, gdzie nocuje w celi, w której dotąd zatrzymywał się Jan Paweł II. W klasztorze z zabiegów „doktora Kaszpirowskiego" chętnie korzystają zakonnicy i ich goście.

Hipnoza na odległość

Druga połowa lat 80. to moment, w którym prowincjonalny psychiatra z ukraińskiej Winnicy, dotąd dorabiający pokazami hipnozy estradowej w kołchozach, zdobywa w Związku Radzieckim masową rozpoznawalność. Ojcem tego niespodziewanego sukcesu jest ówczesny wiceminister zdrowia Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej Jurij Spiżenko. Ten sam, który wcześniej wypromował inną „gwiazdę psychiatrii" – Aleksandra Dowżenkę, twórcę kontrowersyjnej metody psychoterapeutycznej leczenia alkoholizmu i innych nałogów.

Dobrze umocowany na Kremlu Spiżenko umożliwia Kaszpirowskiemu występy w głównej telewizji Związku Radzieckiego. Psychiatra ze studia w Kijowie hipnotyzuje reportera łączącego się z Moskwy. Później prezentuje na wizji swoją autorską terapię leczenia moczenia nocnego u dzieci. Punktem przełomowym dla jego przyszłej kariery jest telemost Kijów–Tbilisi, czyli, jak pisze Gabriel Michalik w biografii psychiatry, „pierwsza i dotąd jedyna tak poważna operacja chirurgiczna przeprowadzona w znieczuleniu psychologicznym na odległość".

Dwie pacjentki przygotowywane wcześniej przez Kaszpirowskiego, w towarzystwie ekipy telewizyjnej, zostają przyjęte do Kliniki Chirurgii Eksperymentalnej w Tbilisi. Kaszpirowski łączy się z Kijowa. Kiedy w trakcie jednej z operacji lekarze alarmują o nagłym spadku ciśnienia, hipnotyzer zwraca się do pacjentki: „Niesiesz ciężki worek cementu na czwarte piętro! Jest ciężki, bardzo ciężki". Po chwili widzowie słyszą komunikat: „ciśnienie w normie". O dwóch udanych operacjach bez farmakologicznego znieczulenia informują media na całym świecie. Hipnotyzer rusza na triumfalne tournée po największych salach Związku Radzieckiego, gromadząc jednorazowo po kilkanaście-kilkadziesiąt tysięcy osób.

W drugiej połowie 1989 r. hipnotyzer otrzymuje propozycję emisji sześciu seansów w centralnej telewizji w czasie najwyższej oglądalności. To właśnie retransmisje nagranych w Moskwie programów ze słynnym odliczaniem „adin, dwa, tri..." wkrótce ugruntują pozycję Kaszpirowskiego w Polsce. Nawiasem mówiąc, swego czasu Bernice Glatzer Rosenthal w książce „The Occult in Russian and Soviet Culture" sformułowała ciekawą hipotezę wskazującą, że to komunistyczni decydenci ZSRR odpowiedzialni za telewizję państwową dali zielone światło na seanse Kaszpirowskiego, licząc na odwrócenie uwagi społeczeństwa radzieckiego od wielkiego kryzysu społeczno-politycznego.

Szczyt popularności kontrowersyjnego lekarza bardzo szybko pociąga za sobą wielką publiczną krytykę. Jeszcze w trakcie emisji seansów negatywnie o metodach psychiatry z Winnicy wypowiada się część środowiska lekarskiego ZSRR. Przed działalnością Kaszpirowskiego przestrzega też Cerkiew. Co ciekawe, w podobnym czasie imponującą karierę telewizyjną rozpoczyna okrzyknięty konkurentem Kaszpirowskiego Alan Czumak. Ten były dziennikarz nieoczekiwanie odkrywa u siebie potężny dar uzdrawiania i przy wsparciu wysokich oficerów KGB otrzymuje swój program w telewizji. Wkrótce funkcjonariusze zakładają firmę oferującą seanse bioenergoterapeutyczne Czumaka. Po latach Kaszpirowski będzie twierdził, że radzieckie służby od początku świadomie robiły wszystko, by zahamować jego popularność, ponieważ „nie byli w stanie nad nim zapanować".

Wsparcie nauki i Kościoła

Na szczęście dla Kaszpirowskiego nowe możliwości otwiera przed nim Polska. A właściwie dziennikarka telewizyjna Halina Aczkasowa, Rosjanka z pochodzenia. Po obejrzeniu jednego z moskiewskich seansów proponuje swoim przełożonym ich retransmisję w II Programie TVP. Zgoda uzależniona jest od pozytywnej ekspertyzy naukowego autorytetu. Pieczęć taką przystawia psychoterapeuta doktor habilitowany Lechosław Gapik, autor monumentalnej publikacji poświęconej hipnozie. Rusza lawina popularności Kaszpirowskiego.

Radziecki hipnotyzer otrzymuje autorski program – „Teleklinikę doktora Kaszpirowskiego". Uzdrawia, jak sam twierdzi, tysiące osób w Sali Kongresowej, gdańskiej Hali Olivii, katowickim Spodku oraz Bazylice Mariackiej w Gdańsku. Spotyka się z Lechem Wałęsą, którego niebawem oficjalnie wesprze w wyborach prezydenckich. Przed telewizorami gromadzi miliony telewidzów. Z badań OBOP wynika, że „teleterapię" Kaszpirowskiego ogląda w marcu 1990 r. 59 proc. dorosłych Polaków. Zostaje laureatem prestiżowej nagrody Wiktora.

Kaszpirowskiego wspierają autorytety naukowe i przedstawiciele elit. ↦

↦ To jednak nie najważniejszy sojusznik kontrowersyjnego psychiatry. Hipnotyzer, przez całe życie konsekwentny ateista, być może nauczony negatywnymi doświadczeniami z Cerkwią Prawosławną, od początku próbuje „dobrze ułożyć się z Kościołem". W czasie seansów odwołuje się do Pisma Świętego i duchowości chrześcijańskiej. Wykonuje gesty miłe dla oka „tubylców" – odwiedza grób ks. Jerzego Popiełuszki, przekazuje na remont zniszczonego w pożarze jasnogórskiego klasztoru niebagatelną jak na ówczesne warunki kwotę 4 tysięcy dolarów i wspólnie z Kościołem organizuje w Polsce kolonie dla dzieci z Czarnobyla.

Pojawia się nawet pomysł, by u stóp Matki Boskiej Częstochowskiej na Jasnej Górze, w otoczeniu kamer, Kaszpirowski poddał znieczuleniu psychicznemu pacjenta operowanego w jednym z warszawskich szpitali. W ostatniej fazie organizacji show zostaje zablokowane. Wkrótce spada też oglądalność programów z udziałem Kaszpirowskiego. Ostatnie odcinki „Telekliniki" emitowane są w 1993 r.

Wysyp uzdrowicieli

Większość publicystów i badaczy przekonuje, że Kaszpirowski w Polsce trafił na unikalny, dziejowy moment transformacji – wtedy (i tylko wtedy) jego kariera mogła wystrzelić tak, jak wystrzeliła. Tyle że nie był on pierwszy. Nie był nawet pierwszym uzdrowicielem telewizyjnym. Polskie społeczeństwo miało u progu transformacji niemal dwie dekady doświadczeń z publicznymi seansami uzdrowicielskimi o rzeczywiście masowym charakterze. Były to wielkie mityngi organizowane w halach sportowych, na stadionach i w kościołach. Ich daty układały się w harmonogram przypominający tournée gwiazd popu.

Uzdrowiciele w bardzo wyraźny sposób pojawiają się w przestrzeni publicznej na początku lat 70. W 1974 r. „Literatura" inicjuje serię artykułów zatytułowaną „Moje jasnowidzenie świata". Jej autorem jest publicznie nieznany Andrzej Klimuszko. Teksty stają się hitem czytelniczym, a „Literatura" zaczyna być towarem pożądanym i pozyskiwanym spod lady. Klimuszko to w rzeczywistości duchowny (franciszkanin), którego talenty zielarskie oraz paranormalne są już rozpoznane od niemal trzech dekad.

W Polsce Kaszpirowski, choć przez całe życie jest konsekwentnym ateistą, **od początku próbuje „dobrze ułożyć się" z Kościołem katolickim**. I czyni to z dużym sukcesem.

Wiedza o jego świetnej ręce do ziół, diagnozowaniu oraz umiejętności poszukiwania zaginionych przy użyciu zdjęć od dawna przekazywana jest z ust do ust, od jednego człowieka w potrzebie do kolejnego. Swoją drogą, z talentów lokalizacji osób (lub ich szczątków) korzysta także całkiem regularnie... Milicja Obywatelska.

O. Klimuszko otrzymuje setki listów z prośbą o pomoc, a jego macierzysty klasztor w Elblągu staje się stałym miejscem peregrynacji osób w potrzebie. Publiczna popularność po artykułach „Literatury" wybija jednak ponad skalę. W jednym tylko styczniu 1979 r. o. Klimuszko dostaje łącznie 1318 listów. Miarą tej popularności niech będzie też zaproszenie, które do duchownego wysyła Irena Dziedzic, niezwykle wtedy popularna i wpływowa postać polskiej telewizji. Próbuje ściągnąć go do telewizyjnego „Tele-Echa" – na co ten się ostatecznie nie zgadza.

W połowie lat 70. do Polski po raz pierwszy przyjeżdża Brytyjczyk Clive Harris. Na przełomie roku 1978 i 1979 odbywa dwa wielkie objazdy po polskich parafiach. Podczas jednego z nich w Kościele św. Jacka w Warszawie w ciągu zaledwie trzech dni przez jego dłonie przewija się ok. 40 tys. osób. Przez kilka miesięcy dotyka mniej więcej pół miliona Polaków, a drugie tyle chętnych oczekuje na listach rezerwowych.

W latach 80. rozpoczynają się kariery Franciszka Fellmanna i Stanisława Nardellego. Seanse tego drugiego przyciągają tysiące: w 1983 r. katowicki „Spodek" wypełnia 15 tys. osób, w Rzeszowie na spotkanie przychodzi 20 tys., w Stalowej Woli zainteresowanych jest 28 tys., a w Lublinie aż 50 tys. Tłumy gromadzi także Fellmann. To on jest zresztą pionierem telewizyjnego „healingu": w 1983 r. poznański ośrodek Telewizji Polskiej zaprasza go do współpracy i bioenergoterapeuta jako pierwszy w PRL, na kilka lat przed Kaszpirowskim, prowadzi seans teleterapii.

Bioenergoterapeuci w parafiach

Awangarda publicznego uzdrawiania w powojennej Polsce stanowi niedużą grupkę. Na początku lat 80. bioenergoterapeutów jest nieco więcej, około dwustu. Dekadę później – już kilkanaście-kilkadziesiąt tysięcy. Mają różną popularność i metody pracy. Większa część nigdy nie pokonuje bariery lokalnej rozpoznawalności, nieliczni – jak Kaszpirowski – stają się częścią wspólnie podzielanej rzeczywistości. Przy dzielących ich różnicach wszyscy jednak zawdzięczają wiele jednemu aktorowi – Kościołowi katolickiemu. To Kościół otwiera dla nich podwoje, udostępniając infrastrukturę (świątynie, sale parafialne), niedoceniany kapitał społeczny parafialnych ludzi dobrej woli (i wolnego czasu) oraz autorytet wskazujący wiernym, że biorą udział w czymś aprobowanym. Poprzez Kościół swoje kariery rozpoczęli i Harris, i Kaszpirowski, i wielu innych.

Śmierć Anatolija Kaszpirowskiego nie oznacza wyraźnego końca jakiejś epoki, odejścia od czasu potransformacyjnego zamętu symbolicznego i społecznego czy cokolwiek egzotycznego synkretyzmu idei. Uzdrowiciele istnieją dalej i mają się dobrze. Niektórzy są bardziej nowocześni, na modłę coachingu lub z imponującą mimikrą naukowo-techniczną, inni zaś całkiem w typie tych wcześniejszych. Część z nich ponownie funkcjonuje w przestrzeni kościelnej, biorąc trochę z ducha pentekostalnego, trochę z mocy mediów społecznościowych.

© JAN HLEBOWICZ, DANIEL WICENTY

Autorzy są pracownikami naukowymi IPN w Gdańsku.

Korzystaliśmy z badań własnych, które wkrótce zostaną zaprezentowane w książce „Wygięte łyżki, pełne stadiony i księża z różdżkami. O uzdrowicielach i psychotronice w PRL" (Państwowy Instytut Wydawniczy) oraz publikacji „Kaszpirowski. Sen o wszechmocy" Gabriela Michalika i „The Occult in Russian and Soviet Culture" pod redakcją Bernice Glatzer Rosenthal.

O. WACŁAW

Oszajca:
Władza od Boga



Zważywszy na to, że Bóg daleko, a możliwość zawładnięcia i panowania nad kimś jest w zasięgu ręki, czemu nie skorzystać z okazji i nie stać się wreszcie kimś ważnym, najważniejszym? A że z Bogiem się nie dyskutuje, gdyż Jego wyroki nie podlegają zaskarżeniu, to i postanowienia urzędników przez Niego autoryzowanych również. Dlatego mającym władzę religijną czy świecką bardzo podoba się zdanie: „Jeśli Bóg jest przy nas, to któż przeciwko nam?". Może nawet nasi przeciwnicy mają rację, ale to my wiemy lepiej, co komu potrzebne do szczęścia. Stąd: „Wy nic nie rozumiecie. Nie bierzecie także pod uwagę tego, że będzie korzystniej, jeśli jeden człowiek umrze za lud, niż gdyby miał zginąć cały naród". Co było dalej, wiemy, ale tylko po części, bowiem „kapłan sprawujący wówczas urząd wygłosił proroctwo". A to znaczy, że poza widzialnymi uczestnikami tego wydarzenia działał jeszcze Ktoś.

Inny prorok, Izajasz, prorokował: „Tak mówi Pan do swojego pomazańca, Cyrusa, którego prawą rękę mocno ujął, aby przed nim ukorzyć narody i broń odebrać królom (...) Ja pójdę przed tobą (...) Połamię spiżowe wrota, pokruszę żelazne zasuwy (...) Ze względu na mojego sługę Jakuba i mego wybrańca Izraela wzywam cię po imieniu, nadaję ci zaszczytny tytuł, chociaż Mnie nie znasz". W innym czasie Piłat mówił do Jezusa: „»Nie chcesz ze mną rozmawiać? Czy nie wiesz, że mam władzę Cię uwolnić i mam władzę Cię ukrzyżować?« Jezus mu odparł: »Nie miałbyś żadnej władzy nade Mną, gdybyś nie otrzymał jej z góry«".

Wszyscy oni, jak też ci, którzy na Campo di Fiori spalili Giordana Bruno czy „służyli" w Auschwitz-Birkenau, sądzili, że uchwycili stery dziejów świata. Że mając władzę, jeśli nawet nie wierzyli w żadnego boga, stali się bogami. Nie chcieli czy też woleli nie wiedzieć, że, jak napisał Czesław Miłosz, nawet „Jeżeli Boga nie ma, / to nie wszystko człowiekowi wolno. / Jest stróżem brata swego / i nie wolno mu brata swego zasmucać, / opowiadając, że Boga nie ma". A na zarzut Leszka Kołakowskiego, że jedna z jego książek „jest bardzo piękna, ale przygnębiająca – żadnej nadziei", poeta odpowiedział: „Jeżeli tak jest, to jestem winien ciężkiego grzechu, bo takich książek, bez wiary i nadziei, pisać się nie powinno. (...) nie należy ludzi gorszyć – maluczkich czy nie maluczkich". ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Mocniejszy od Mocarza



„Gdy mocarz uzbrojony strzeże swego dworu, bezpieczne jest jego mienie. Lecz gdy mocniejszy od niego nadejdzie i pokona go, to zabierze całą jego broń, na której polegał, i rozda jego łupy". O kim Jezus mówi (zob. Łk 11, 15-26)? Mówi o szatanie („mocarz") i o sobie („mocniejszy od niego"). To On sam pokonuje i rozbraja szatana; tych, których on traktował jak „łup", obdarza wolnością. Jezus jest „mocniejszy od mocarza" tak dalece, że pokonuje go i wyrzuca jednym „palcem" („jeżeli Ja palcem Bożym wyrzucam złe duchy, to istotnie przyszło już do was królestwo Boże"; w. 20). Taka jest wszechmoc Boga: jednym „palcem" obezwładnia „mocarza"...

Tej siły wszakże – i to jest drugi element owej Dobrej Nowiny – Pan nigdy nie stosuje względem człowieka. O tym mówi ciąg dalszy naszej Ewangelii. Oto pewnego człowieka opuścił „duch nieczysty". Włóczy się po miejscach bezwodnych, „nie znajdując spoczynku". Wreszcie wraca tam, skąd wyszedł. „Przychodzi i zastaje go wymiecionym i przyozdobionym. Wtedy idzie i bierze siedmiu innych duchów, złośliwszych niż on sam; wchodzą i mieszkają tam. I stan owego człowieka staje się gorszy niż poprzedni".

To dramat człowieka, ale i dramat Boga. Zmarnowany Boży wysiłek wyzwolenia człowieka spod mocy zła. Wszystko na nic! Czy Bóg nie jest dość mocny, aby uchronić człowieka od nawrotu do zła – nawrotu, który kończy się upadkiem o wiele mocniejszym i głębszym? Czy nie ma Bóg dość siły?

Ależ, oczywiście, że ma! A nawet więcej: składa ją do dyspozycji człowieka: „jeżeli Ja palcem Bożym wyrzucam złe duchy, to istotnie przyszło już do was królestwo Boga". Królowanie Boga jest tuż, tuż – w zasięgu ręki. Bóg z całą swoją władzą i mocą jest na progu domu, z którego przed chwilą wyrzucił szatana. Nie potrafi jednak i nie chce wejść do środka bez zaproszenia. Nie naruszy i nie zgwałci ludzkiej wolności. Jego siła i królowanie biorą się wyłącznie z miłości.

Ewangelia mówi o Bogu wszechmocnym. Nieskończenie mocniejszym od złego. Poddającym całą swą moc decyzji i miłości człowieka. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

HISTORIA

ROK 1956: GLOBALNY PUNKT ZWROTNY

Z upływem czasu znaczenie wydarzeń sprzed 70 lat jest coraz mniej oczywiste. Przesłaniają je kolejne przełomy, coraz mniej jest świadków. Tymczasem wspominamy dziś jeden z kluczowych momentów w historii najnowszej Europy i świata.

ŁUKASZ KAMIŃSKI

Opowieść o burzliwym roku 1956 rozpocząć należy trzy lata wcześniej: w chwili śmierci Józefa Stalina (1 marca 1953 r.). Jej skutkiem była nie tylko brutalna rozgrywka o władzę nad Związkiem Sowieckim i pierwsza fala protestów w bloku wschodnim, ale także odprężenie na arenie międzynarodowej.

Pierwsze wstrząsy

Stalin nie pozostawił oczywistego następcy, zaraz po jego śmierci na Kremlu pojawiła się więc idea przywództwa kolektywnego. Szybko okazało się jednak, że najsilniejszą pozycję ma Ławrientij Beria, szef tajnej policji (NKWD). W dodatku jako jedyny miał pomysł na reformy, proponując liberalizację wewnętrzną i odprężenie na arenie światowej.

Szybko też zawiązała się koalicja jego wrogów, którzy pod koniec czerwca 1953 r. doprowadzili do aresztowania Berii (kilka miesięcy później został stracony). Władzę podzielili między siebie: sekretarz generalny Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego (KPZS) Nikita Chruszczow, premier Gieorgij Malenkow i minister spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow. Spośród nich stopniowo najsilniejszą pozycję zdobywał Chruszczow.

Co istotne: jako pretekst do rozprawy z Berią trójka ta wykorzystała masowe protesty, które wybuchły w Niemieckiej Republice Demokratycznej w połowie czerwca 1953 r., a do historii przeszły jako „powstanie ludowe". Były one zwieńczeniem pierwszej fali buntów społecznych w bloku wschodnim, związanych z nadziejami na zmiany po śmierci Stalina.

Pierwszy zatem, jeszcze dość słaby protest miał miejsce w początkach maja 1953 r. w Bułgarii: strajk objął zakłady tytoniowe w Płowdiwie. Choć władze początkowo wysłały delegację na rozmowy z robotnikami, ostatecznie użyły siły. Zginęły co najmniej trzy osoby, kilkadziesiąt raniono.

Między Pilznem a Berlinem

Znacznie szerszy zasięg przybrał protest w Czechosłowacji, wywołany przez reformę walutową. Pozbawiła ona społeczeństwo oszczędności i zdewaluowała wartość wynagrodzeń. W odpowiedzi wybuchło ponad 130 strajków, w kilku miejscowościach doszło do demonstracji. Największa miała miejsce w Pilźnie, gdzie na ulice wyszło ok. 20 tys. osób. Protest brutalnie spacyfikowano, tylko w Pilźnie przed sądem postawiono 331 osób.

Największy zasięg przybrał jednak wspomniany już bunt mieszkańców NRD. Zapoczątkowany przez strajk robotników budowlanych w Berlinie 17 czerwca 1953 r., rozlał się na cały kraj. W kilkuset miejscowościach doszło do strajków i demonstracji, a żądania ekonomiczne szybko przekształciły się w polityczne. Atakowano siedziby komunistycznej partii i więzienia, władze całkowicie straciły kontrolę nad sytuacją. Ocaliła je natychmiastowa interwencja wojsk sowieckich. Zginęło co najmniej 55 osób, setki skazano na kary więzienia.

Jednak efektem protestów były nie tylko represje. Sowieckie kierownictwo nakazało zliberalizować politykę gospodarczą w Czechosłowacji i NRD, a także na Węgrzech, gdzie również diagnozowano silne napięcie społeczne.

Duch Genewy

Niezależnie od rozprawy z Berią, jego przeciwnicy przejęli jego pomysł na deeskalację napięcia w stosunkach z Zachodem. 27 lipca 1953 r. w Panmundżom podpisano rozejm, który zakończył wojnę na Półwyspie Koreańskim. Przez trzy lata była ona główną areną konfrontacji obu bloków militarno-politycznych. Potem, w 1954 r., przez kilka miesięcy obradowała konferencja w Genewie. Przedstawiciele Francji, USA, Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego, przy udziale innych państw, wypracowali zasady zakończenia wojny w Indochinach. Uzgodniono m.in. podział Wietnamu na dwa państwa: północne (komunistyczne) i południowe (wspierane przez Francję, a potem USA).



WIESŁAW PRAŻUCH / PAP

Zmianę lidera partii komunistycznej Polacy przyjęli z nadzieją, a próba sowieckiej ingerencji rozpaliła społeczne emocje. Na zdjęciu: wiec z udziałem nowego I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki na Placu Defilad w Warszawie, 24 października 1956 r.

W kolejnym roku spotkano się w Genewie ponownie, tym razem na najwyższym szczeblu – liderów państw. Rozmawiano m.in. o zjednoczeniu Niemiec i rozbrojeniu. Mimo braku konkretnych efektów, coraz częściej mówiono o „duchu Genewy", czyli nowej atmosferze w relacjach międzynarodowych.

Beneficjentem tego odprężenia stała się Austria: w maju 1955 r. zakończyła się jej okupacja przez cztery mocarstwa. W zamian za neutralność, Austria uzyskała suwerenność. Poprawiły się też relacje między Związkiem Sowieckim a Jugosławią, wykluczoną kilka lat wcześniej z bloku wschodniego.

Nie oznacza to jednak, że nie było napięć. Przyjęcie Republiki Federalnej Niemiec do NATO spotkało się z odpowiedzią w postaci utworzenia w maju 1955 r. Układu Warszawskiego.

Referat Chruszczowa

Na początku 1956 r. Chruszczow zdecydował się zakończyć proces przejmowania pełni władzy. Wykorzystał w tym celu lutowy XX Zjazd KPZS, podczas którego, ku zaskoczeniu uczestników, zwołano nocną tajną sesję, a w jej trakcie Chruszczow wygłosił referat poświęcony „błędom" i zbrodniom Stalina.

Mimo utajnienia, jego treść wyciekła – i wywołała wstrząs w całym obozie państw komunistycznych. Potępienie człowieka, którego jeszcze niedawno wręcz deifikowano, było szokiem dla działaczy partyjnych – i źródłem nadziei na zmiany dla zwykłych ludzi.

Szczególnie silny efekt referat Chruszczowa wywołał w Polsce. Związane to było nie tylko z faktem, iż jedynie w PRL powielono go w dużej liczbie egzemplarzy i odczytywano podczas otwartych dla publiczności zebrań partyjnych. Dużą rolę odegrała też nagła śmierć w Moskwie Bolesława Bieruta, lidera Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR). Zapoczątkowało to walkę o władzę między frakcjami „konserwatywną" i „reformatorską" (od miejsc spotkań nazywanymi „natolińczykami" i „puławianami").

Wspomniane zebrania partyjne miały częstokroć burzliwy charakter. Mówiono otwarcie o zbrodniach sowieckich (w tym Katyniu), braku pomocy dla powstania warszawskiego, eksploatacji gospodarczej Polski, podnoszono nawet kwestię granicy z ZSRS. Jeszcze kilka tygodni wcześniej coś takiego zakończyłoby się aresztem.

Niezależnie od wewnętrznego podziału, przywódcy PZPR zdawali sobie sprawę z nastrojów społecznych i konieczności zmian. Na nowego sekretarza partii wybrano umiarkowanego, ale jednocześnie bezbarwnego Edwarda Ochaba. Zapowiedziano poprawę poziomu życia ludności, aresztowano kilku wyższych rangą funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, wreszcie pod koniec kwietnia ogłoszono amnestię. Te ograniczone działania nie mogły jednak powstrzymać wybuchu.

Poznański bunt

Zła sytuacja ekonomiczna dotykała wszystkich. W dawnych Zakładach Cegielskiego w Poznaniu (wciąż noszących ↦

↦ imię Stalina) robotnicy stali się dodatkowo ofiarą niekorzystnego naliczenia podatku. Gdy próby rozmów nie przyniosły rezultatu, postanowili zaprotestować. 28 czerwca, w porozumieniu z załogami niektórych innych przedsiębiorstw, zaczęli strajk i wyszli na ulice miasta.

Protest szybko przybrał powszechny charakter. W centrum Poznania zgromadziło się do 100 tysięcy osób. Po kilku godzinach obok postulatów ekonomicznych pojawiły się żądania polityczne, a sam protest przekształcił się w zbrojną insurekcję. Demonstranci zdobyli więzienie i zaatakowali siedzibę UB. Wierzono, że podobne wydarzenia mają miejsce w całej Polsce.

Odpowiedzią władz było użycie siły. Do miasta wkroczyło 10 tysięcy żołnierzy i kilkaset czołgów. W walkach zginęło 58 osób, kilkaset raniono, kolejne setki aresztowano.

Krwawa rozprawa z Poznaniakami nie uspokoiła jednak nastrojów. Przeciwnie – robotnicy w wielu miejscach domagali się podwyżek i poprawy zaopatrzenia, niekiedy grożąc „drugim Poznaniem". Chłopi coraz śmielej występowali z kołchozów, spółdzielni tworzonych po 1948 r. na wzór sowiecki. Manifestacją stały się sierpniowe uroczystości na Jasnej Górze, gdzie kilkaset tysięcy pielgrzymów odnowiło śluby Jana Kazimierza. Duże wrażenie wywierał pusty fotel prymasa Stefana Wyszyńskiego, więzionego od 1953 r.

Polski Październik

Obie skłócone frakcje w PZPR pokładały nadzieję na uspokojenie sytuacji w powrocie do władzy Władysława Gomułki, usuniętego w 1948 r. i przez pewien czas więzionego. Uzgodniono, że zostanie on nowym I sekretarzem partii podczas posiedzenia jej Komitetu Centralnego, które rozpoczęło się 19 października.

Niespodziewanie kilka godzin po rozpoczęciu obrad w Warszawie wylądował niezapowiedziany samolot z Moskwy, z którego wysiadł Chruszczow. Jednocześnie zaczęły napływać meldunki o ruchu sowieckich kolumn pancernych w kierunku stolicy. Ostatecznie po wielogodzinnych nocnych negocjacjach sowiecki lider dał szansę Gomułce – i wstrzymał interwencję zbrojną.

Wybór nowego lidera PZPR Polacy przyjęli z nadzieją, a próba sowieckiej ingerencji rozpaliła społeczne emocje. W całym kraju zwoływano wiece. Niektóre przybierały charakter żywiołowy: niszczono komunistyczne symbole, dochodziło do obalania pomników i ataków na obiekty kojarzone z władzą. Powszechnie domagano się wolnych wyborów i wycofania wojsk sowieckich z Polski. W fabrykach powstawały rady robotnicze, studenci tworzyli komitety rewolucyjne.

Po kilku tygodniach sytuacja zaczęła się jednak uspokajać. Wpłynęły na nią ustępstwa Gomułki: zwolniono prymasa Wyszyńskiego i rozpoczęto negocjacje z Kościołem, zgodzono się na rozwiązywanie znienawidzonych kołchozów, z funkcji ministra obrony usunięto sowieckiego marszałka Konstantego Rokossowskiego, zapowiedziano stworzenie samorządu robotniczego.

Największy wpływ na ograniczenie żądań miały jednak wieści z Węgier.



AP PHOTO / EAST NEWS

Wojna o Kanał Sueski miała być szybką operacją, a pokazała słabość Londynu i Paryża. Na zdjęciu: brytyjskie i francuskie okręty oraz śmigłowce zbliżają się do egipskiego Port Saidu, 12 listopada 1956 r.

Rewolucja w Budapeszcie

Wydarzenia w Polsce ze szczególnym napięciem obserwowano na Węgrzech. Kraj ten doświadczył krótkotrwałej liberalizacji gospodarczej w 1953 r., gdy premierem został Imre Nagy. Wiosną 1955 r. został on jednak usunięty przez stalinowskiego lidera partii Mátyása Rákosiego. Po XX Zjeździe KPZS również nad Dunajem pojawiły się nadzieje. Uosabiał je powołany w marcu w Budapeszcie Klub Petőfiego, organizujący cieszące się wielkim powodzeniem publiczne dyskusje.

Rákosi uznał, że stłumienie poznańskiego powstania daje szansę na „przykręcenie śruby". Zawieszono Klub Petőfiego, rozpętano kampanię przeciw zwolennikom reform. Niespodziewanie do gry włączyła się jednak Moskwa, obawiająca się, że doprowadzi to do buntu. Rákosi został usunięty, na czele partii postawiono jego współpracownika Ernö Gerö. Nie był on jednak w stanie pozyskać zaufania społecznego.

W takiej sytuacji napływające z Polski wieści budziły wielkie zainteresowanie. W reakcji na informację o interwencji Chruszczowa i ruchach wojsk sowieckich, studenci z Budapesztu zwołali na 23 października wiec pod pomnikiem Józefa Bema. Obalono górujący nad stolicą pomnik Stalina – i w ciągu kilku godzin pokojowa manifestacja przekształciła się w zbrojne powstanie.

Węgry we krwi

Komunistyczne władze szybko straciły kontrolę nad sytuacją – i wezwały na pomoc stacjonujące na Węgrzech wojska sowieckie. Ponieważ nie były one jednak w stanie stłumić powstania z marszu, zdecydowano się na środki polityczne.

27 października premierem został Nagy. Uznał on, że jedynym wyjściem

jest spełnienie żądań społeczeństwa. Symboliczny wymiar miało uwolnienie prymasa Józsefa Mindszentyego, ale ważniejsze było przywrócenie systemu wielopartyjnego i wejście niekomunistycznych polityków do rządu. Zaczęto negocjacje o wyjściu wojsk sowieckich z kraju. Nagy zapowiedział wolne wybory, a 1 listopada zadeklarował neutralność Węgier i ogłosił opuszczenie Układu Warszawskiego.

W tym czasie trwały już przygotowania do drugiej interwencji sowieckiej. Rozpoczęła się ona nad ranem 4 listopada. Tym razem przewaga agresorów była przygniatająca, użyto artylerii i lotnictwa. Ostatnie punkty zbrojnego oporu padły po tygodniu.

Choć strajki i manifestacje trwały jeszcze wiele tygodni, swoją władzę stopniowo umacniał nowy rząd na czele z Jánosem Kádárem, narzucony przez Moskwę. Zaczęły się masowe represje, kilkaset osób stracono. Wśród nich był Nagy, który początkowo schronił się w ambasadzie Jugosławii, skąd go podstępem wywabiono. Prymas Mindszenty spędził w ambasadzie USA blisko dwie dekady. Z kraju uciekło ok. 200 tysięcy Węgrów.

Bunt się rozlewa – i wygasa

Wydarzenia w Polsce i na Węgrzech budziły zainteresowanie w innych państwach bloku sowieckiego. Stopniowo także i w nich zaczęły się pojawiać oznaki wrzenia.

Do protestów studentów doszło zatem w Bukareszcie i kilku innych miastach Rumunii. Wszędzie, także w samym Związku Sowieckim, odnotowano nasilenie się przejawów sprzeciwu, takich jak ulotki i napisy na murach. Nawet w NRD ujawniła się grupa reformatorska w partii.

Przez krótką chwilę wydawało się, że możliwe są daleko idące zmiany, a nawet upadek systemu komunistycznego. Nadzieje te prysły wraz z sukcesem sowieckiej interwencji na Węgrzech – oraz świadomością, że Zachód nic nie zrobi (nie może zrobić), by pomóc buntownikom.

Kryzys sueski

Jesienią 1956 r. świat przyglądał się nie tylko sytuacji w Europie Środkowo-Wschodniej.

W chwili, gdy na ulicach Budapesztu wywieszano węgierskie flagi bez symboli komunistycznych, 29 października Izrael zaatakował Egipt, zajmując półwysep Synaj. Dwa dni później do tej agresji przyłączyły się Francja i Wielka Brytania, przejmując kontrolę nad Kanałem Sueskim.

> W PRL-u większość tzw. zdobyczy Października okazała się nietrwała. Przetrwały dwie: **odbudowa pozycji Kościoła i odwrót od kolektywizacji rolnictwa.**

Wywołana jego wcześniejszą nacjonalizacją, akcja ta miała szerszy kontekst. Oba europejskie państwa straciły swoją mocarstwową pozycję na skutek II wojny światowej, borykały się też z wyzwaniami związanymi z nasilającymi się żądaniami dekolonizacji. O ile Brytyjczycy zdołali z wielkim trudem zdławić powstanie Mau-Mau w Kenii, to Francuzi, którzy wcześniej stracili część Indochin, byli bezradni wobec nasilającej się rebelii w Algierii.

Jednak agresorzy zostali zaskoczeni negatywną reakcją opinii międzynarodowej, która wsparła Egipt. Szczególnie silna była presja USA, które ostatecznie wymusiły wycofanie się obcych wojsk z Egiptu. Ukazało to słabość niedawnych potęg, które teraz nie były w stanie podejmować skutecznych działań bez wsparcia amerykańskiego patrona.

Konsekwencje

Burzliwy rok 1956 miał rozliczne skutki. Zacznijmy od tych globalnych – od konsekwencji dla światowego ruchu komunistycznego. To rok 1956 i destalinizacja przesądziły o tym, że Chiny ostatecznie poszły własną drogą i stworzyły osobny nurt światowego komunizmu, konkurencyjny dla Związku Sowieckiego. Ostatecznie rozłam dokonał się w 1960 r.; wówczas z Moskwą zerwała też Albania. Stopniowe uniezależnianie się Korei Północnej było mniej spektakularne, ale widoczne.

Konsekwencje poniósł też Zachód, zwłaszcza Wielka Brytania i Francja. W przypadku Paryża upokarzający odwrót znad Kanału Sueskiego przyspieszył kryzys, zapoczątkowany klęską w Indochinach i wojną w Algierii. Doprowadził on do upadku IV i narodzin V Republiki. Londyn i Paryż zostały też zmuszone w kolejnych latach do przyspieszonego wycofania się ze swoich kolonii.

Kryzys sueski sprawił również, że na dwie dekady głównym wrogiem Izraela stał się Egipt, co sprzyjało eskalacji konfliktu bliskowschodniego. Choć z czasem Kair zmienił politykę i zawarł pokój z państwem żydowskim, samego tego konfliktu nie udało się rozwiązać do dziś.

Procesy długiej zmiany

A w bloku wschodnim? Tutaj w Polsce nastała krótkotrwała liberalizacja, osłabła cenzura, ograniczono inwestycje w przemysł ciężki, by zwiększyć konsumpcję, na chwilę uniezależniły się „stronnictwa sojusznicze" PZPR, powstały nowe organizacje młodzieżowe. Ale większość tzw. zdobyczy Października okazała się nietrwała. Przetrwały dwie: odbudowa niezależnej pozycji Kościoła (mimo nawrotu represji) i odwrót od przymusowej kolektywizacji rolnictwa.

W innych państwach bloku wschodniego, na czele z Węgrami, w krótkiej perspektywie widoczne było raczej „dokręcanie śruby". W dłuższej jednak wszędzie wyciągano wnioski z roku 1956, także w polityce gospodarczej. Ten przełomowy rok zapoczątkował również różnicowanie się polityki wewnętrznej poszczególnych państw bloku. Dekadę później różnice były już znaczące, aby przywołać choćby kazus Rumunii, która pod rządami Nicolae Ceaușescu starała się prowadzić także niezależną politykę zagraniczną.

Nierozstrzygniętą pozostaje wśród historyków kwestia, czy w dłuższej perspektywie zmiany zapoczątkowane w 1956 r. przyczyniły się *per saldo* do dłuższego trwania systemu komunistycznego, czy też przeciwnie – zapoczątkowały długotrwały proces, wiodący do jego upadku. Argumentem na rzecz pierwszej tezy jest zmniejszenie społecznego napięcia i ułatwienie przystosowania się. Za drugą przemawia osłabienie spójności całego bloku i zakresu kontroli nad społeczeństwem.

Z innej zaś strony: po roku 1956 Amerykanie zarzucili taktykę „odpychania komunizmu", *de facto* godząc się z sowiecką strefą wpływów. © ŁUKASZ KAMIŃSKI

Autor jest historykiem, pracuje w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego. Od 2022 r. jest także dyrektorem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. W latach 2011-16 był prezesem IPN.

Program „Kultura”
ruszyły nabory wniosków, a stawka jest wysoka



W 2024 roku zakończyła się kompleksowa renowacja jednego z najbardziej rozpoznawalnych symboli Gdańska – średniowiecznego Żurawia. Projekt obejmował nie tylko konserwację zabytku, ale również stworzenie nowych przestrzeni wystawienniczych ukazujących życie portowego miasta przełomu XVI i XVII wieku. Warto podkreślić, że projekt był realizowany we współpracy z norweskimi muzeami Vest i Lindesnes, co umożliwiło wymianę wiedzy i doświadczeń pomiędzy partnerami.

Ta największa po wojnie renowacja Żurawia, warta ponad 21 mln zł, była możliwa dzięki dotacji z Programu „Kultura” finansowanego z funduszy norweskich i EOG. Środki te od ponad 20 lat wspierają polską kulturę – w lipcu br. ruszyły konkursy do IV edycji Programu „Kultura”, którego operatorem jest Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Kultura jako most między krajami

Program „Kultura” nie jest zwykłym programem grantowym. Jego fundamentalnym założeniem jest coś więcej – trwała współpraca kulturalna między Polską a Norwegią, Islandią i Liechtensteinem. Te trzy państwa nie są członkami Unii Europejskiej, ale – w zamian za dostęp do rynku unijnego – przekazują regularnie środki krajom Europy Środkowo-Wschodniej oraz Portugalii i Grecji. Polska jest ich największym beneficjentem, a polski Program „Kultura” otrzymał największą dotację wśród wszystkich krajów w Europie.

> W 2026 roku wynegocjowaliśmy największy w historii budżet Programu „Kultura”, wspieranego ze środków Mechanizmu Finansowego EOG i Norweskiego Mechanizmu Finansowego – ponad 106 mln euro (ok. 466 mln zł), z czego 90 mln euro pochodzi z Norwegii, Islandii i Liechtensteinu, a 16 mln euro z budżetu państwa polskiego. W tej edycji szczególny nacisk kładziemy na rozwój kultury w małych i średnich miastach oraz wzmacnianie potencjału organizacji pozarządowych
>
> – powiedziała Marta Cienkowska, ministra kultury i dziedzictwa narodowego, w czasie briefingu prasowego 10 lipca br., informującego o rozpoczynających się naborach.

Celem Programu „Kultura” jest zwiększenie uczestnictwa w kulturze, różnorodności w sztuce oraz zrównoważony rozwój lokalnego dziedzictwa kulturowego. Dofinansowanie skierowane będzie w dużej mierze do mniejszych ośrodków, które mają ogromny potencjał, ale potrzebują wsparcia w zakresie konserwacji zabytków, tworzenia nowoczesnych przestrzeni kultury czy profesjonalizacji kadr.

Wieloletnie sukcesy

Wsparcie funduszy norweskich i EOG dla polskiej kultury od 2004 roku, czyli od momentu wejścia do Unii Europejskiej, zaowocowało 262 projektami na terenie całej Polski. Spośród nich 77 to projekty infrastrukturalne, a 185 to działania międzynarodowe z zakresu różnych dziedzin kultury i sztuki. Łączna kwota dofinansowania wyniosła blisko 1,2 mld zł. Przy realizacji projektów zawiązano ponad 320 partnerstw z instytucjami norweskimi i islandzkimi, z których część funkcjonuje do dziś.

Na liście uczestników programu są zarówno duże, rozpoznawalne instytucje, jak np. Zamek w Malborku, Zamek Pieskowa Skała czy Biblioteka Narodowa w Warszawie, jak i lokalne, np. Miejski Dom Kultury w Stalowej Woli czy Muzeum Ceramiki w wyremontowanym pałacu Pücklera w Bolesławcu. Warto podkreślić, że Program „Kultura” umożliwił budowę kilku nowych siedzib instytucji, jak np. Muzeum Kultury Wilamowskiej w Wilamowicach, poświęconego jednej z najmniejszych społeczności etnicznych w Polsce: Wilamowianom, czy Ośrodka Kultury Morskiej w Gdańsku. Nie zabrakło też projektów związanych z szeroko pojętą działalnością artystyczną oraz edukacją kulturalną. Muzeum Historii Żydów Polskich Polin zrealizowało dwa projekty edukacyjne mające na celu ochronę i popularyzację dziedzictwa polskich Żydów. Dzięki środkom z programu odbywały się koncerty i festiwale, m.in. Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk czy Suwałki Blues Festiwal. Miłośnicy rzeźby mogli podziwiać prace Gustava Vigelanda podczas wyjątkowej wystawy zorganizowanej przez Muzeum Narodowe w Krakowie. Z kolei w Poznaniu, dzięki projektowi Biblioteki Raczyńskich, czytelnicy mogą korzystać z sieci książkomatów, obejmującej miejsca, gdzie nie ma filii bibliotecznych.

Aktualnie trwają nabory do dwóch działań w ramach kolejnej, IV edycji Programu „Kultura”.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Działanie 1.: „Rewitalizacja i zrównoważone zarządzanie dziedzictwem kulturowym z aktywnym udziałem społeczności lokalnej”

Działanie 1. wspiera projekty infrastrukturalne, które mają na celu ochronę i rewitalizację dziedzictwa kulturowego, jak również zwiększenie jego dostępności dla odwiedzających, wzmocnienie odporności dziedzictwa na zagrożenia środowiskowe oraz spowodowane działalnością człowieka. Projekty realizowane w ramach Działania 1. będą angażować społeczności lokalne oraz promować dziedzictwo niematerialne, np. ochronę tradycyjnych praktyk, ginących zawodów.

Nabór do Działania 1. trwa do 31 grudnia 2026 roku i – co warto podkreślić – **będzie to jedyny nabór w obecnej edycji Programu**.

O dofinansowanie mogą aplikować jednostki samorządu terytorialnego (składające wniosek na rzecz instytucji kultury), samorządowe instytucje kultury oraz organizacje pozarządowe działające w obszarze kultury. **Do Działania 1. nie mogą składać wniosków podmioty z miast liczących ponad 500 tysięcy mieszkańców**, a projekty muszą być realizowane w Polsce (poza dużymi miastami liczącymi powyżej 500 tysięcy mieszkańców). Partnerstwo z inną polską instytucją jest obowiązkowe, a partnerstwo z podmiotami z Norwegii, Islandii, Liechtensteinu choć nieobowiązkowe, jest rekomendowane. Możliwe jest także partnerstwo z podmiotami z Ukrainy czy innych państw – beneficjentów środków EOG (np. Czech, Rumunii czy Bułgarii).

Pula dostępnych środków w tym naborze to 64,46 mln euro. Projekt może otrzymać dofinansowanie od 1 mln euro do 3,5 mln euro.

Działanie 2.: „Zwiększenie udziału społeczności w zróżnicowanej lokalnej scenie kulturalnej”

Działanie 2. koncentruje się przede wszystkim na promocji współpracy międzynarodowej w kulturze. Ponadto projekty mają przyczyniać się do zwiększenia włączenia społecznego i uczestnictwa w kulturze. W ramach Działania 2. wspierane będą wydarzenia artystyczne i kulturalne (np. wystawy, spektakle, festiwale) oraz służące profesjonalizacji kadr kultury (rezydencje artystyczne, mentoring, warsztaty, szkolenia z zakresu zarządzania i kompetencji cyfrowych).

Pierwszy nabór do Działania 2. trwa do 10 listopada 2026 roku. Następne nabory odbędą się kolejno w 2027 i w 2028 roku.

Krąg uprawnionych wnioskodawców to publiczne instytucje kultury, jednostki samorządu terytorialnego działające w imieniu samorządowych instytucji kultury, szkoły i uczelnie artystyczne, organizacje pozarządowe z sektora kultury, a także małe i średnie przedsiębiorstwa działające w tym obszarze.

Partnerstwo z podmiotami z Norwegii, Islandii i Liechtensteinu jest w tym działaniu obowiązkowe. Możliwe jest także partnerstwo z podmiotami z Polski, Ukrainy oraz z innych państw – beneficjentów środków EOG.

Budżet pierwszego naboru to 3,5 mln euro. Projekt może otrzymać dofinansowanie od 100 tys. do 500 tys. euro.

Warto spróbować

Historia poprzednich edycji pokazuje, że Program „Kultura” skutecznie zmienia krajobraz kulturalny Polski, a dzięki zaangażowaniu kolejnych beneficjentów i ich partnerów staje się realnym impulsem do dalszych zmian.

Zapraszamy do składania wniosków!











MICHAŁ ZIĘBA / MATERIAŁY PRASOWE X6

Szczegółowe informacje o Programie „Kultura” i zasady aplikowania o środki można znaleźć pod adresem:
eeagrants.org/pl/poland/programmes/culture

Wspólnie działamy na rzecz zielonej, demokratycznej i odpornej Europy.

Iceland Liechtenstein Norway grants

Norway grants

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NAGRODY NOBLA 2026

Przybysze z kosmicznych zakamarków

ŁUKASZ KWIATEK

Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki otrzymał amerykański fizyk belgijskiego pochodzenia Francis Halzen za pomysł i budowę obserwatorium neutrin schowanego w antarktycznym lodzie.

Supernowe, czyli spektakularne eksplozje gwiazd, są świetnie widoczne dla teleskopów optycznych, a czasem nawet można je dostrzec gołym okiem na nocnym niebie. Najczęściej obserwowane supernowe, należące do tzw. typu II, zachodzą pod koniec życia masywnych gwiazd, kiedy to znajdujące się w centrum gwiazdy ciężkie jądra nie są już w stanie przeciwstawić się sile grawitacji. Dochodzi wówczas do katastrofalnego kolapsu i „odbicia", którego skutkiem jest potężna eksplozja. Źródła historyczne wskazują, że astronomowie przerażają lub zachwycają się nimi od prawie dwóch tysięcy lat. Obecnie rejestrujemy je rutynowo, a do tej pory zaobserwowaliśmy już dziesiątki tysięcy takich zdarzeń.

Supernowa o niezbyt porywającej nazwie SN 1987A (astronomowie lubią porządek w swoich katalogach), oddalona od nas o 160 tys. lat świetlnych, była wśród nich wyjątkowa. Bo astronomowie po raz pierwszy w historii odebrali z niej sygnał – z początku o tym nie wiedząc – zanim zobaczyli ją na niebie.

Świadkowie eksplozji

Neutrina są specyficznymi kosmicznymi przybyszami. To cząstki elementarne, które są wyjątkowo „obojętne" na otaczającą je rzeczywistość – bardzo słabo oddziałują z jakąkolwiek inną materią. Nie mają ładunku elektrycznego, ich masa jest bardzo mała, poruszają się przy tym z prędkością bliską prędkości światła. To wszystko sprawia, że bardzo trudno je wyłapywać, mimo że dosłownie bombardują nas ich strumienie – głównie pochodzące ze Słońca (fizycy szacują, że 65 miliardów neutrin w każdej sekundzie przelatuje przez... paznokieć naszego małego palca).

Ale „obojętność" neutrin jest także ich astrofizyczną zaletą. Bo potrafią one bez większej zmiany swoich własności przebijać się przez rozmaite kosmiczne przeszkody, na których grzęźnie światło. I dlatego dla nauki są interesującymi gośćmi przede wszystkim z rozmaitych kosmicznych zakamarków. Na przykład z otoczenia czarnych dziur, z aktywnych jąder galaktyk, a w przyszłości pewnie i z wielu innych miejsc i zdarzeń, w których dochodzi do nadawania cząstkom olbrzymich energii.

To dlatego właśnie neutrina z supernowej SN 1987A dotarły do nas jako pierwsze. Kilka detektorów na świecie zarejestrowało krótki strumień neutrin dwie godziny przed jej pierwszą obserwacją w świetle widzialnym. Procesy zachodzące w umierającej gwieździe, związane z zapadaniem się jej jądra, najpierw wyemitowały astronomiczną liczbę neutrin, które wydostały się z wnętrza gwiazdy i rozbiegły na wszystkie strony wszechświata. Dopiero potem podążyło za nimi światło. Neutrina powstające w wysokoenergetycznych procesach kosmicznych możemy dziś na Ziemi rejestrować rutynowo – przede wszystkim w zlokalizowanym przeszło kilometr pod powierzchnią antarktycznego lodu obserwatorium IceCube, które wymyślił i którego pracami kieruje tegoroczny laureat fizycznego Nobla.

Obserwatorium pod lodem

Francis Halzen urodził się w 1944 r. w Tienen w Belgii. Studiował matematykę i fizykę na Uniwersytecie Katolickim w Leuven, tej samej uczelni, która wykształciła George'a Lemaître'a, katolickiego duchownego i jednego z ojców współczesnej kosmologii. To właśnie Lemaître jako jeden z pierwszych uzyskał, korzystając ze sformułowanych przez Alberta Einsteina równań teorii względności, model kosmologiczny rozszerzającego się wszechświata i wysunął koncepcję bardzo gęstego stanu, w którym wszechświat znajdował się na samym po-



IL. NIKLAS ELMEHED / MATERIAŁY PRASOWE NAGRODY NOBLA

Francis Halzen, laureat Nagrody Nobla 2026 w dziedzinie fizyki

czątku. Dziś ten stan nazywamy Wielkim Wybuchem – i nadal nie do końca wiemy, czym był.

Po doktoracie Halzen spędził kilka lat w CERN-ie w Genewie, jeszcze zanim uruchomiono tam Wielki Zderzacz Hadronów, a potem przeniósł się za Atlantyk. Jego badania miały charakter teoretyczny – rozważał różne cząstki elementarne w kontekście astrofizycznym, opublikował podstawowy podręcznik akademicki w dziedzinie fizyki cząstek. Zainteresował się także neutrinami, które po raz pierwszy wykryto w połowie XX w. Pod koniec lat 80. wpadł na pomysł, w jaki sposób najłatwiej rejestrować na Ziemi neutrina docierające z odległego kosmosu.

Zaproponował budowę obserwatorium umieszczonego głęboko w antarktycznym lodzie: czystym i stabilnym geologicznie, ciemnym (bo nie dociera tam już światło słoneczne), lecz przejrzystym (bo wyemitowane w nim światło można wyłapać). By je stworzyć, nie trzeba było wykopywać żadnej wielkiej komory – wystarczyło umieścić w odpowiedniej lokalizacji fotodetektory.

Skoro bowiem Ziemia bombardowana jest przez kosmiczne neutrina, to statystycznie jakaś część z nich zderzy się z atomami budującymi lód antarktyczny, a takie zderzenie doprowadzi do powstania błysku światła (tzw. promieniowania Czerenkowa, o delikatnej, niebieskawej barwie). Rozmieszczenie detektorów na głębokości 1,5-2,5 km pod powierzchnią lodu pozwalo odfiltrować dużą część „zanieczyszczeń" – tzn. innych docierających do nas z kosmosu cząstek.

Analiza wyemitowanego w zderzeniach światła pozwala wyławiać z szumu danych neutrina i badać ich własności – np. identyfikować te o najwyższych energiach, czyli pochodzące z najbardziej gwałtownych kosmicznych zdarzeń.

Na początku lat 90. eksperymenty przeprowadzone na Grenlandii pokazały, że metoda detekcji zaproponowana przez prof. Halzena działa w praktyce. Można więc było zacząć wiercić w liczącym dziesiątki tysięcy lat antarktycznym lodzie. W 2011 r. obserwatorium neutrinowe IceCube – bo takiej nazwy się doczekało (z ang. kostka lodu) – zaczęło działać, a prof. Halzen został jego naukowym kierownikiem.

Dziś IceCube to międzynarodowa współpraca naukowa, z setkami badaczy w zespołach rozproszonych po całym świecie i siedzibą przy Uniwersytecie Wisconsin-Madison, na którym do dzisiaj pracuje prof. Halzen. W bazie na Antarktydzie przebywa zespół zajmujący się obsługą techniczną. W przyszłości planowana jest rozbudowa obserwatorium, z obecnych wymiarów o jednym kilometrze sześciennym do około ośmiu kilometrów sześciennych.

Warto mieć szczęście

Nobel dla Francisa Halzena jest piątym, który przyznano za badania nad neutrinami.

W 1988 r. trzech badaczy (Leon Lederman, Melvin Schwartz i Jack Steinberger) otrzymało nagrodę za rozwój techniki emisji wiązek neutrinowych (które służą do prowadzenia eksperymentów) oraz odkrycie nowego typu neutrina (neutrina mionowego). Był to więc dowód na to, że cząstki te występują w różnych wariantach (fizycy nazywają je „zapachami").

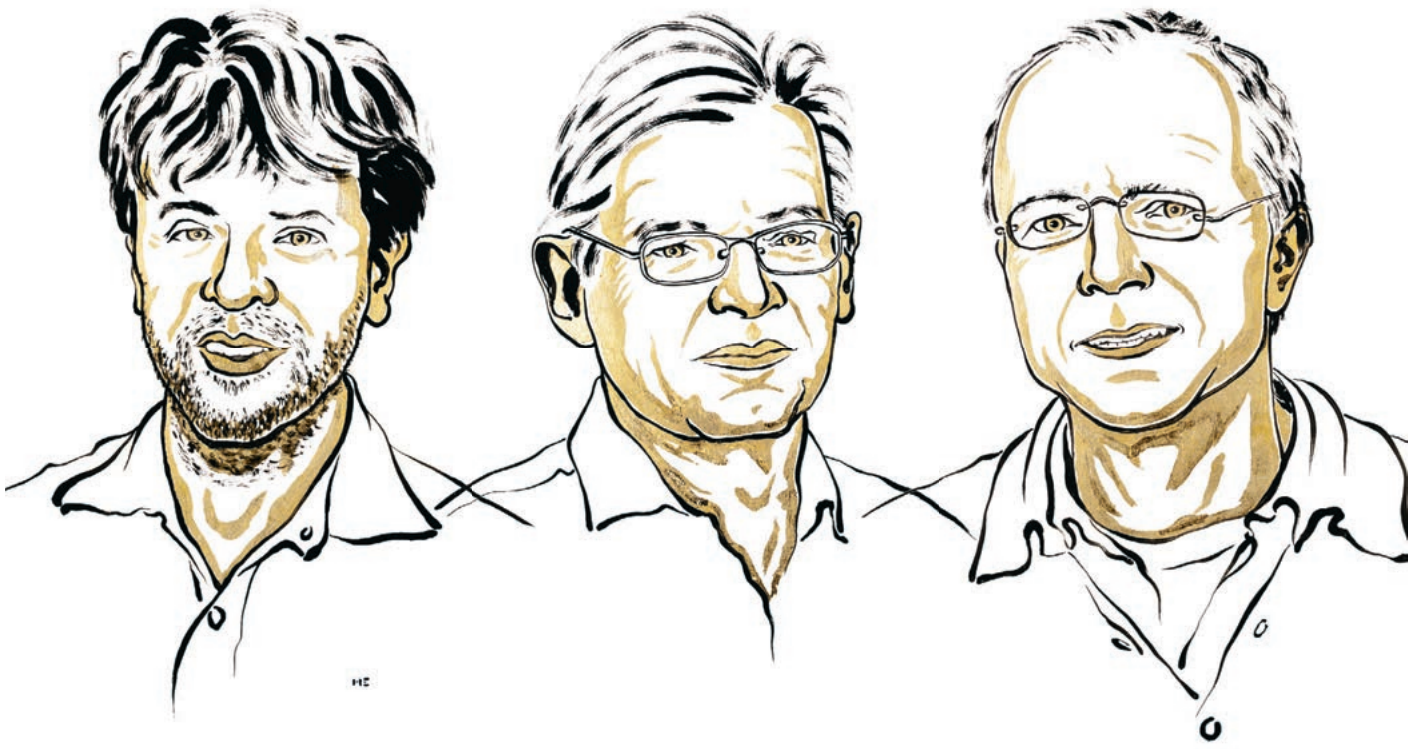
W 1995 r. Frederick Reines otrzymał Nobla za pierwszą detekcję neutrin, dokonaną w połowie XX w. Eksperyment przeprowadzony został wspólnie z Clyde'em Cowanem, który jednak nie dożył swojej nagrody.

W 2002 r. Raymond Davis Jr. i Masatoshi Koshiba dostali nagrodę za pomiary neutrin pochodzenia astrofizycznego – ze Słońca oraz ze wspomnianej supernowej SN 1987A, która do dziś pozostaje jedyną supernową (ze względu na bliskość Ziemi), z której zarejestrowaliśmy właśnie te cząstki.

Wreszcie, w 2015 r. Takaaki Kajita i Arthur McDonald nagrodzeni zostali Noblem za odkrycie oscylacji neutrin (co oznacza, że dana cząstka może zmieniać swój „stan zapachowy", czyli przechodzić w inny typ neutrina). To odkrycie było równocześnie dowodem na to, że te cząstki posiadają niezerową masę.

O swojej nagrodzie prof. Halzen dowiedział się w hotelu w Bergamo, gdzie przebywał na festiwalu naukowym, a wolny czas spędzał na pisaniu projektu nowego grantu. W rozmowie telefonicznej z Adamem Smithem, przedstawicielem organizatorów nagrody, przyznał, że początki IceCube były bardzo niejasne: nie wiedziano wówczas, w jaki sposób wiercić dziury w lodzie, czy jak w praktyce na wymaganej głębokości będzie zachowywać się światło. „Tym, co spowodowało, że projekt ostatecznie się powiódł, był fakt, że mieliśmy masę szczęścia" – powiedział.

I dodał, że nagroda powinna pomóc w uzyskaniu nowego finansowania. ©℗



Karl Deisseroth, Peter Hegemann i Georg Nagel, laureaci Nagrody Nobla 2026 w dziedzinie medycyny i fizjologii

Światłoczułość neuronu

BARTOSZ KABAŁA

Karl Deisseroth, Peter Hegemann i Georg Nagel otrzymali Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny i fizjologii za odkrycia dotyczące kanałów jonowych aktywowanych światłem oraz stworzenie optogenetyki.

Znajdujący się w kostnej puszce pomarszczony narząd o konsystencji zwartej galarety stanowił od zawsze wielką tajemnicę. Jak coś tak kruchego i niepozornego może tworzyć myśli, kontrolować ruchy wybitnego atlety, budować miasta i całe cywilizacje, ale też w zamyśleniu zapominać o zamknięciu mieszkania? Słowem: jak działa mózg? Dzięki pracy nagrodzonych w tym roku noblistów w dziedzinie medycyny lub fizjologii być może na to właśnie pytanie będziemy w stanie kiedyś odpowiedzieć.

Ale jak właściwie zbadać ten narząd, a przede wszystkim jego funkcjonowanie, skoro w przeciwieństwie do serca, płuc i jelit nie wykonuje żadnej widocznej gołym okiem pracy?

Zaglądanie do wnętrza czaszki

Pierwszym, który potraktował mózg jako narząd odpowiedzialny za zmysły, myśli i pamięć, był grecki lekarz i pitagorejczyk – Alkmeon z Krotonu. Sam próbował wykonywać badania sekcyjne mózgu, choć tu prym w starożytnych czasach wiedli lekarze z Aleksandrii, Erasistratos i Herofilus, którzy jako pierwsi odróżnili mózg od móżdżku i opisali komory mózgu.

To właśnie sekcje, w tym wiwisekcje zwierząt, na długie wieki stały się podstawową metodą badania tego narządu. Ale opis anatomiczny, nawet najdokładniejszy, niewiele mówi o jego funkcjonowaniu. Przełomowe były prace Jeana Pierre'a Flourensa, który uszkadzał poszczególne struktury mózgów zwierząt i sprawdzał utracone funkcje, a także obserwacje Paula Broki, który odkrył, że za konkretny objaw – zanik zdolności mówienia i paraliż u pacjenta – odpowiadają zmiany w określonych częściach mózgu. Dzięki tym metodom udało się z grubsza zmapować ludzki mózg i wydzielić regiony odpowiedzialne za określone funkcje.

Udoskonalenie mikroskopu w XIX w. pozwoliło odkryć wiele narządów na nowo. Okazało się, że centralny układ nerwowy (czyli mózg i rdzeń kręgowy) zbudowany jest z wielu rodzajów komórek, które połączone są w gęstą sieć. Za szczegółowe opisy i wyrysowanie mikroskopowego obrazu mózgu Włoch Camillo Golgi i Hiszpan Santiago Ramón y Cajal otrzymali w 1906 r. Nagrodę Nobla. Kolejne osiągnięcia neuronauki – opisanie synapsy, odkrycie neuronalnych impulsów elektrycznych i produkcji neuroprzekaźników – unaoczniały, że działania mózgu nie da się w pełni opisać przy pomocy dostępnych wówczas metod. Być może najbliżej prawdy pozostawał Pierre Cabanis (francuski lekarz, który swoje badania nad mózgiem prowadził przy gilotynie w czasie rewolucji francuskiej), twierdząc, że „mózg produkuje myśli, tak jak wątroba produkuje żółć".

Mózg podglądany przy pracy

Wiek XX i rozwój technik obrazowych dały możliwość zobaczenia wnętrza czaszki bez jej otwierania. Można było jeszcze dokładniej korelować położenie zmian poudarowych lub guzów z utratą funkcji. Rezonans magnetyczny oraz jego dodatkowe modalności pozwoliły obserwować *in vivo* aktywność poszczególnych obszarów mózgu w trakcie wykonywania czynności przez osoby badane albo w obliczu określonych emocji, a dzięki ocenie kierunku dyfuzji wody zrekonstruować przebieg dużych pęczków włókien nerwowych w obrębie istoty białej mózgu.

Jednak wyrysowanie przebiegu połączeń wciąż nie mówi wiele o działaniu pamięci, powstawaniu myśli, prowadzeniu obliczeń. Zasadnicze problemy pozostawały nierozwiązane: które połączenia i obwody neuronalne odpowiadają za daną funkcję? Czy ich aktywność jest przyczyną określonego efektu, czy występuje losowo? I najważniejsze: czy będziemy w stanie ingerować i eksperymentować na tych konkretnych neuronach?

W oświadczeniu prasowym po ogłoszeniu tegorocznych laureatów Instytut Karolinska przytacza słowa innego znakomitego noblisty Francisa Cricka (nagrodzonego w 1958 r. za odkrycie struktury DNA), który z zaskakującą trafnością opisał ten problem. Crick w 1999 r. twierdził, że aby w pełni móc zbadać działanie mózgu, trzeba z dużą precyzją aktywować lub hamować tylko określone grupy neuronów, a żeby robić to sprawnie, najlepiej byłoby wykorzystać światło. Noblista pisał: „Choć pomysł ten może wydawać się naciągany, nie można wykluczyć, że biolodzy molekularni będą w stanie zmodyfikować genetycznie określony typ komórek tak, aby uzyskać ich wrażliwość na światło".

Światło w komórce

Światło poniekąd interesowało też Niemca Petera Hegemanna, który w latach 90., po obronie doktoratu, rozpoczął badania nad zielenicami *Chlamydomonas reinhardti*. Te jednokomórkowce przyciągały uwagę naukowców z powodu niezwykle szybkiej reakcji na światło, które dla zielenic, organizmów fotosyntetyzujących, jest źródłem energii. Zielenice te są w stanie w ciągu milisekund rozpocząć ruch w kierunku światła. Biorąc pod uwagę, jak prostymi organizmami są *Chlamydomonas* – pojedyncza, zawierająca ogromny chloroplast komórka, która na swojej powierzchni posiada drobne witki – również receptor światła nie mógł być bardzo złożony. Hegemann podejrzewał, że musi nim być białko błony komórkowej, które po kontakcie ze światłem otwiera kanał jonowy, wywołując impuls (depolaryzację błony komórkowej, czyli swoisty prąd w obrębie pojedynczej komórki).

Zespół badawczy Hegemanna odnalazł w odkodowanym genomie *Chlamydomonas* dwa geny, które przypominały inne odkryte wcześniej i wrażliwe na światło białka, zwane opsynami. Wraz z drugim nagrodzonym noblistą, niemieckim biologiem Georgiem Nagelem, wprowadzili odkryte geny do komórek jajowych żaby. Powstałe białka powodowały, że żabie komórki reagowały depolaryzacją na impulsy świetlne, choć wcześniej takich własności nie miały. Odkryte białka niemieccy naukowcy nazwali kanałorodopsynami 1. i 2. (*channelrhodopsin*, od grec. *rhodon* – róża i *opsis* – widzenie). Stały się one kluczowym, brakującym elementem w badaniach trzeciego noblisty, Amerykanina Karla Deisserotha.

Deisseroth po ukończeniu studiów medycznych na Uniwersytecie Stanforda, pomimo wcześniejszego zainteresowania neurochirurgią, postanowił zostać psychiatrą i po części połączyć obie dziedziny. Młody lekarz był przekonany, że choroby umysłu, z którymi spotykał się w praktyce klinicznej, muszą dać się wyjaśnić zaburzeniami w funkcjonowaniu określonych obszarów i połączeń w tkance mózgowia. I jeśli nie uda się ich wyleczyć chirurgicznie, to przyglądając się mózgowi, uda się przynajmniej lepiej zrozumieć choroby umysłu. Wiedział, że konieczne jest badanie poszczególnych grup neuronów i określanie ich roli w danych sytuacjach i zaburzeniach.

Rewolucja optogenetyczna

Dopiero odkrycie kanałorodopsyny-2 dało nadzieję na realizację tej idei. Deisseroth początkowo wprowadził gen kodujący kanałorodopsynę-2 do wyizolowanego na szalce Petriego szczurzego neuronu, który stał się wrażliwy na światło. Impuls świetlny w barwie niebieskiej oddziaływał na kanał jonowy, który wywoływał depolaryzację błony komórkowej. Powstały w ten sposób impuls nerwowy niczym nie różnił się od tego wywołanego naturalnie – mógł być więc przekazywany kolejnym neuronom.

Przełomową pracę Deisseroth opublikował w 2007 r. Wówczas żywej i poruszającej się swobodnie myszy do pojedynczych neuronów kory ruchowej odpowiedzialnych za ruch wibrysów (mysich wąsów) wprowadzono kanałorodopsynę-2, by następnie tę samą okolicę oświetlać poprzez wprowadzony do wnętrza czaszki światłowód i wywoływać impulsy nerwowe. Pulsacyjne niebieskie światło poruszało wąsami myszy, jednocześnie nie zaburzając jej pozostałych funkcji i pozostawiając ją przy życiu.

Technologia nazwana przez Deisserotha optogenetyką zrewolucjonizowała podejście do badania funkcji mózgu i dała wreszcie możliwość, by – zamiast biernych obserwacji – przeprowadzać eksperymenty na neuronach i obwodach nerwowych i określać ich właściwości. W ciągu niespełna dwóch dekad, które minęły od publikacji badania na myszach, optogenetyka jako metoda wnikania w najdrobniejsze elementy mózgowia została wykorzystana tysiące razy. W 2020 r. opublikowano badanie, w którym udało się u myszy odnaleźć engram, czyli neuronalny, fizyczny ślad pamięciowy konkretnej sytuacji wywołującej u zwierzęcia strach. Wykrycie tych neuronów i optogenetyczne pobudzenie ich powodowało u myszy przerażenie, choć ta sytuacja w danej chwili nie występowała. Sztucznie uruchomiono u myszy żywe wspomnienie.

Dzięki światłoczułym neuronom nauka jest w stanie badać działanie pamięci, odkrywać obwody odpowiadające za objawy depresyjne lub uzależnienia. Możemy ujrzeć na własne oczy tajemniczą pracę, którą wykonuje ten skomplikowany splot neuronów. Tegoroczni nobliści stworzeniem zupełnie nowej metody badawczej wnieśli światło, które może rozgonić mrok tej tajemnicy. ©

IL. NIKLAS ELMEHED / MATERIAŁY PRASOWE NAGRODY NOBLA

Chemia w lustrzanym odbiciu

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Henri B. Kagan i Kenso Soai otrzymali Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii za pokazanie, jak z dwóch możliwych wariantów cząsteczek, będących swoimi lustrzanymi odbiciami, ale o różnych własnościach, uzyskać tę pożądaną.

23 lutego 2002 r. Alain Baxter dokonał czegoś, czego nie udało się wcześniej żadnemu brytyjskiemu narciarzowi alpejskiemu. Po pierwszym przejeździe olimpijskiego slalomu w Salt Lake City był ósmy, po drugim wskoczył na trzecie miejsce i zdobył brąz. W rodzinnych Highlands zdążył jeszcze świętować sukces, zanim przyszła wiadomość: w pobranej po zawodach próbce moczu znaleziono metamfetaminę.

Baxter nie brał jednak narkotyku. Od lat podczas kataru używał inhalatora Vicks, dostępnego bez recepty w Wielkiej Brytanii. Kiedy nos zatkał mu się także w Utah, kupił opakowanie wyglądające niemal identycznie. Amerykańska wersja miała jednak inny skład. Zawierała lewometamfetaminę, cząsteczkę zbudowaną z dokładnie tych samych atomów, ale ułożonych w przestrzeni inaczej. Ta różnica sprawia, że jedna wersja cząsteczki jest silnym narkotykiem, a druga nieco pomaga na katar, obkurczając naczynia błony śluzowej nosa.

Ówczesne przepisy antydopingowe nie robiły jednak takiego rozróżnienia. Trybunał Arbitrażowy ds. Sportu uznał później, że Baxter najpewniej mówi prawdę i nie próbował uzyskać przewagi nad rywalami. Medalu mimo to nie odzyskał.

W chemii podobne pary cząsteczek nazywa się enancjomerami. Najłatwiej wyjaśnić je na przykładzie dłoni. Lewa i prawa mają ten sam zestaw części ułożonych w ten sam sposób: pięć palców, kciuk z boku, paznokcie po jednej stronie. Są swoimi lustrzanymi odbiciami, ale jednej nie da się nałożyć na drugą tak, żeby wszystko się pokryło. Cząsteczki mające tę właściwość chemicy nazywają chiralnymi.

Nobel z chemii dla Henriego Kagana i Kenso Soaiego opowiada właśnie o takich molekularnych odbiciach i o jednej z największych zagadek życia: dlaczego natura niemal zawsze wybiera tylko jedno z nich.

Życie wybrało jedną stronę

Całe znane nam życie ma tę samą chemiczną preferencję. Białka bakterii, dębów i ludzi są budowane niemal wyłącznie z aminokwasów o konfiguracji L (L-aminokwasów), umownie nazywanej lewą. Z kolei cukry tworzące szkielet DNA należą do rodziny D, nazywanej prawą. Ta reguła obowiązuje niemal wszystkie organizmy, choć w przyrodzie występują również wyjątki, na przykład D-aminokwasy w ścianach komórkowych bakterii.

Dlaczego to takie dziwne? Ponieważ chemia nie ma wbudowanej preferencji dla jednej z dwóch lustrzanych wersji cząsteczki. Jeśli w reakcji nie uczestniczy nic, co samo rozróżnia prawą stronę od lewej, zwykle powstają obie wersje w równych ilościach. Tymczasem życie postawiło niemal wszystko na jedną kartę. Co więcej, wszystkie znane organizmy odziedziczyły ten sam wybór. Być może na młodej Ziemi przypadkiem pojawiła się niewielka przewaga jednej z dwóch wersji aminokwasów. Ale nawet jeśli tak było, pozostaje kolejna zagadka: jak z drobnej nierównowagi powstała niemal całkowita dominacja jednej formy? I dlaczego przewaga się utrzymała?

Ma to również bardzo praktyczne konsekwencje. Ponieważ nasze białka same są chiralne, potrafią odróżniać lustrzane wersje innych cząsteczek. Jeden enancjomer leku może wiązać się z określonym receptorem, podczas gdy drugi działa na niego słabiej, inaczej albo wcale. Dlatego chemicy od dawna poszukują sposobów produkowania wybranej wersji cząsteczki, zamiast mieszaniny obu. Choćby po to, by nie marnować czasu i pieniędzy na produkcję niepotrzebnych nikomu wariantów.

Za rozwój takich metod przyznano już Nobla z chemii w 2001 r. Dostali go William Knowles, Ryoji Noyori i Barry Sharpless. Na liście nie znalazł się Henri Kagan, jeden z pionierów tej samej dziedziny. Pominięcie było tym bardziej widoczne, że kilka miesięcy wcześniej Kagan, Noyori i Sharpless wspólnie otrzymali prestiżową Nagrodę Wolfa za prace nad syntezą chiralnych cząsteczek.

We Francji decyzja wywołała oburzenie naukowców. Minister nauki Roger-Gérard Schwartzenberg interweniował nawet w Fundacji Nobla. Regulamin pozwala jednak nagrodzić maksymalnie trzy osoby, a Akademia wybrała Knowlesa, Noyoriego i Sharplessa.

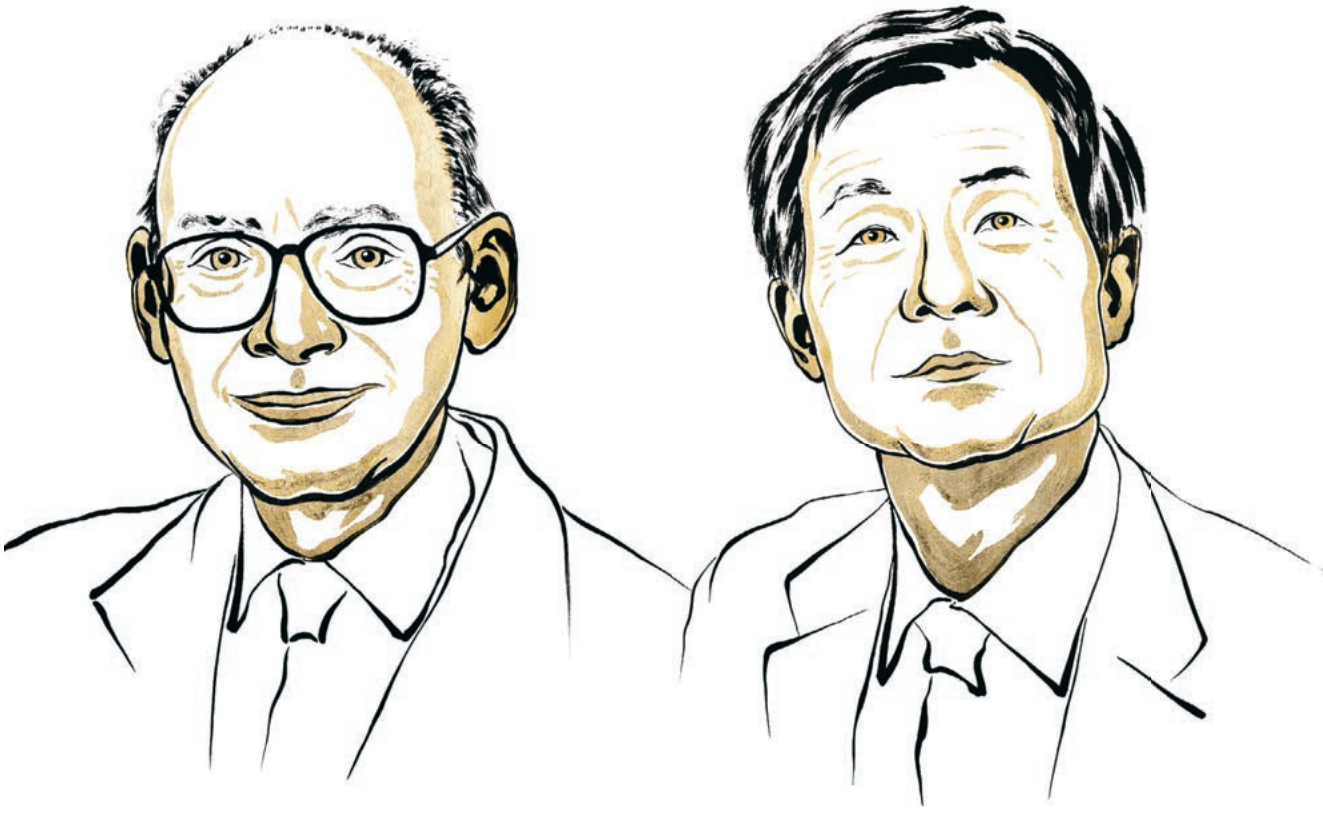
Po ćwierćwieczu historia zrobiła jednak osobliwą pętlę. 95-letni Kagan dostał tegorocznego Nobla z chemii wraz z Kenso Soaim. Nagrodzono ich za odkrycia, które pomagają wyjaśnić, w jaki sposób początkowo niewielka przewaga jednej wersji cząsteczki może urosnąć do niemal całkowitej dominacji.

Chemia nie liczy po równo

Na początku lat 80. chemicy doskonalili katalizatory, które miały skłaniać reakcję do produkowania przede wszystkim jednego enancjomeru. Zakładali przy tym coś, co wydawało się rozsądne: jeśli sam katalizator zawiera określone proporcje obu lustrzanych form, podobne proporcje powinny pojawić się w produkcie.

Kagan postanowił to sprawdzić. Wyniki opublikowane w 1986 r. pokazały, że niewielka przewaga jednej formy katalizatora mogła prowadzić do znacznie większej przewagi tej samej formy w produkcie.

Francuz odkrył, że o przebiegu reakcji decyduje sposób, w jaki cząsteczki łączą się z katalizatorem. Do atomu metalu mogły przyłączać się dwie cząsteczki tej samej wersji, albo po jednej z każdej. Mieszane pary okazały się znacznie mniej



IL. NIKLAS ELMEHED / MATERIAŁY PRASOWE NAGRODY NOBLA

Henri B. Kagan i Kenso Soai, laureaci Nagrody Nobla 2026 w dziedzinie chemii

skuteczne w napędzaniu reakcji. W rezultacie nawet jeśli jednej wersji było tylko trochę więcej, to właśnie ona częściej tworzyła sprawnie działające katalizatory. Reakcja produkowała więc znacznie więcej cząsteczek tej wersji, niż wynikałoby z jej początkowej przewagi.

Odkrycie Kagana dało chemikom nowe narzędzie do badania i doskonalenia reakcji. Ma ono zastosowanie m.in. przy wytwarzaniu leków, środków zapachowych i nowych materiałów. Zarazem pokazało, że chemia potrafi wzmacniać różnice między lustrzanymi cząsteczkami. Kenso Soai poszedł o krok dalej: znalazł reakcję, w której jedna wersja cząsteczki sama pomaga produkować kolejne kopie siebie.

Zwycięzcę wybiera przypadek

Takiego mechanizmu poszukiwano od dawna. Już w 1953 r. brytyjski fizyk Charles Frank opisał matematyczny model reakcji, w której niewielka przewaga jednej lustrzanej formy zaczyna się samoczynnie powiększać. Wystarczy, że ta forma pomaga produkować kolejne swoje kopie, a powstawanie konkurencyjnej jest w jakiś sposób hamowane. Z czasem niemal wszystkie cząsteczki mogłyby mieć tę samą „stronę".

Kenso Soai zaczął szukać reakcji, która rzeczywiście zachowywałaby się w ten sposób. W 1995 r. pokazał, że można zacząć z zaledwie dwuprocentową przewagą jednej wersji cząsteczki, a skończyć z 87-procentową. Produkt pomagał wytwarzać kolejne swoje kopie, a jego przewaga stale rosła.

Osiem lat później Soai uzyskał jeszcze bardziej zdumiewający rezultat. W udoskonalonej reakcji obie lustrzane wersje miały początkowo równe szanse. Czysty przypadek sprawiał jednak, że na początku jednej powstawało odrobinę więcej. Ta minimalna przewaga zaczynała się następnie sama wzmacniać. W końcu jedna wersja mogła stanowić 99,99 proc. produktu. Soai pokazał więc, że reakcja chemiczna może sama dokonać wyboru między prawą i lewą stroną, a następnie doprowadzić do niemal całkowitej dominacji zwycięzcy.

Pytanie o początek

Eksperyment Soaiego zainteresował badaczy początków życia. Od dawna próbują oni ustalić, czy pierwsze organizmy odziedziczyły przewagę jednej wersji cząsteczek po wcześniejszych reakcjach chemicznych, czy też taki wybór dokonał się dopiero wraz z powstaniem żywych organizmów.

Soai pokazał, że jedna z dwóch lustrzanych wersji cząsteczki może niemal całkowicie zdominować reakcję bez udziału organizmów. Wystarczy niewielka, nawet przypadkowa przewaga na początku i mechanizm, który stopniowo ją wzmacnia.

Nie oznacza to jednak, że zagadka początków życia została rozwiązana. Soai wykorzystał związki inne niż te, z których zbudowane są organizmy. Nadal nie wiemy, dlaczego miliardy lat temu na Ziemi zwyciężyła akurat ta wersja cząsteczek, z której dziś zbudowane są nasze białka. ©

WOJCIECH

Bonowicz: *Wydarzenia*



Nie wiem, dlaczego usiadłem na tej ławce. Wcześniej siedział na niej młody mężczyzna z głową owiniętą bandażem. Opatrunek był świeży, czysty, a mężczyzna popatrzył na mnie wilgotnymi, przekrwionymi oczami. Nie zatrzymałem się jednak. Spieszyłem się, żeby odebrać z poczty paczkę, bo zbliżała się druga i bałem się, że pracownicy wyjdą na przerwę.

Przerwy nie było, pomyliłem się. Przerwy są tylko latem, kiedy część poczciarzy jest na urlopach. Za to wewnątrz zrobiło się ciaśniej, odkąd wstawiono nowe regały z zabawkami, słodyczami i broszurami o zdrowym odżywianiu. Kiedyś w środku mieściło się bez trudu dziesięć, dwanaście osób, teraz może pięć, sześć. Pani, która farbuje włosy na jasnorudy kolor, nie tylko wydała mi paczkę, ale jeszcze namówiła na kupno kawowych karmelków. Kupiłem dwa opakowania. „Może coś jeszcze? Może kalendarz na przyszły rok?", uśmiechnęła się.

Wróciłem, ale mężczyzny już nie było. Może przysiadł tylko na chwilę, żeby odpocząć? Może na kogoś czekał? Dzień był ciepły, mężczyzna miał na sobie koszulkę z krótkim rękawem i jasnoniebieskie dżinsy. Usiadłem w miejscu, w którym siedział. Z poczucia winy? A może dlatego, że bolała mnie kostka w lewej nodze. To dziwne, nie uderzyłem się ani jej nie skręciłem, a jednak kiedy zbudziłem się rano, kostka bolała mnie tak, że z początku nie byłem w stanie postawić kroku. Odsunąłem skarpetę, lecz noga nie była spuchnięta i nie pojawił się też na niej żaden siniak. Ot, dziwny ból. Może czas kupić nowe buty, bo w tych podeszwy już się wytarły? Albo wymienić wkładki?

Co mi się śniło tej nocy? Czyżbym dużo chodził przez sen? Pamiętam spacer przez las, dziwny las, jakby polski, ale z pojedynczymi egzotycznymi drzewami. Las z przyszłości. Kiedy klimat się ociepli, niektóre gatunki drzew znikną, a pojawią się nowe. Nagle w środku Europy staniemy się południowcami. Będziemy w ogrodach zbierać pomarańcze. Ach tak, pomarańcze też mi się śniły. Pomarańcze albo raczej mandarynki. We śnie wszystko jest niejasne, jedno szybko przechodzi w drugie. Na jawie zresztą podobnie, choć te transformacje są trudniej uchwytne.

Zamyśliłem i nie zauważyłem, że obok przysiadł mężczyzna z papierosem. Starszy gość, mocno już siwy, ale włos miał gęsty i chyba niechętnie chodził do fryzjera. „Niech pan popatrzy, jak się spieszą", zagadnął. „O, ten tam. Biegnie, jakby go kto gonił. Może jest spóźniony. Ale nawet spóźniony nie powinien się tak spieszyć. Ja całe życie się nie spieszę i powiem panu, że nie choruję. Nigdy się nie spocę, nie zawieje mnie. Może dlatego, że jestem sam. A jak człowiek jest sam, to gdzie miałby się spieszyć. Do swojej samotności?".

No dobrze, nie powiedział tego wszystkiego, zmyśliłem to. Powiedział tylko trzy pierwsze zdania. Pozostałe w nim wyczytałem.

„Wie pan, tu przed chwilą siedział facet z bandażem na głowie. Nie widział go pan?", zapytałem głupio. Spojrzał na mnie, jakby też uważał, że to głupie pytanie. „Nie widziałem. Ale tu w bloku była wczoraj awantura. Może ktoś komuś dał po głowie? Kobiety są teraz mądrzejsze. Nie pozwolą, żeby je bił byle cham. Nawet mąż". Zaciągnął się papierosem. „Pan żonaty?". „Żonaty", odpowiedziałem. „Ale widać, że pan spokojny. A ludzie coraz bardziej niespokojni. Miałem kolegę, kiedy jeszcze pracowałem w dyspozytorni, który nie mógł usiedzieć na miejscu. Po co brał robotę w dyspozytorni, jak nie mógł siedzieć? Strasznie się męczył, to się go ciągle po coś posyłało albo szedł na obchód, chociaż to nie był jego obowiązek. Wtedy to jeszcze zatrudniali na zapas. Dziś robotę nas trzech, bo nas tam trzech było, musiałby robić jeden. I takiego niespokojnego to by zaraz wywalili". „Albo zrobili gońcem", spróbowałem być dowcipny.

Uśmiechnął się, ale niepotrzebnie. Miał zęby, których wolałbym nie widzieć. Dobrze jest mówić przed siebie, bo wtedy wielu rzeczy się nie widzi. A rozmowa płynie. Poznajesz człowieka słowami, ale nie uprzedzasz się do niego. Nie obchodzi cię, czy o siebie dba, czy nie. Ważne, że mówi. „Ma pan gęste włosy", odezwałem się. „Zazdroszczę, bo ja mam rzadkie. I cienkie". Nie odpowiedział. Zaciągnął się i kaszlnął kilka razy. Z papierosa niewiele już zostało.

Zrobiło się ciemno, bo chmury zakryły słońce. Od kilku dni zapowiadano deszcze, ale nie nadchodziły. Aż wreszcie nadeszły.

Tego dnia spotkałem jeszcze Sabinkę. Przebiegła przez trawnik, żeby mi powiedzieć, że czyta wszystkie moje felietony. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".



TYGODNIK POWSZECHNY

MAGAZYN
CONRAD 03
„TP" 42/2026

niepos łuszeństwo

conrad festival

19—25.10.2026

kraków

– JUŻ PEŁNOLETNI – WCIĄŻ NIEPOSŁUSZNY – 18. EDYCJA FESTIWALU CONRADA –



AGNIESZKA WENDERSKA

O powieści kształtują nasze postrzeganie świata – jako czytelniczki i czytelnicy doskonale o tym wiemy. Jednak to, w jaki sposób fikcyjne i prawdziwe uniwersa, postaci oraz zdarzenia pomagają nam odkrywać i rozumieć rzeczywistość, nie przestaje zaskakiwać nawet po tysięcznej lekturze.

Literatura i inne dzieła sztuki to splątane nici. Ich pętelki często powstają w nieprzewidywalnych, ale tylko z pozoru przypadkowych momentach. Teksty mogą odrzucać chronologię, mieszać porządki i prowadzić nas przez niekończący się labirynt. To dzięki nim starożytni znajdują miejsce na naszych ulicach, plagiat powstaje ponad sto lat przed oryginałem, a reinterpretowane wytwory pierwszych cywilizacji wpadają nam w dłonie.

Wrzeciono skręca włókna kolejnych opowieści i nadaje im nowy bieg. Czasem tworzący wykorzystują to z premedytacją, czasem nie są tego świadomi. Bohaterki i bohaterowie Magazynu: Anni Albers, Anneli Jordahl, Christoph Ransmayr, Juan Gabriel Vásquez, starożytni poeci i współcześni raperzy, z którymi fizycznie i metaforycznie spotkamy się na Festiwalu Conrada, realizują pierwszy z przywołanych scenariuszy. Poszerzają horyzont, nadając cudzym opowieściom nowe znaczenia, wchodząc z nimi w polemikę albo bezceremonialnie je przywłaszczając. My, autorki i autor tekstów, które oddajemy dziś w Wasze ręce, scenariusza nie mieliśmy wcale. Nie znaliśmy swoich tekstów w trakcie pisania – splotły się same.

W najbliższych dniach celebrujmy opowieść i na kanwie twórczości naszych gościń i gości dopiszmy jej kolejny fragment. Do zobaczenia na Conradzie. ©℗

Pełny program Festiwalu:
www.conradfestival.pl

W NUMERZE

65 
PAULINA FRANKIEWICZ
Anioł Historii w Kolumbii

68 
GRZEGORZ JANKOWICZ
Pieśń i błąd

72 
ALEKSANDRA KORCZAK
Karczowanie kobiecości

74 
ANNELI JORDAHL
Córki łowcy niedźwiedzi

76 
RENATA KOPYTO
Filozofka nitki

78 
AGNIESZKA WENDERSKA
Liryka, epika, rap

Wspieraj Festiwal Conrada!
Kup bilety dobrej woli i festiwalowe pamiątki na Allegro.

allegro.pl/uzytkownik/FundacjaTygPow

REDAKTORKA NACZELNA
Paulina Frankiewicz
REDAKTORKA PROWADZĄCA
Agnieszka Wenderska
PROJEKT GRAFICZNY
Marek Zalejski
SKŁAD
Andrzej Leśniak
FOTOEDYCJA
Katarzyna Bułtowicz
GRAFIKA NA OKŁADCE
Marcin Wolny / Conrad Festival
ZDJĘCIE NA OKŁADCE
Tom Stoddart / Getty Images

CONRADFESTIVAL

Organizatorzy:
Kraków
INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA kbf:
KRAKÓW MIASTO LITERATURY UNESCO

Fundacja Tygodnika Powszechnego

Partnerzy strategiczni:
TYGODNIK POWSZECHNY
Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

Dofinansowanie:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Anioł Historii w Kolumbii

PAULINA FRANKIEWICZ,
DYREKTORKA PROGRAMOWA
FESTIWALU CONRADA

**Literatura jest odkryciem,
aktem inkwizycji.
Zadajesz pytania.
Nie piszesz,
bo wiesz – piszesz,
aby się dowiedzieć.**



HERITAGE IMAGE PARTNERSHIP / ALAMY / BE&W

Paul Klee „Angelus Novus", 1920 r.

Juana Gabriela Vásqueza od lat interesuje dokumentowanie spustoszenia, jakiego cywilizacja dokonuje w Kolumbii. Kiedy zaczyna pisać powieści o swoim kraju, momentalnie nawiedza go Anioł Historii, podkreślając los i tragedię Ameryki Łacińskiej. Całe szczęście jednemu z jego narratorów bliższe jest pojęcie farsy, co czyni lekturę książek Vásqueza nie tylko lekcją, ale też przygodą.

Angelus Novus

W maju 1921 r. Walter Benjamin wyszedł z galerii Hansa Goltza w Monachium z namalowaną rok wcześniej akwarelą „Angelus Novus" Paula Klee. Od tamtego czasu obraz i jego właściciel byli nierozłączni. Niemiecko-żydowski filozof miał go ze sobą na wygnaniu, dzieło stanowiło punkt wyjścia dla traktatu, który napisał kilka miesięcy przed samobójczą śmiercią.

Benjamin przełożył malarską figurę Kleego na idiosynkratyczne wyobrażenie: anioł wygląda „jak gdyby zamierzał się oddalić od czegoś, w czym zatopił spojrzenie". Zwraca uwagę na szeroką rozwartość jego oczu, ust i skrzydeł, pomija uformowane z rolek papieru włosy, odsłonięte siekacze i ptasie szpony zamiast stóp. Wyposażając Angelusa Novusa w demoniczne atrybuty, Klee wskazuje na jego rolę w historii: to zatrwożony obserwator i aktor. Rysunek nawiązuje do powstałych w tym samym roku obrazów katastrof lotniczych (artysta służył na lotnisku wojskowym Schleißheim). Benjamin ignoruje te elementy, dlatego, że jego Anioł Historii jest udręczonym świadkiem dziejowej klęski, która „nieprzerwanie mnoży piętrzące się ruiny i ciska mu je pod stopy. Chciałby się pewnie zatrzymać, zbudzić pomarłych i poskładać szczątki zaścielające pobojowisko. Lecz od raju wieje wicher [postępu – PF]. Ten niepowstrzymanie gna go w przyszłość, do której zwrócony jest plecami" (tłum. Hubert Orłowski i Janusz Sikorski).

W opublikowanym w 1940 r. tekście „O pojęciu historii" Benjamin krytykuje tradycyjnie pojmowany historycyzm oraz linearną wizję postępu. „Wyartykułować historycznie to, co minione, nie oznacza, że trzeba je poznać takim, jakie naprawdę było. Oznacza natomiast zawładnąć przypomnieniem takim, jakie rozbłyska w chwili zagrożenia" – pisze, po czym dodaje, że historia to szereg ludzkich niepowodzeń. Permanentny stan wyjątkowy i grożące niebezpieczeństwo sprawiają, że uciskany „przypomina sobie" analogiczne obrazy z przeszłości. Musi zapanować nad wspomnieniami, zanim historia zostanie przejęta, zniekształcona lub wymazana przez tych, którzy instrumentalnie dyktują ją zza biurka.

Historiozoficzna myśl Benjamina koncentruje się na głębokim poczuciu klęski, wynikającym zarówno z tego, czym była przeszłość, jak i tego, czym jest teraźniejszość. Po śmierci filozofa „Angelus Novus" Kleego trafił do jego przyjaciela Gershoma Scholema, później do wdowy po nim. W końcu został przekazany do Muzeum Izraela, skąd dalej patrzy na świat przerażonymi oczyma.

Republika zwana Costaguaną

Meksykański pisarz Carlos Fuentes nazwał „Sekretną historię Costaguany" Vásqueza jedną z największych powieści latynoamerykańskich XXI wieku. W pełni zasłużenie: rozmach, mnogość wątków, ilość informacji zawartych na niespełna trzystu stronach imponują, ↦

↦ choć mogą przyprawić o zawrót głowy. Wyczynem jest samo opowiedzenie historii Kolumbii, na co zwraca uwagę narrator i główny bohater, José Altamirano. „Trybunale Czytelników – mówi – Kolumbia jest sztuką w pięciu aktach, którą ktoś próbował zamknąć w metrum klasycznego wiersza, rezultat okazał się jednak wulgarną prozą, odgrywaną przez aktorów o egzaltowanych gestach i fatalnej dykcji…" (tłum. Katarzyna Okrasko).

Wielka narracja tej powieści, której tytuł nawiązuje do nieistniejącej republiki z „Nostromo" Josepha Conrada, opowiada o stosunkach między Kolumbią a Panamą od uzyskania niepodległości od Hiszpanii w 1821 aż do utworzenia Republiki Panamy przy udziale USA w 1903 r. Niemniej ważna jest narracja osobista obejmująca fikcyjne życie Joségo, od narodzin do kradzieży (historii) jego życia przez „Wielkiego Powieściopisarza języka angielskiego, Polaka z pochodzenia, bardziej marynarza niż literata, który z niedoszłego samobójcy stał się żywą legendą, z pospolitego przemytnika broni – Perłą Brytyjskiej Korony" (to znów jego słowa).

W „Nostromo" jesteśmy świadkami politycznego usamodzielnienia się Sulaco i jego wpływu na losy prawdziwych i fikcyjnych (w tym tytułowej) postaci oraz wydarzeń, m.in. podróży Garibaldiego, francuskiej inwazji na Meksyk w 1861 r. i wyczynów Simóna Bolívara. Inne nadpisane sceny i bohaterów w obu powieściach musisz, Trybunale Czytelników (i Czytelniczek!), wyśledzić sobie sam.

Ojciec narratora „Sekretnej historii Costaguany" – Miguel Altamirano – poświęcił życie projektowi, który uznał za klucz do lepszej przyszłości Kolumbii, czyli budowie Kanału. To dzięki niemu poznajemy historię krajobrazu: niegościnnego, trudnego do ujarzmienia Przesmyku, pożeracza ludzi, wroga zmian. Pasja doprowadza starego Altamirano do upadku. Kreolski Byron, ostatni człowiek renesansu, sprzedaje się Francuzom, jego życie popada w ruinę. Zostaje znaleziony martwy w brzuchu przeklętej maszyny.

José świadomie wybiera inną drogę: zawczasu wyklucza ze swojego życia politykę, naukę i technologię. Próbuje ignorować wojnę i spokojnie żyć tuż obok we własnym raju. Osią jego życiowego projektu jest miłość do ukochanej i córki. A raczej była, póki przemoc nie wdarła się do jego świata za sprawą młodego dezertera. Zagubiony mężczyzna pociąga za spust i morduje Charlotte powodowany wyłącznie strachem. Zbrodnia postawi przed plutonem egzekucyjnym człowieka, który szukał pokoju. Altamirano nie potrafi dłużej żyć w kraju, który zabił jego wybrankę. W akcie zemsty plami ręce liczeniem amerykańskich pieniędzy przekazanych przez separatystów i postanawia uciec, by nie patrzeć na podział Kolumbii na tak upokarzających warunkach.

Trzy różne życiorysy – wzmożonej politycznej aktywności, życia na marginesie społeczeństwa, a nawet ucieczki przed wojną – nie pozostawiają złudzeń: Anioł Historii nie oszczędza nikogo. W spisanej po latach kronice José zwraca się do Trybunału Czytelników i Eloísy, chcąc wyjaśnić córce, dlaczego ją porzucił. Urodzona na Przesmyku dziewczyna nie zasługiwała na wygnanie w momencie, w którym jej kraj zyskiwał niepodległość. Ojciec pragnął, by chociaż ona miała swoje miejsce w historii.

Tajemny towarzysz

„Już słyszę pytania rozbrzmiewające wśród publiczności: co może łączyć słynnego powieściopisarza i biednego, anonimowego Kolumbijczyka na wygnaniu?", ironizuje Altamirano, który wielokrotnie powtórzy, że on i Joseph Conrad są „dwoma wcieleniami tego samego Józefa, dwiema wersjami tego samego przeznaczenia". Są sobowtórami: niemal równoletni, o zwielokrotnionej tożsamości – Korzeniowski/Conrad i Beckman/Narváez/Altamirano, złączeni Kolumbią. Ich drogi krzyżują się dwukrotnie. W 1876 r., gdy José wyrusza na poszukiwanie ojca, a pracujący na statku Saint-Antoine Korzeniowski przybija do wybrzeży Karaibów, by sprzedać broń kolumbijskim konserwatystom. Potem w roku 1903, kiedy Conrad pisze listy z prośbą o pomoc, a jego ostatecznym informatorem zostaje nikt inny jak nasz Altamirano. Spotykają się, co przypieczętowuje ich więź i wyjaśnia powieściową grę. José opowiada Conradowi swoje losy, a *doppelgänger* kradnie jego duszę.

Wykluczony z historii, przegrywa także na polu literackim. Szybko jednak przychodzi odwrócenie perspektywy: skoro Wielki Conrad uwiecznia w „Nostromo" jego historię, rozpoznaje materiał Kolumbijczyka jako wartościowy. Pisarz docenia świadectwo Altamirano, opowiadającego z udręką kogoś, kto poznał mrok i podłość władzy oraz doświadczył niesprawiedliwości wojny. Conrad miał pióro, ale brakowało mu materiału, który zapewnił mu Altamirano. Altamirano miał historię, ale dopiero Conrad dał mu odwagę do stania się Narratorem. Paradoksalnie odnalezienie własnej tożsamości wiąże się ze zrozumieniem tego, co niemożliwe do zrozumienia; wzięcie odpowiedzialności za siebie polega na wyrzeczeniu się tej pewności. Samopoznanie wymaga uwolnienia się od sobowtóra. Trybunale Czytelników (i Czytelniczek!), to dlatego Altamirano odzyskuje głos 27 sierpnia 1924 r.

Jako sprawca całego zamieszania Vásquez musiał się świetnie bawić. Popełniwszy plagiat „Nostromo" (1904), ogłosił drukiem „Sekretną historię Costaguany" (2007), którą ukradł wymyślonemu Josému Altamirano, który z kolei utrzymywał, że został okradziony przez Korzeniowskiego. Sam motyw sobowtóra Vásquez wziął z opowiadania „Tajemny towarzysz" Conrada. Ale na tym nie koniec. W odpowiedzi na dzieło o Ameryce Południowej pióra autora, który nawet nie postawił stopy na jej lądzie, Vásquez wymyśla nowe przeznaczenie dla Wielkiego Powieściopisarza. Tym razem zwodzi i nas. W nocie odautorskiej biograf i tłumacz Josepha Conrada przywołuje kilka spośród pięćdziesięciu dzieł, które przeczytał pracując nad „Sekretną historią…". W bibliografii znalazła się książka fikcyjnego bohatera „Nostromo", Joségo Avellanosa, pt. „Historia pięćdziesięciu lat nierządu".

Nieznane terytoria

O postaci Avellanosa, a dokładnie jego bibliotece w Sulaco i rzekomo nieistniejącym liście Bolívara, fantazjował także Jorge Luis Borges. Interpretacja historii – dowodził Argentyńczyk w opowiadaniu „Guayaquil" – nie zawsze należy do naturalnego spadkobiercy czy kronika-

Spotkanie z **JUANEM GABRIELEM VÁSQUEZEM** odbędzie się 25 października o godz. 12.30 na scenie MOS Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Rozmowę poprowadzi Katarzyna Kobylarczyk.



BÉNÉDICTE ROSCOT / MATERIAŁY PRASOWE

JUAN GABRIEL VÁSQUEZ
(ur. 1972) – kolumbijski pisarz, dziennikarz i tłumacz. Światową sławę przyniosła mu powieść „Hałas spadających rzeczy". Biograf i tłumacz Josepha Conrada. Laureat licznych wyróżnień literackich, m.in. Międzynarodowej Nagrody im. Simóna Bolívara, Nagrody Hiszpańskiej Akademii Królewskiej czy Nagrody Rogera Caillois. Jego „Kształt ruin" w 2019 r. znalazł się w ścisłym finale Międzynarodowej Nagrody Bookera.

rza danego terytorium. Może być domeną cudzoziemca lub zewnętrznego obserwatora, co potwierdza przypadek „najsłynniejszego historyka Zachodniej Republiki, kapitana José Korzeniowskiego". Wszystko, co Conrad wiedział o Ameryce Łacińskiej, zaczerpnął od Cunninghame'a Grahama, który listownie opisał przyjacielowi odwiedzone kraje i polecił mu lektury.

W jednym z wywiadów Vásquez przyznał, że Conrad wywarł na nim podwójny wpływ. Lektura jego dzieł dążących do rozjaśniania kolejnych jąder ciemności rozbudziła w nim pragnienie pisania, a analiza prozy pozwoliła udoskonalić warsztat. „Literatura jest odkryciem, aktem inkwizycji. Zadajesz pytania. Nie piszesz, bo wiesz, piszesz, aby się dowiedzieć. W tym momencie zrozumiałem, że wolno mi pisać o moim kraju. Wolno mi traktować Kolumbię jako to mroczne miejsce, którego nie rozumiem, ale ponieważ go nie rozumiem, zamierzam o nim pisać" (tłum. własne).

Poprzez odkrywanie nieznanych terytoriów autor poszukuje oświecenia przede wszystkim dla samego siebie. W „Sekretnej historii Costaguany" można za nie uznać krytykę północnoamerykańskiego imperializmu i zakwestionowanie opozycji między cywilizacją europejską a amerykańskim barbarzyństwem. W ubiegłym miesiącu Vásquez został laureatem międzynarodowej Pokojowej Nagrody Literackiej im. Lee Ho-chula. Kapituła doceniła sposób, w jaki powieściopisarz zgłębia współczesną historię ojczyzny: kwestie związane z pamięcią, nadużyciami władzy, przemocą, konfliktami społecznymi, dziedziczoną traumą i związkiem między Historią a życiem jednostki.

Dekolonizacja wyobraźni

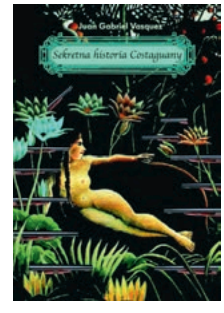
Vásquez zwraca uwagę na zbieżność dwóch momentów roku 1899. Pierwszym jest wysłanie przez Conrada listu do znanego nam już Cunninghame'a Grahama, w którym stwierdził, że „człowiek jest zwierzęciem złośliwym. Jego złośliwość musi być zorganizowana. Zbrodnia jest warunkiem koniecznym życia zorganizowanego. Społeczeństwo jest zasadniczo przestępcze – inaczej nie mogłoby istnieć" (tłum. Halina Carroll-Najder). Drugim – rozpoczęcie najdłuższej i najkrwawszej wojny domowej w historii Kolumbii. Pisarz podkreśla tym samym uniwersalny, transcendentny wydźwięk twórczości Conrada.

Trybunale Czytelników (i Czytelniczek!), czy to się godzi, by zamknąć tę opowieść bez wejścia na minę, a więc zakwestionowania roli Conrada jako pisarza antykolonialnego? Na pierwszy rzut oka Józef Teodor Konrad Korzeniowski, autor „Jądra ciemności", Polak z pochodzenia i syn szlachcica potępiającego rosyjski imperializm, wydaje się modelowym denuncjatorem kolonializmu. A jednak już elementy ujawnione na kartach „Sekretnej historii..." podkreślają elementy jego biografii podważające to przypuszczenie. Dowiadujemy się bowiem, że Wielki Powieściopisarz przyjął brytyjskie obywatelstwo i zaczął podpisywać swoje dzieła nowym nazwiskiem w 1886 r., tuż po pobycie w Indiach.

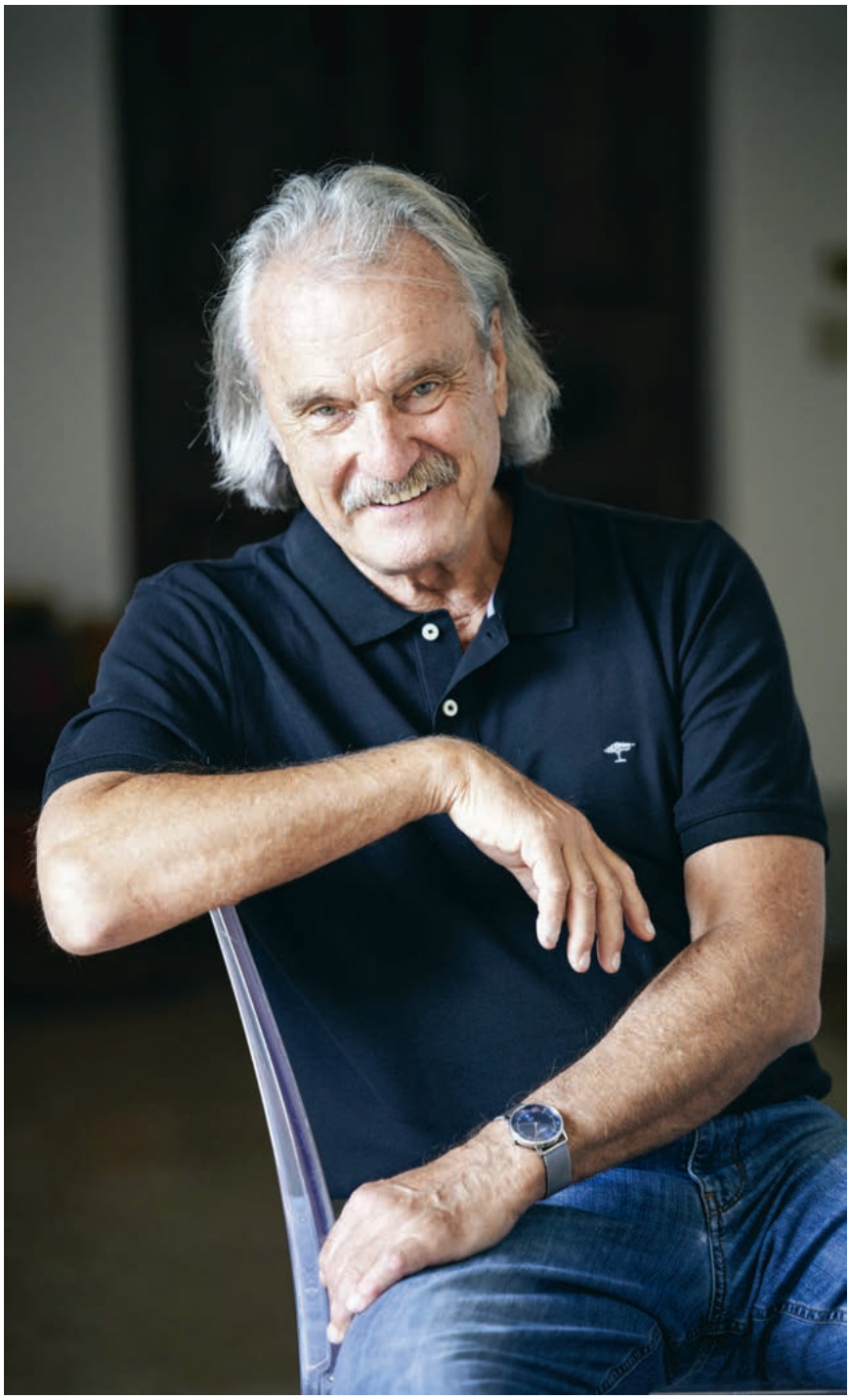
Conrad siłą rzeczy konstruuje swoje narracje o Innym z perspektywy europejskiej. Osądy formułowane w książce Vásqueza podważają wkład tego pisarza jako krytyka kolonializmu. Rezonują z myślą teoretyków postkolonialnych, takich jak Edward W. Said i Homi K. Bhabha, którzy ujawniają, że większość Europejczyków nigdy nie stawiała obcokrajowca w pozycji aktywnego podmiotu, za to podtrzymywała stereotyp i konfrontację, w której tekst Innego jest zawsze egzegetycznym horyzontem różnicy. To dlatego „Sekretna historia..." przedstawia Conrada jako złodzieja cudzych tożsamości, losów oraz opowieści. Vásquez w swojej książce zuchwale zarzuca autorowi „Nostromo" kolonizację wyobraźni literackiej, jednak postać Altamirano kwestionuje tę fikcję.

„Sekretna historia..." opisuje spustoszenia dokonane przez kolonializm i imperializm z bezprecedensowej perspektywy. Narrator José Altamirano nie identyfikuje się jako Kolumbijczyk ani Panamczyk, a na koniec życia osiada w Londynie. Mimo potępiania kolonializmu, skalał swój umysł europejskimi archiwami i zdarzało się, że powielał ich klisze. Własną historię rekonstruuje z wnętrza tego samego imperium, w którym schronienia szukał Joseph Conrad.

A Juan Gabriel Vásquez? Ostatnią kropkę „Sekretnej historii Costaguany" postawił w 2006 r. w Barcelonie – dzieje zyskiwania niepodległości przez Panamę zostały spisane w dawnym imperium hiszpańskim. Opublikowana niemal dwie dekady temu powieść rozpoczęła okres w jego twórczości rozświetlający mroki Kolumbii. Popychany wiatrem postępu Anioł Historii raz po raz trąca Vásqueza, aby zwrócił na niego uwagę. Ten zaś swoim pisaniem uporczywie pokazuje, że sowa Minerwy wylatuje niekoniecznie o zmierzchu. © PAULINA FRANKIEWICZ



SEKRETNA HISTORIA COSTAGUANY
ukazała się nakładem Wydawnictwa Muza w tłumaczeniu Katarzyny Okrasko w 2009 r.



LEONARDO CENDAMO / GETTY IMAGES

Pieśń i błąd

GRZEGORZ JANKOWICZ

Czy i w jaki sposób możemy przeciwstawić się porządkowi władzy? Jak może nam w tym pomóc literatura? Jaką cenę za nieposłuszeństwo musi zapłacić jednostka i czy warto tę walkę podjąć?

CHRISTOPH RANSMAYR
(ur. 1954) – jeden z najważniejszych współczesnych pisarzy języka niemieckiego. Autor m.in. „Ostatniego świata", „Atlasu lękliwego mężczyzny", „Cesarskiego zegarmistrza" i „Latającej góry". Laureat Nagród im. Friedricha Hölderlina, Franza Kafki, Bertolta Brechta, a także Prix Aristeion.

Swoją drugą powieść – wydany w 1988 r. „Ostatni świat" – austriacki pisarz Christoph Ransmayr zadedykował niejakiemu Andreasowi Thalmayrowi. W dostępnych podówczas materiałach można było wyczytać, że Andreas to tłumacz z Tyrolu Południowego, w wolnych chwilach zajmujący się popularyzacją wiedzy o literaturze. W 1985 r. ukazało się przygotowane przez niego kompendium zatytułowane „Das Wasserzeichen der Poesie oder Die Kunst und das Vergnügen, Gedichte zu lesen. In hundertvierundsechzig Spielarten" (Znak wodny poezji albo sztuka i przyjemność czytania wierszy. W stu sześćdziesięciu czterech odsłonach). Thalmayr doszedł do wniosku, że szkoła odbiera radość z czytania wierszy, gdyż traktuje poezję jako „statyczny" sposób komunikacji. Młodych ludzi przekonuje się, że ich zadaniem jest odkrycie zaszyfrowanego w tekście sensu. Procedura przypomina quiz: wiersz jest pytaniem, a z listy odpowiedzi należy wybrać tę właściwą, by przejść do następnej rundy. Nic dziwnego, że po takim doświadczeniu większość czytających porzuca poezję, a nawet lekturę jako taką.

Przeróbka wiersza

Thalmayr zaproponował inny rodzaj czytelniczego doświadczenia: wiersz można przekształcać, swobodnie traktując jego potencjalne znaczenia, rozbudowując go lub skracając, parafrazując i parodiując, przerabiając na inne gatunki literackie, rozkładając na kawałki, tworząc na jego podstawie nowe dzieła sztuki, np. obrazy lub filmy. Strażnicy sensu – przekonywał – będą próbowali nas przed tym powstrzymać, rozlegną się pomruki niezadowolenia, że sprzeniewierzyliśmy się oryginałowi, że kalamy kulturalne gniazdo, w którym wzrastaliśmy. Nie powinniśmy się tym przejmować, a co najważniejsze

– nie możemy zwlekać, zakładając, że na swobodę przyjdzie czas, gdy odźwierni odejdą, a drzwi do gmachu poezji wreszcie staną otworem. Przekonanie, że literaturę można czytać jedynie w określony sposób, nigdy nie zniknie. Może przycichnąć, ale prędzej czy później zbudzi się z uśpienia i znów zostanie użyte jako model interpretacyjnego działania.

Wśród przykładów Thalmayra znalazła się przygotowana przez Christopha Ransmayra przeróbka kilkunastu wersów ósmej księgi „Metamorfoz" Owidiusza, w których mowa o labiryncie zbudowanym przez Dedala dla Minotaura. Rzymski poeta musiał założyć, że historia jest dobrze znana, gdyż przybliżył ją w niezwykle skrótowy sposób. Na Krecie w pałacu Minosa dorasta dwukształtny potwór – pół chłopiec, pół byk – dowód cudzołóstwa Pazyfae, żony króla, która zapałała namiętnością do pięknego byka. Minos, nie mogąc znieść tej hańby, zleca genialnemu wynalazcy zaprojektowanie labiryntu. Dedal wznosi gmach o splątanych korytarzach, z którego bez znajomości drogi nie sposób się wydostać. Owidiusz dodaje informację o składanych Minotaurowi raz na dziewięć lat ofiarach z młodzieży ateńskiej i o Tezeuszu, któremu ostatecznie udaje się zabić potwora dzięki pomocy Ariadny, córki kreteńskiego monarchy.

W swojej przeróbce Ransmayr przesuwa niemal wszystkie akcenty. Jako medium opowieści wybiera prozę, która pozwala mu na swobodne rozwinięcie wątków. Tuż przed świtem posłaniec Minosa zjawia się w komnacie Dedala, budzi go i przedstawia żądanie króla: ma natychmiast stawić się przed jego obliczem. Budowniczy wie, że nie wróży to nic dobrego i, przemierzając kręte korytarze zamku, próbuje mentalnie przygotować się na sytuację, z którą będzie miał do czynienia. Okazuje się, że potężny władca, dumny i nieustraszony zdobywca, nazywany przez współczesnych sprawiedliwym prawodawcą świata, potrzebuje pomocy: chce, by Dedal stworzył pułapkę bez wyjścia dla potwora zrodzonego przez Pazyfae. Minos roztacza przed architektem swoją wizję więzienia dla bastarda. Architekt z narastającym przerażeniem słucha króla, by na końcu szeptem wypowiedzieć tylko jedno zdanie. Minos prosi, by Dedal powtórzył frazę, ale ten nie może wydusić z siebie ani słowa: „Wówczas Kreteńczyk zbliżył się tak bardzo, że Dedal czuł jego oddech, po czym powtórzył, przedrzeźniając poddanego: Panie, mówisz o własnym pałacu" (tłum. własne).

W wersji Ransmayra wszystkie postaci i wątki mitycznej opowieści zostały ukazane w ambiwalentny sposób. Dedal, figura złamanego artysty, przybył na Kretę jako uciekinier, ponieważ w Atenach zamordował Perdiksa, swojego siostrzeńca i ucznia, który przewyższył go w artystycznym i architektonicznym kunszcie. Skazany na śmierć przez radę archontów, musiał uchodzić wraz z synem Ikarem. Azyl znalazł u Minosa od samego początku oczekującego absolutnego posłuszeństwa. Budzący przerażenie król, odpychający od siebie wszystkich, łącznie z Pazyfae, próbował jednak stworzyć monarchię doskonałą, w której każdy poddany zajmuje wyznaczone mu miejsce.

W wersji antycznej, przytoczonej przez Owidiusza, władca Krety zostaje ukarany za sprzeniewierzenie się woli bogów. Właśnie to jest przyczyną zgubnej namiętności Pazyfae. U Ransmayra źródłem zła jest okrucieństwo samego Minosa, które wywołuje cierpienie i obłęd królowej, co popycha ją ku transgresyjnym czynom. Ale później Pazyfae opiekuje się synem, nie zważając na jego aparycję i nie traktując go jako potwora. U Owidiusza o Minotaurze jako „hańbie rodu" (*opprobrium generis*) mówi bezosobowy narrator. U Ransmayra pejoratywne określenia wypowiada król, który zakazuje podwładnym posługiwania się imieniem bękarta.

Zło jest skutkiem działań władcy, który każe wybudować labirynt nie po to, by oszczędzić poddanym kontaktu z niebezpiecznym potworem, lecz po to, by ukryć rysę na swoim wizerunku, zasłonić mroczną podszewkę rzekomo sprawiedliwej władzy i przejąć kontrolę nad tym, co ludzie myślą, mówią i czynią. Dedal jest bezwolnym narzędziem w jego ręku. Splamiony zbrodnią popełnioną z narcystycznej zawiści, przytłoczony strachem przed karą, która czeka go w Atenach, nie może pozwolić sobie na nieposłuszeństwo. Jednak w decydującej chwili resztki sumienia pozwalają mu wykonać nikły, ale ważny gest: stawia przed Minosem lustro, dając do zrozumienia, że upiornym więzieniem od samego początku jest zamek władcy.

Nowe „Metamorfozy"

Gdyby w 1985 r. jakiś dziennikarz wybrał się do Tyrolu Południowego, by zrobić wywiad z autorem „Das Wasserzeichen...", miałby nie lada problem z jego zlokalizowaniem. W rzeczywistości Andreas Thalmayr był heteronimem Hansa Magnusa Enzensbergera, niemieckiego poety i tłumacza. Pisarz wymyślił swoje *alter ego*, gdyż zależało mu, by proces przemiany, docelowo mający uwolnić poezję z sideł szkoły, został zainicjowany na wielu poziomach. Twórca książki to zawsze ktoś inny niż człowiek z tożsamością wskazaną w dowodzie osobistym. Gdy zaczyna pisać, zmienia się – pod wpływem opowiadanej historii lub za sprawą samego języka – do czego zachęca również czytelniczki i czytelników. Nie znaczy to, że nie bierze odpowiedzialności za napisane słowa, ale nie znaczy to również, że jesteśmy zobowiązani do wierności podpisanemu jego nazwiskiem oryginałowi.

Sam „oryginał" to jedynie konwencja, pewien sposób traktowania opowieści, która nawet jeśli jawi nam się jako wyjątkowa, zawsze jest powiązana z innymi dziełami. Doskonały przykład takiego zadłużenia stanowią „Metamorfozy" Owidiusza, który wykorzystał greckie podania, opracowane i przekształcone przez innych – częściowo anonimowych – autorów, a ponadto tematem swojej pieśni uczynił proces przemiany, której podlegają wszystkie ożywione i nieożywione byty, wszystkie materialne i mentalne zjawiska. Poza tym dzieło czytane przez kolejne pokolenia zawsze rozpięte jest między przeszłością a teraźniejszością, nie przynależąc do żadnej z nich. Niedostrzegany wcześniej potencjał może sprawić, że dany utwór zyska całkowicie nowe – wywrotowe – znaczenie.

Do pracy z tekstem Owidiusza zachęcił Ransmayra właśnie Enzensberger. Przeróbka fragmentu o labiryncie spodobała mu się tak bardzo, że zasugerował przyjacielowi, by zmierzył się z resztą owidiuszowego materiału. Ransmayr podkreślał w wywiadach, że nigdy nie chodziło o przekład „Metamorfoz", lecz o napisanie ich na nowo. Efekt tego eksperymentu ukazał się drukiem jako wspomniany wcześniej „Ostatni świat", 44. tom założonej przez Enzensbergera i Franza Grena bibliofilskiej serii Die Andere Bibliothek. ↦



DOMENA PUBLICZNA

Owidiusz, drzeworyt, XVII w.

↦ Jak wspomniałem, była to druga powieść w dorobku austriackiego pisarza. Zaczynał jako dziennikarz i reporter, by z czasem zająć się szczególnym rodzajem fikcji, często zakorzenionej w wydarzeniach historycznych, ale swobodnie je przekraczającej i poszukującej prawdy w okolicach, które ktoś inny i gdzie indziej nazwał rejonami wielkiej herezji. W „Ostatnim świecie" Ransmayr wykorzystuje biografię i dzieło Owidiusza nie dla doprecyzowania tego, co już wiemy, lecz po to, by odkryć nowe możliwości rozumienia przeszłych i teraźniejszych zdarzeń.

Na najbardziej elementarnym poziomie fabuła utworu układa się w schemat znany z powieści kryminalnych. Niejaki Cotta (imię należące do historycznego przyjaciela Owidiusza), rzymski obywatel, przybywa do Tomi (dzisiejsza Konstanca), niewielkiej miejscowości leżącej nad brzegiem Morza Czarnego, by sprawdzić, co stało się z zesłanym tam przez cesarza Augusta poetą. Wcześniej do Rzymu dotarła wieść o jego śmierci. Władza, która najpierw go wygnała, a później dbała o to, by jego dzieła popadły w zapomnienie, postanawia wysłać do Tomi oficjalną ekspedycję.

Cotta, który znał Owidiusza, cenił jego dokonania, postanawia uprzedzić wszystkich i wreszcie zaistnieć w przestrzeni publicznej jako ten, który nie tylko zweryfikował informację o śmierci wybitnego twórcy, ale też odzyskał z otchłani niepamięci jego legendarny poemat, czyli „Metamorfozy". Tuż przed wyjazdem z Rzymu Owidiusz spalił swoje archiwum, ale Cotta podejrzewa, że przez lata spędzone na krańcach cesarstwa wrócił do pisania i odtworzył zniszczoną opowieść. Jednak nic nie układa się zgodnie z planem. Mieszkańcy Tomi, odnoszący się do przybyszów z nieufnością, w zasadzie nie reagują na jego pytania. Tylko nieliczni udzielają mu zdawkowych odpowiedzi.

Wypędzony poeta

Nie wiadomo, co dokładnie stało się z Owidiuszem. Okresowo mieszkał w górskiej Trachili, ale gdy Cotta przybywa do tego azylu, znajduje jedynie pusty dom, którego pilnuje milczący sługa o imieniu Pitagoras sprawiający wrażenie obłąkanego. Do sterczących nieopodal kamieni Pitagoras przyczepia kawałki materiału z fragmentami pieśni poety. Na pobliskiej polance stoi kilkanaście kolumn z wygrawerowanymi słowami. Cotta identyfikuje te inskrypcje jako przesłanie Owidiusza i przystępuje do rekonstrukcji jego sensu, przekonany, że brakujących wyrazów można się bez trudu domyślić.

Dopiero gdy lepiej pozna mieszkańców Tomi, wśród których znajdują się m.in. Prokne, Echo, Prozerpina czy Likaon, uświadomi sobie, że poszukiwane przezeń dzieło istnieje wyłącznie w postaci strzępów, drobin zmieszanych z tkanką nadmorskiej rzeczywistości, zagarniętych z brzegu przez opowieść, której częścią jest on sam. Zrozumie, że życie na krańcach cesarstwa różni się od egzystencji mieszkańców jego centrum. Z perspektywy Rzymu wszystko jawi się jako kawałek doskonale pasujący do struktury. Jednak z punktu widzenia Tomi struktura wydaje się albo nieobecna, albo przynajmniej nieprzenikniona, co na jedno wychodzi, skoro na co dzień nikt się na nią nie powołuje. W sercu cesarstwa sens widoczny jest na każdym kroku, na jego obrzeżach każdy krok stawia się niepewnie, często ze strachem, rzadko, bardzo rzadko z nadzieją na lepsze jutro.

Ransmayr powtórzył napięcie z fragmentu, który napisał dla Enzensbergera. Tam mieliśmy bezwzględnego Minosa ustanawiającego porządek i bezwzględnie strzegącego jego trwałości. Tu mamy Augusta, despotycznego twórcę aparatu władzy. Tam mieliśmy Dedala, genialnego wynalazcę, ale też mordercę, który pozostaje na łasce swojego protektora i w każdej chwili może stracić nikłe wpływy. Tu mamy Owidiusza, który pewnego dnia zostaje relegowany do kolonii, gdyż uchybił obowiązującemu prawu i obraził cesarski majestat. Tam – co prawda na innym poziomie – mamy tłumacza, którego w Południowym Tyrolu nie znalazłaby żadna ekipa poszukiwawcza. Tu – poetę, który tak intensywnie zmityzował swą biografię, że nie wiadomo, czy w ogóle istniał.

Austriacki pisarz wprowadził do wyjściowego schematu inspirujące zmiany. August został przedstawiony na wzór nieobecnego władcy z Szekspirowskiego „Hamleta", o którego spierali się niegdyś Walter Benjamin i Carl Schmitt. Cesarz sprawuje władzę jedynie symbolicznie: jest nieruchomym zwornikiem systemu, całą egzekutywę

Spotkanie z **CHRISTOPHEM RANSMAYREM** odbędzie się 25 października o godz. 18.30 na scenie MOS Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Rozmowę poprowadzi Paulina Frankiewicz.

przekazuje wytresowanemu aparatowi, licznym urzędnikom, którzy prześcigają się w realizacji coraz bardziej absurdalnych poleceń.

Wina Owidiusza pozostaje domyślna. Nie jest zbrodniarzem, jak Dedal, ale też nie występuje przeciwko swojemu władcy jako wichrzyciel. Naprawdę groźny staje się dopiero po śmierci, gdy pamięć o nim przechwytują zwolennicy opozycji, wykorzystując jego dzieła do walki, w której poeta nigdy nie uczestniczył.

Jak w przeróbce mitu o labiryncie, tak i tu Ransmayr stawia kilka ważnych pytań: czy i w jaki sposób możemy przeciwstawić się porządkowi władzy, czy i jak może nam w tym pomóc sztuka, a ściślej literatura, jaką cenę za nieposłuszeństwo musi zapłacić jednostka i czy warto tę walkę podjąć?

Pragnienie wolności

Tak naprawdę nie wiadomo, dlaczego historyczny Owidiusz został wypędzony z Rzymu. On sam w jednym z utworów pisze, że stało się to za sprawą *carmen et error*, pieśni i błędu. Różne epoki w odmienny sposób interpretowały ten fragment. Jedni przypuszczali, że inkryminowanym dziełem był poemat o sztuce kochania, przedstawiający sferę uczuć w sposób odbiegający od obyczajowej powściągliwości zalecanej przez Augusta. Jednak do relegacji doszło w 8 r. n.e., a poemat ujrzał światło dzienne kilka lat wcześniej. W rzeczywistości cesarz był niezwykle sprawnym i aktywnym monarchą. Czy czekałby tak długo, by ukarać poetę za szerzenie nieprawomyślnych koncepcji miłosnych? Błąd mógł polegać na romansie z żoną wysokiego rangą urzędnika lub kobietą należącą do cesarskiej rodziny, przypadkowym wtajemniczeniu poety w spisek albo powzięciu przezeń wiedzy na temat jakiejś niegodziwości, która na wieki miała pozostać tajemnicą.

W powieści Ransmayra Owidiusz nie stawia oporu cesarzowi. Przeciwnie, zainteresowany jest przede wszystkim własną karierą i szuka poklasku u odbiorców. Szybko dociera do niego, że prawdziwa sława jest gdzie indziej: na politycznych wiecach i arenie sportowej. Od czasu do czasu odwiedza stadiony, ale nie wchodzi do środka, tylko, siedząc u stóp budowli mieszczącej rozemocjonowany tłum, przysłuchuje się wyrazom uznania, których w takim natężeniu nigdy nie doświadczył.

> Owidiusz jest groźny wtedy, gdy przejmująco opowiada o metamorfozie jako zasadzie wszelkiego istnienia.

Jako człowiek błyskotliwy potrafi przeniknąć mechanizmy rządzące publiczną komunikacją. Zaczyna rozpuszczać plotki o nowym utworze, podsyca zainteresowanie nim, przekonując, że będzie to opowieść z kluczem, demaskująca rzymskie elity. W ten sposób ustawia odbiór swoich dzieł. Nawet te najbardziej niewinne gawiedź zaczyna traktować niczym interwencyjne sztuki Bertolta Brechta. To porównanie nie powinno dziwić, ponieważ w świecie wykreowanym przez Ransmayra obowiązuje zasada anachroniczności: epoki nakładają się na siebie, tworząc osobliwą mieszankę, która pasuje zarówno do rzymskiej przeszłości, jak i – dajmy na to – berlińskiej teraźniejszości. Owidiusz doskonale porusza się w tej płynnej przestrzeni, wysyłając sygnały pobudzające uwagę komentariatu. Ale to jedynie salonowa gra, kanapowa rewolta, rozpisana na kilka postów publikowanych od poniedziałku do piątku.

Wypędzenie jest bezpośrednim następstwem pewnego zdarzenia. Poeta zostaje doproszony w zastępstwie do grona mówców, których oracje mają uświetnić otwarcie nowego stadionu. Podchodząc do mikrofonu, zapomina lub celowo pomija oficjalne formuły pochwalne i dziękczynne dla cesarza, a potem wygłasza mowę o zarazie na wyspie Egina, z której wynika, że upadek społeczeństwa poprzedza jego bezmyślne poddaństwo bezdusznej władzy. Mocne, ale na mentalnie lewitującym Auguście nie robi to żadnego wrażenia. O zdarzeniu przypominają władcy czujni urzędnicy, oczekując wskazówki, co zrobić z niesfornym oratorem. Zniecierpliwiony monarcha wymachuje ręką, dając do zrozumienia, że nie chce już dłużej słuchać o wystąpieniu Owidiusza. Cesarski gest zostaje zinterpretowany jako decyzja o relegacji, przecież wyraźnie machnął w stronę Morza Czarnego.

Ale pod administracyjnym absurdem, który tak dobrze znamy z codziennego doświadczenia, kryje się przenikliwa przezorność aparatu władzy. Urzędnicy Augusta doskonale wiedzą, jakiego porządku strzegą. Z każdego miejsca cesarstwa system musi jawić się jako niewzruszony i wiecznotrwały. Owidiusz nie jest groźny wtedy, gdy nieco komicznie prowokuje publiczność, ulegając wrażeniu, że oto wyprowadza śmiertelny cios, którego siłę podziwiają przyklejeni do ekranów obywatele, lecz wtedy, gdy przejmująco opowiada o metamorfozie jako zasadzie wszelkiego istnienia. Władza nie chce słyszeć o zmianie, a jeśli już, to tylko o takiej, która pozwala, by wszystko pozostało takie samo.

Opiewana przez historycznego Owidiusza i zintensyfikowana przez Ransmayra zmiana (*error* poety) jest cechą samego świata, sposobem istnienia rzeczywistości. Pieśń potrafi tę metamorfozę nie tylko uchwycić i ukazać, ale też podać nam ją jako narzędzie. Wspólnota, która nie tylko wierzy w zmianę, ale też potrafi ją praktykować – to zmora każdego Augusta. Cotta, przedstawiony przez Ransmayra jako *everyman*, jeden z wielu rozczarowanych władzą i szukających dla siebie miejsca z dala od centrum, przebywa długą drogę – i geograficznie, i emocjonalnie. Dopiero w Tomi, nad brzegiem morza, które w Rzymie nazywane jest otchłanią rozciągającą się poza granicami cesarstwa, czyli świata, dociera do niego, że wcześniej kręcił się wokół własnego ogona, wstydliwie skrywając przed innymi jedyne pragnienie, o które warto walczyć, dla którego warto żyć i umrzeć – pragnienie wolności.

© GRZEGORZ JANKOWICZ



OSTATNI ŚWIAT
ukazał się nakładem Wydawnictwa Sic! w tłumaczeniu Jacka Stanisława Burasa w 1998 r.

Karczowanie kobiecości

ALEKSANDRA KORCZAK

W patriarchalnej grze jedyny sposób, by nie przegrywać jako kobieta, to jeszcze bardziej pogardzać tymi stłamszonymi i stać u boku mężczyzny, który reprezentuje godność i sprawczość.

Siostry Leskinen są spokrewnione i z Hagridem, i z Małą Mi. Jak to możliwe? Bohaterki „Córek łowcy niedźwiedzi" Anneli Jordahl są równie przaśne, zarośnięte i nieokrzesane, co gajowy Hogwartu, przedzierają się przez leśne knieje, kochają to, co dzikie i nieujarzmione. To pół-olbrzymki, które najlepiej czują się w sercu głuszy. Wyrzutki.

Mała Mi wyrzutkiem być nie mogła. „Szczęśliwi idioci", jak w przypływie frustracji Tove Jansson nazwała rodzinę Muminków, akceptowali wszystkich. Przyjęli więc do swojego grona tę opryskliwą, niezależną emocjonalnie rudą smarkulę, zadowoloną z siebie i wyzwoloną z konwenansów indywidualistkę. Nawet jeśli Mała Mi robi wrażenie jako archetyp buńczucznej dziewczyńskości, jako człowiek z krwi i kości najprawdopodobniej byłaby nie do zniesienia. Inne fińskie rudzielce, tytułowe córki, zwielokrotnione Małe Mi, nie potrafią porozumieć się między sobą, a tym bardziej z ludźmi spoza ich siostrzanej grupy.

Siedem sióstr

Powieść, która przyniosła szwedzkiej autorce rozgłos i nagrody oraz pozwoliła jej zadebiutować na polskim rynku, to reinterpretacja XIX-wiecznych „Siedmiu braci" Aleksisa Kiviego, należących do narodowego kanonu literackiego Finlandii. To historia osieroconych chłopców, buntujących się wobec norm obyczajowych (piją, biją, przeklinają) i autorytetów (m.in. proboszcza), którzy osiedlają się w dziczy, gdzie hartuje ich wieloletni trud. Po czasie rodzeństwo wraca do porzuconej społeczności, by zyskać poważanie jako pełnoprawni gospodarze i odpowiedzialni członkowie wspólnoty.

Anneli Jordahl odpowiada na pytanie: co by było, gdyby w tej kultowej dla Finów historii zamiast braci wystąpiły siostry? Jej bohaterki pod wieloma względami przypominają nieposłusznych Kiviego: mają narowisty charakter (piją, biją, przeklinają) i wyśmiewają mieszczańskich ważniaków (w tym proboszcza). I one zostały ukształtowane przez mit zmarłego rodzica – wielkiego łowczego stroniącego od cywilizacji, nieustraszonego w zmaganiach z naturą i gardzącego pracą na roli.

Mogą chodzić w odziedziczonych po nim butach, polować jego strzelbą, mieszkać w jego chacie na szwedzko-fińskim pograniczu, a nawet sto pięćdziesiąt kilometrów od innych siedzib ludzkich, i przywoływać jego słowa. Żadna z nich nie urodziła się jednak mężczyzną, a ten brak okazuje się nie do nadrobienia.

Nie mogą wcielić się we własną matkę, ofiarę systemu, który nieuchronnie zwraca kobiety przeciwko sobie. Odkąd sięgają pamięcią, dziewczyny żywią do niej nienawiść. Zamiast jak ona harować na gospodarstwie, pożądają władzy i własnej służącej. W niechęci do rodzicielki utwierdza je wieloletnia obserwacja relacji rodziców: w patriarchalnej grze jedyny sposób, by nie przegrywać jako kobieta, to jeszcze bardziej pogardzać tymi stłamszonymi i stać u boku mężczyzny, który reprezentuje godność i sprawczość.

Dlatego siostry wolą wtórować ojcu i wyśmiewać matkę, jednak od tego śmiechu nie stają się Erikiem Leskinenem. A gdy już będą umiały spojrzeć na świat jej mokrymi oczami, od łez nie staną się Louhi.

W „Kalevali", fińskim eposie narodowym, imię matki odsyła do potężnej czarownicy, przebiegłej władczyni północy, zimy i ciemności. Nordyckie feministki interpretują jej postać jako pierwszą kobietę wyzwoloną. W „Córkach łowcy niedźwiedzi" Louhi jest jednak zależna i pogrążona w głębokim nieszczęściu. Jako wiedźmę postrzegają ją własne córki – dopóty, dopóki nie będzie za późno, by zrozumieć, jaka była naprawdę, i móc się do niej zbliżyć.

W tym zawieszeniu, między matką-ofiarą a ojcem-agresorem, siedem rudych głów próbuje zdefiniować swoją tożsamość. Poszukiwania intensyfikują się, gdy rodziców zabiera śmierć, choć w psychospołecznym imaginarium bohaterek pozostają oni dotkliwie obecni. Im dalej w las, tym wyraźniej widać, że destrukcyjne zapędy dziewczyn najbardziej uderzają w nie same. Zinternalizowana walka płci okazuje się konfliktem stojącym u podstawy wszystkich innych starć.

Mroczna baśń

„Córki łowcy niedźwiedzi" to postfeministyczny koszmar. Postfeminizm rozumiem jako nurt popkulturowy, którego wytwory – brutalne, ofensywne, bezpardonowe postaci kobiece – są niesłusznie interpretowane jako feministyczne. Zamiast silnych i nieustraszonych bohaterek czytamy jednak o toksycznych mężczyznach z kobiecymi imionami oraz o protagonistkach, których sprawczość wynika wyłącznie z ich stereotypowo męskich cech.Takie myślenie o feminizmie jest ślepą uliczką. Brak mu dążenia do równości i zrozumienia odmiennych ścieżek socjalizacji, którym jesteśmy poddawane i poddawani. Nawet #girlpower nie zmieni tej smutnej prawdy: agresywna bohaterka nie jest feministyczna. Jest agresywna.

Mizoginia i chęć ucieczki od kobiecej podległości, a także fascynacja męsko-

Spotkanie z **ANNELI JORDAHL** odbędzie się 23 października o godz. 20.00 na scenie MOS Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Rozmowę poprowadzi Agnieszka Wenderska.



KAJSA GÖRANSSON / MATERIAŁY PRASOWE

ANNELI JORDAHL (ur. 1960) – szwedzka pisarka, dziennikarka i krytyczka literacka. Za „Córki łowcy niedźwiedzi", swoją piątą książkę prozatorską, otrzymała nominację do prestiżowej Nagrody Augusta oraz znalazła się w finale Nagrody Literackiej Szwedzkiego Radia.

ścią i jednoczesny lęk przed nią to siła napędowa powieści. To także źródła napięć między bohaterkami i katalizator ich rozwoju psychoemocjonalnego. Każda z nich jest na innym etapie dojrzewania, choć najstarsza z sióstr wcale nie jest najrozsądniejsza, a najmłodsza – najbardziej podporządkowana.

Skoro nie działa tu hierarchia wieku, kobiety wykorzystują do walki o dominację swoją najmocniejszą cechę – intelekt, sprawność fizyczną czy manualną. Wykorzystują je bezwzględnie, nie zważając na to, że połączenie sił mogłoby poprawić funkcjonowanie każdej z nich. Mamy tu do czynienia z czymś dużo bardziej złożonym niż nastoletni bunt: siedem sióstr nie odbierze pokornie lekcji resocjalizacji i nie wejdzie w dorosłość z najwyższą oceną z zachowania.

W pułapce męskości

„Siedmiu braci" Kiviego interpretuje się jako *bildungsroman*, czyli formacyjną powieść o dorastaniu. Wewnętrzna przemiana bohaterów przynosi korzyść nie tylko im samym, lecz także całej wiosce. Tak rozumiana ewolucja tożsamościowa pozwala zachować odrębność jednostki przy jednoczesnym wpisaniu się w obowiązujące normy. Socjalizacja przebiegła pomyślnie. Można zamknąć książkę.

„Córki łowcy niedźwiedzi" to zupełnie inna historia. Mimo że akcja powieści nie rozgrywa się ponad sto lat temu, a w XXI wieku – w czasach czynnych i biernych praw wyborczych, instytucji mających stać na straży równości i dostępności kształcenia – siostry nie mogą włączyć się w życie społeczności. Dlaczego?

Powszechna obecność zdobyczy cywilizacyjnych pierwszej fali feminizmu nie poszerza horyzontów myślowych okolicznej ludności. Zawody opiekuńcze – pracownicy społecznej czy nauczycielki – wciąż wykonują tu kobiety. Autorytetami są mężczyźni, proboszcz i psychiatra; to oni bogacą się, znają na liczbach i ferują wyroki. Mowa o ludziach zachowawczych, postrzegających siostry Leskinen jako wynaturzenie albo lokalną atrakcję, o której można plotkować, lecz z którą nie siada się do stołu.

Bohaterki Jordahl są świadomym zaprzeczeniem tradycyjnie rozumianej kobiecości. Dążą do całkowitej samodzielności i samowystarczalności w swojej siostrzanej wspólnocie. Ich niezależność nie jest ksobna, nie została obliczona na wewnętrzny ład i własną korzyść, lecz uderza w społeczeństwo. Siostry wprost wykrzykują, że nie związą się z żadnym mężczyzną. Układają o tym protest songi, złowróżbne, naśladujące starotestamentowy styl wersety.

Co innego miałyby brać za wzór, skoro nikt nie śpiewał im kobiecych pieśni o wolności? Żeńskich autorytetów i idących za nimi inspiracji nie dostarcza im ani kultura – nie znają muzyki tworzonej przez kobiety, kobiecych kreacji filmowych, nie czytają filozofek i naukowczyń – ani natura. W swoim otoczeniu nie znajdują kobiet, które mogłyby im zaimponować. Jedna nauczycielka, która próbuje zachęcić dziewczyny do podjęcia pogardzanej przez nie edukacji, to za mało. Nie sposób uciec od męskości, nie mając żadnych innych wzorców. Nie sposób uciec od męskości, naśladując mężczyzn. ↦

↦ Tragizm sióstr Leskinen tkwi w doświadczaniu tożsamości płciowej i psychoseksualnej, w które wpisana jest zależność, i z którego wyrastają stereotypowo kobiece zachowania i role. Mowa tu o dziecięcym pragnieniu bycia akceptowaną i utuloną przez ojca, popędzie seksualnym, zazdrości o męską atencję, rozpaczy spowodowanej gwałtem, a także podległości ciała utrzymującego przy życiu niechciane dziecko.

Bez powrotu

To dlatego w powieści Anneli Jordahl nie ma pokojowego powrotu z leśnej dziczy na łono cywilizacji. Dla jej bohaterek wpasowanie się w patriarchalny ład oznacza oddanie siebie samej – z ufnością albo pod przymusem. Zależność ta jest wpisana w podstawy nowoczesnych ekonomii, prawodawstwa i edukacji. Wykorzystywał to stary Leskinen. Choć wygłaszane przez niego tezy brzmią jak sobiepańskie rojenia, choć wybieramy życie w społecznym komforcie i podporządkowaniu, to wiemy, że miał rację.

Siedem sióstr nie może zatem doświadczyć happy endu, którego doczekało się siedmiu braci. Żadna harówka nie przyniesie im ukojenia, polowaniem nie pomszczą ojca, zwierzyna łowna ich nie nasyci. Nie mogą na powrót zamieszkać w mieście, zachowując przy tym swoje niekobiece jestestwo. Nie są w stanie wrócić w komplecie do rodzinnego domu naznaczonego poddaństwem matki ani szczęśliwie żyć jako leśne banitki. Każda z sióstr ma własne pragnienia, fantazje i lęki. I w każdej drzemie kobiecość, wilgotna i zacieniona jak leśna ściółka.

© ALEKSANDRA KORCZAK



CÓRKI ŁOWCY NIEDŹWIEDZI
ukazały się nakładem Wydawnictwa Czarne w tłumaczeniu Agaty Teperek w 2026 r.

Córki łowcy niedźwiedzi

Prezentujemy otwierający fragment powieści Anneli Jordahl, która ukazała się pod patronatem Festiwalu Conrada.

Od razu zwracały na siebie uwagę. Kiedy sprzedawały na jarmarku drewno, grzyby i suszone zające mięso, wyglądały z daleka jak każdy. Zwykle pojawiały się we dwie lub trzy, ubrane we flanelowe koszule i czarne skórzane kurtki. To, co je wyróżniało i z miejsca zdradzało ich obecność, to zapach, jaki wokół siebie roztaczały. Mieszanka żywicy, potu i niemytego łona.

Z tyłu na kurtkach miały narysowane oko drapieżnika, a nad nim strzelbę. Poniżej zaś widniała rzymska cyfra siedem. Czy były trojaczkami? Wyglądały podobnie: szerokie czoła, zmierzwione kasztanowe włosy nietknięte nigdy przez fryzjera i zapewne od dawna porządnie niemyte. Dwie z sióstr różniły się od trzeciej nosem; ten jej był zdeformowany po lewej stronie, zapewne w wyniku odmrożenia.

Nad boiskiem piłkarskim zastawionym straganami unosił się radosny gwar, sprzedawca warzyw usiłował przekonać sceptycznie nastawionych klientów, że rokietta siewna to inaczej rukola. Włóczącą się wkoło parę młodych ludzi ciekawiło, jak miejscowa piekarnia wyrabia cieszący się wzięciem chleb z kory, którym gardzili starsi – najedli się go po uszy podczas wojny. Nie mogłam oderwać wzroku od tych sióstr, coś mnie do nich przyciągało, dyskretnie krążyłam wokół ich straganu. Kiedy wydawały papierowe torby z grzybami, moją uwagę przykuły szorstkie, podrapane dłonie, długie palce i paznokcie zwieńczone paseczkami brudu. Przez głowę przeszło mi pytanie, ilu klientów straciły, dekorując stragan lśniącymi ogonami najnowszych zdobyczy, zapalczywość tutejszych miłośników zwierząt stale bowiem rosła. Lisie kity zadyndały najpierw przed tłumem gapiów, po czym siostry zademonstrowały, do czego jeszcze mogą służyć: do zawieszenia ich sobie wokół bioder i wykonywania obscenicznych ruchów. Mężczyźni, których żony musiały przekonywać, żeby tu z nimi przyszli, obserwowali teraz ten spektakl z rozbawionymi minami: wycieczka – przynajmniej jeśli o nich chodzi – nie okazała się kompletnie pozbawiona sensu.

Tabliczki z nazwami towarów zapisano z błędami tak koślawym charakterem pisma, jakby zadanie to powierzono siedmiolatce. „Mienso nieźwieźia". „Słotkie maliny prosto zlazu". Z daleka pstryknęłam zdjęcie sióstr rozkładających niedźwiedzie skóry. Ostrość ustawiłam na żar skręconych przez nie własnoręcznie cienkich papierosów, zwisających im z kącików ust. Czasem zaciągały się nimi tak długo, że parzyły się w usta. Stanęłam przy ich straganie, wyjrzałam zza dwóch mężczyzn domagających się od sprzedawczyń potwierdzenia, że w ostatnich latach populacja niedźwiedzi wzrosła. Gdy zapytałam, ile biorą za drewno i czy mają terminal, dostałam kąśliwą odpowiedź, że przyjmują wyłącznie gotówkę; ani na moment nie oderwały ciemnobrązowych oczu od owłosionych męskich ramion. Banknoty i monety otrzymywane za każdą sprzedaną rzecz wkładały do brązowej skórzanej sakwy, którą skrzętnie wiązały. Po wyprzedaniu niemal całego towaru wyjęły piersiówki, pociągnęły z nich i skrzywiły się teatralnie. Publika zaniosła się śmiechem. Stało się to ich numerem popisowym. Czasem proponowały łyk stojącym na przedzie mężczyznom. Zawsze najwięcej klientów tłoczyło się przy ich straganie, zgiełk był tam także największy: gwizdy i brawa. W końcu stanęłam koło barczystych mężczyzn i uniosłam aparat, żeby zrobić zdjęcie roku, wyostrzone na bliznę wijącą się jak wąż od kącika oka do kącika ust jednej z dziewcząt. Wesoły nastrój błyskawicznie przeszedł we wrogość. Siostry

przeniosły spojrzenia z mężczyzn na moją twarz; pamiętam ten nagły zwrot akcji, jakby działo się to w zwolnionym tempie: blask oczu przeszedł w czerń, flirt zmienił się w niechęć. W moją stronę zionęły cztery czarne dziury. Ta z blizną przejechała palcem po gardle. Nogi się pode mną ugięły, serce zadudniło mi w piersi; dlaczego nie spytałam o zgodę? Przecież zwykle pytam przed cyknięciem komuś fotki. Założyłam osłonę na obiektyw i przewiesiłam aparat przez ramię. Dziewczęta wróciły do zabawiania publiczności, dopiły alkohol do ostatniej kropelki, a ja bez proszenia dostałam znienacka rekordowy opust na ostatnią lisią kitę. Ta z blizną demonstracyjnie pomachała mi nią przed twarzą. Ogarnął mnie niewidzialny, choć wyraźnie wyczuwalny obłok kipiącej energii sprzedawczyni i ku własnemu zdziwieniu wyciągnęłam do niej drżącą rękę z banknotem.

Nie mogłam przestać myśleć o tym, jak żyją. Wdarły się szturmem do mojej głowy. Co jedzą na śniadanie? Co robią, kiedy boli je ząb? Kupiłam notes do zapisywania spostrzeżeń; słowa pisane odręcznie są bardziej na serio. Drążyłam temat, wypytując znajomych i ludzi z miasta. Kupiłam kolejny notatnik i lekko opętana posunęłam się o krok dalej – rozpytałam się wśród urzędników gminnych różnych szczebli, co wiedzą o siostrach. Otrzymałam sprzeczne odpowiedzi. „Biedaczki niebędące w stanie przystosować się do życia w społeczeństwie", twierdziła większość. „Dobry Boże, dorastały bez telewizora, komputera i komórki. A przez ostatnie dziesięć lat nie miały nawet telefonu stacjonarnego. Prawdopodobnie ledwie umieją czytać, bo nie chodziły do szkoły". Mówiono, że pewnej nauczycielce, która straciła pracę, gdy przyłapano ją na grożeniu uczniowi nożem, udało się do nich jakoś dotrzeć i na tyle zdobyła zaufanie sióstr, że najmłodsza z nich wzięła chociaż do ręki elementarz. Była żądna wiedzy i bystra, ale po opanowaniu sztuki czytania zerwała kontakt z nauczycielką i stała się dla niej nieosiągalna.

Bez wątpienia sprawy się skomplikowały, odkąd dziewczęta zmuszone były zająć się zmasakrowanym ciałem ojca zabitego przez niedźwiedzia. Widok był zapewne makabryczny. Zwierzę leżało ciężko ranne, krew tryskała mu z otwartej paszczy, tętno wciąż było wyczuwalne, obok zaś leżał martwy myśliwy. Zmaltretowane zwłoki i niedająca się rozpoznać twarz świadczyły o stoczeniu zaciętej walki. Najstarsza siostra dobiła niedźwiedzia, żeby oszczędzić mu zbytecznej męki.

Ojciec był powszechnie znany jako wprawny łowca niedźwiedzi, ludzie nie mogli się wprost nadziwić, jak jest wytrzymały i jak długo może chodzić po lesie. Miał bowiem sporą nadwagę, a z biegiem lat kilogramów mu przybywało. Nieliczni, którzy widzieli go w akcji, podkreślali, że ociężały mężczyzna przeskakuje nad korzeniami, kłodami i kamieniami jak zwinny biegacz na orientację. W końcu sława stała się jego przekleństwem. Oskarżono go o kłusownictwo; wprawdzie policja kilkakrotnie go poszukiwała, ale nigdy nie udało się go doprowadzić na rozprawę. Jego najstarsza córka zaczęła wtedy szkołę i rodzice dopilnowali, żeby ją rzuciła. Cała rodzina unikała jakichkolwiek kontaktów ze społeczeństwem, a sąsiadka, wdowa Niskanpää z gospodarstwa oddalonego o dziesięć kilometrów od domu sióstr, załatwiała sprawunki, kupowała to, co niezbędne, napełniała kanistry benzyną i pomagała ich matce przy porodach. Nauczona przez swoją matkę, która przeszła krótki kurs udzielania pierwszej pomocy, robiła na tym odludziu za dobrą samarytankę.

Ojciec ukrywał się raz za razem przed prześladowcami – zarówno tymi rzeczywistymi, jak i wyimaginowanymi. Najpewniej wracał do domu na noc i rano znów zaszywał się głęboko w lesie. Kiedy umarł, córki znajdowały ślady jego bytności w walących się, opuszczonych chatach i przestronnych grotach na pagórkowatym obszarze porośniętym puszczą.

Wiadomość o jego śmierci wywołała konsternację, dalsza koegzystencja samotnej matki i pogrążonych w żałobie córek pod jednym dachem stała się nie do zniesienia, wzajemna niechęć prowadziła do agresji i przemocy. Do domu przestano wpuszczać nawet panią Niskanpää. Kilku robotników leśnych widziało wychudzone, posiniaczone siostry wałęsające się między drzewami.

Na pogrzebie do siedmiu córek dołączyli: matka Louhi, sąsiadka Niskanpää z synem Johnem i wuj sióstr Veikko Huovinen. Simone jako jedyna złożyła ręce do modlitwy i śpiewała psalmy, które znała na pamięć. Kiedy później dziewczęta kolejno podchodziły, żeby położyć na trumnie ojca gałązkę cykorii podróżnika, żadna z nich nie płakała, choć wyraźnie dało się zauważyć, że są pogrążone w głębokim smutku. Najstarsza z nich, Johanna, długo stała przy trumnie, potem pogładziła wieko i zacharczała. Po skończonej ceremonii pastor wziął ją i jej siostrę Tanję na stronę i powiedział: Pamiętajcie, w jakiej jesteście dobrej sytuacji. Macie matkę i gospodarstwo. Przez lata sporo się nasłuchałem o osieroconych przez ojców dzieciach, które żyją w lesie jak niechlujne łasice. Szczęście wam sprzyja.

Na nic się jednak zdały słowa przestrogi, wyznał mi pastor, gdy zaproszona na plebanię siedziałam przed nim z notesem. Po śmierci ojca był w kontakcie z matką i jedną z córek, która pragnęła utrzymać te spotkania w najgłębszej tajemnicy przed resztą rodziny. W tym okresie trwała już jednak między matką a dziewczętami wojna pozycyjna. Pastor mówił o przemocy, a żywa gestykulacja spokojnego na ogół mężczyzny zdradzała, że jest równie zafascynowany siedmioma siostrami jak ja. Ich zagadką dającą się naświetlić pod różnym kątem. Kiedy już myśleliśmy, że udało nam się wreszcie oddać słowami nędzną pozycję społeczną sióstr, te wymykały się wszelkim określeniom i zwinnie przed nami czmychały.

Matka rozluźniła w końcu żelazny uścisk i od czasu do czasu pomieszkiwała u brata, trzydzieści kilometrów od gospodarstwa. Zmarła, będąc akurat w domu, i zostawiła dziewczęta zdane na pastwę losu w zaniedbanym majątku ojca, spleśniałym, z dziurawym dachem. W biografii córek wiele rzeczy było na „nie", w tym wiele niezapłaconych rachunków. Na piecu w kuchni leżały sterty wezwań do zapłaty i gróźb eksmisji od komornika.

Pastor zapukał do ich drzwi. Zamierzał ze stoickim spokojem spróbować nakłonić siostry, żeby wzięły się w garść i wyprawiły matce pogrzeb. Widok, który ukazał się jego oczom, gdy wszedł do dużej wiejskiej kuchni, będzie go prześladować już do końca życia. Zmarła leżała na ławie. Do wiader kapała deszczówka. Talerze z zaschniętą owsianką i kluskami piętrzyły się w zlewie. Rzucone w kąt pudełka po pizzy sięgały sufitu. Dwie kury dziobały dywanik z psiej sierści, który pokrywał niegdyś zapewne piękną drewnianą podłogę z szerokich desek. © ANNELI JORDAHL



HELEN M. POST / WESTERN REGIONAL ARCHIVES, ARCHIWUM STANOWE KAROLINY PÓŁNOCNEJ

Anni Albers w swojej pracowni tkackiej w Black Mountain College, Karolina Północna, 1937 r.

Filozofka nitki

RENATA KOPYTO

Zbyt długo nie pamiętaliśmy, że tkaniny pozwalają nam być blisko rzeczywistości. Teorie Anni Albers zerwały z postrzeganiem ich jako elementu jedynie dekoracyjnego.

W sierpniu tego roku zakończyła się wystawa „Anni Albers. Constructing Textiles", prezentowana w Centrum Paula Klee w Bernie, a następnie w Belvedere w Wiedniu. Przybliżała ona twórczość niemiecko-amerykańskiej artystki, teoretyczki sztuki i designerki, której obszarem działalności była tkanina oraz – pod koniec życia – grafika. Wśród zdjęć uzupełniających ekspozycję, wykonanych głównie przez jej męża, artystę Josefa Albersa, można było dojrzeć fotografię z 1956 r. Jej bohaterka pracuje przy krosnach z kobietami z meksykańskiego stanu Oaxaca, ucząc się tradycyjnych technik tkackich.

Architektura włókien

Małżeństwo Albersów było zafascynowane historią i tradycją Mezoameryki – podróżowali do Meksyku, Peru i Boliwii, aby odkrywać ślady tamtejszych kultur i czerpać z nich inspirację. Fascynacja ta wiązała się prawdopodobnie z odkryciem pozycji, jaką miały w nich kobiety-tkaczki. W jednym z odnalezionych w Gwatemali grobowców, należącym najprawdopodobniej do władczyni, badacze natknęli się na przyrządy do tkania i dużą liczbę kościanych igieł owiniętych tkaniną. Miały one identyfikować pochowaną królową także jako tkaczkę. Wykonywanie bogato zdobionych materiałów noszonych przez członków elity i stanowiących drogocenne podarunki było bowiem powinnością przedhiszpańskich władczyń.

Na szczególną rolę tkaniny w codziennym funkcjonowaniu całych społeczności, ale też jednostek, Anni Albers zwracała uwagę wielokrotnie. Przywoływała architekta Gottfrieda Sempera, który w połowie XIX w. zbadał relację między tkaniną i przestrzenią, wskazując, że tkanie było pierwotną formą budowania wykorzystującą plecione maty i skóry do zapewnienia schronienia. W eseju „Constructing Textiles" autorka utożsamiła proces powstawania tkaniny z projektem architektonicznym, gdzie wzór, rodzaj i struktura fizyczna materiału są równie ważne. Kolejną cechą wspólną architektury i sztuki tekstylnej jest to, że nie są zależne od jednego rodzaju materiału: obie konstruują całość z pojedynczych, równorzędnych elementów.

Anni na uniwersytecie

Urodzona w 1899 r. w Berlinie jako Anneliese Fleischmann artystyczną edukację podjęła w wieku siedemnastu lat. Po nieudanej próbie zostania uczennicą Oskara Kokoschki, spędziła dwa semestry w Szkole Sztuki i Rzemiosła w Hamburgu, by w końcu zostać studentką utworzonego w Weimarze w 1919 r. przez Waltera Gropiusa Bauhausu. W teoretycznych rozważaniach Albers można dostrzec wyraz buntu wobec pozycji, jaką w szkole łączącej sztukę, architekturę i rzemiosło przypisywano warsztatom tkackim. Studia ukończyła w 1930 r.

Bauhaus jako eksperyment edukacyjny był magnesem przyciągającym ludzi kreatywnych. Prawie połowę przyszłych studentów stanowiły kobiety, które uczelnia Gropiusa zapewniała o pełnym równouprawnieniu. Edukacja rozpoczynała się od kursu wstępnego: nauki kompozycji czy teorii kolorów, ale też poznania właściwości materiałów. Uczęszczano także na zajęcia z rysunku i projektowania przestrzennego. Na kolejnym etapie kobiety spotkały się jednak z dyskrymi-

nacją. Wybierano na nim zajęcia spośród m.in. warsztatów architektonicznych, stolarskich, fotograficznych, ceramicznych czy tkackich. Ten ostatni nazywany był klasą kobiet, gdyż to tam trafiała większość adeptek Bauhausu, również Albers.

Początkowo tkanina nie była jej wymarzoną ścieżką twórczości artystycznej, ale kiedy zaczęła eksperymentować ze strukturą i tworzywem, stała się jej powołaniem. Podkreślała, że zatraciliśmy wyczucie materiału, którego doświadczaliśmy w dawnych czasach, i musimy nauczyć się tego od nowa. W swoim *opus magnum* „On Weaving" napisała, że podstawą jest doświadczenie haptyczne. Te idee korespondowały z misją Bauhausu, czyli ponownym usytuowaniem materiału w centrum procesu twórczego.

Rewolucje

W 1925 r. prowadzenie warsztatów tkackich objęła w szkole Gunta Stölzl. Pod jej kierownictwem twórcze eksperymenty ustąpiły projektom, które z tkaniny miały uczynić „służebne obiekty". Albers starała się łączyć oba te kierunki. Powstała w ramach jej pracy dyplomowej tekstylna okładzina ścienna dla auli szkoły niemieckich związków zawodowych zawierała włókna pochłaniające dźwięk i tworzywa sztuczne odbijające światło. Była też łatwa w czyszczeniu.

Do momentu przeniesienia Bauhausu do Dessau warsztaty tkackie stanowiły pracę rękodzielniczą. Sytuacja polityczna w Niemczech i brak finansowania uczelni ze środków publicznych spowodowały zwrot w kierunku projektowania maszynowego i ściślejszej współpracy z przemysłem. Nie oznaczało to jednak całkowitej rezygnacji z pracy kreatywnej. Obok wzorów tkanin powstawały materiały dla zakładów odzieżowych i projekty ubrań. Jako dodatek do swoich publikacji Bauhaus zaczął wydawać gazetę „Neue Frauenkleidung und Frauenkultur" (Nowe ubrania kobiet i kultura kobieca).

Borykający się z problemami finansowymi Gropius chciał dotrzeć do szerszej publiczności. Charakter czasopisma przypominał więc dzisiejsze lifestylowe pisma kierowane do zamożnej części społeczeństwa głodnej nowych trendów. Na jego łamach Albers włączyła się w dyskurs na temat nowoczesnej architektury i wzornictwa, zachwalając innowacyjność tkaniny. W ciągu następnych lat naznaczonych emigracją jej podejście do posiadania rzeczy uległo zmianie. W „On Designing" dowodziła, że przedkładając nowości i indywidualizm nad prostotę i trwałość, dajemy się korumpować przedmiotom. Co więcej, posiadanie może nas poniżać.

Alians sztuk i perspektyw

Po przejęciu władzy przez Hitlera zarówno żydowskie korzenie Anni, jak i praca Josefa jako nauczyciela Bauhausu stały się dla Albersów poważnym zagrożeniem. Dzięki pomocy architekta i kuratora nowojorskiego Museum of Modern Art, Philipa Johnsona udało im się wyjechać do USA i rozpocząć pracę w nowo utworzonym Black Mountain College w Karolinie Północnej. Szkoła, uważana za amerykańską odpowiedź na Bauhaus, została zbudowana według zasad edukacji Johna Deweya, dla którego studiowanie i praktykowanie sztuki były niezbędnymi elementami humanistycznego wykształcenia.

Black Mountain College przyświecała idea zarządzania demokratycznego: członkowie społeczności akademickiej uczestniczyli w działalności szkoły, wykonując prace rolnicze, budowlane oraz kuchenne. W murach college'u studiowali i pracowali artyści tworzący tamtejszą powojenną awangardę artystyczną, m.in. Willem i Elaine de Kooning, Merce Cunningham, John Cage, Cy Twombly czy Ruth Asawa.

Jeszcze w czasach Bauhausu i pracy w tamtejszych warsztatach tkackich toczyła się debata, w której konfrontowano ekspresjonizm twórczy z funkcjonalizmem i podnoszono temat aliansu sztuk. Meyer, następca Gropiusa, traktował architekturę jako dyscyplinę nadrzędną. W Black Mountain ani studenci, ani nauczyciele nie byli przypisani do poszczególnych warsztatów – zachęcano ich, by próbowali swoich sił na każdym polu.

Josef Albers został głównym nauczycielem sztuki w college'u, Anni rozbudowała tamtejszy wydział projektowania tkanin. Współpracując z firmami przemysłowymi nadal tworzyła samodzielne obiekty tekstylne. W 1939 r. na potrzeby projektu największego ówcześnie domu mieszkalnego w stylu międzynarodowym w Pittsburgu Albers opracowała wzory i wykonała tkaniny mające zdobić budynek. Wykorzystała nici miedziane i włókno szenilowe, co stanowiło ważny krok w jej poszukiwaniach materiałowych.

Więcej niż dekoracja

Jednak artystka nie koncentrowała się wyłącznie na eksperymentach. Wiele jej prac ma filozoficzno-religijny wymiar, a różnorodność wzorów i motywów, jakimi się posługiwała, oferuje szerokie możliwości interpretacyjne. Można odnaleźć w nich fragmenty mandali i wzory przypominające stronice ksiąg, elementy zaczerpnięte z tradycyjnego rękodzieła i z pozostałości po wielkich cywilizacjach Mezoameryki. Albers twórczo wykorzystała pokrewieństwo sztuki prekolumbijskiej z modernistyczną abstrakcją geometryczną. Docenili to architekci Ricardo Legorreta i Luis Barragán, zamawiając u niej pracę do hotelu Camino Real w Mieście Meksyk.

Pierwszym znaczącym sukcesem Anni Albers była wystawa w MoMA w Nowym Jorku w 1949 r., stanowiąca pierwszą ekspozycję tkaniny w instytucji prezentującej sztukę współczesną. W 1963 r. artystka zainteresowała się technikami graficznymi – litografią i sitodrukiem – pozostając jednak wierna swojej dotychczasowej ekspresji twórczej.

Zmarła w 1994 r. w wieku 94 lat. Na jej kolejną ważną wystawę indywidualną trzeba było czekać aż pół wieku. W 1999 r. prace Albers pokazało muzeum Peggy Guggenheim w Wenecji. Potem przyszły ekspozycje w Muzeum Guggenheima w Bilbao, Tate Modern w Londynie i wspomniane wystawy w Centrum Paula Klee i Belvedere.

Teorie Anni Albers zerwały z postrzeganiem tkaniny jako elementu jedynie dekoracyjnego. Jej zdaniem twórca powinien używać wzroku, aby rozumieć język koloru, oraz korzystać ze zmysłu dotyku, aby poznać fakturę materiału. Wówczas tekstylia pozwalają nam na bycie blisko rzeczywistości. ©

Dziękuję wydawnictwu Hatje Cantz Verlag za udostępnienie publikacji „Anni Albers. Constructing Textiles", z której korzystałam przy pisaniu tekstu.

Wystawa **ANNI ALBERS. FILOZOFKA NITKI** w Domu Norymberskim w Krakowie potrwa od 18 października do 6 listopada.

Liryka, epika, rap

AGNIESZKA WENDERSKA

Poezja w kapturze daje nam to, co literatura od początku swojego istnienia – opowieści o świecie, w którym szukamy swojego miejsca.

Za sprawą „Odysei" Christophera Nolana świat przypomniał sobie o najpopularniejszym starożytnym pieśniarzu. Produkcję otwiera scena, w której nadworny bard – u Homera noszący imię Femios, w adaptacji bezimienny – zwraca się do zalotników Penelopy. W jego rolę wcielił się Travis Scott, amerykańska gwiazda sceny hip-hopowej. Pytany o tę decyzję castingową reżyser stwierdził, że raperzy to współcześni aojdzi, wędrowni poeci-śpiewacy przekazujący swoją twórczość ustnie na dworach arystokracji. I miał rację.

Jakie czasy, taki rap

Za kryterium podziału poezji – w antyku nazywano tak ogół tekstów literackich – uznawano m.in. charakter podmiotu mówiącego w utworze. Typowy dla liryki był głos samego poety, przytaczanie wypowiedzi bohaterów bez udziału narratora stanowiło cechę dramatu, a połączenie obu form – epiki. O liryce, w której szczególnie będziemy szukać dowodów na potwierdzenie tezy Nolana, starożytni mówili jako o „poezji niedoskonałej". Późniejsi teoretycy literatury dodawali, że jest wyrazem stanu ducha, słowa są w niej nośnikami ładunku zmysłowo-emocjonalnego, mają funkcję ekspresywną wobec podmiotu. Epika prezentuje otaczający nas świat – liryka oddaje to, co wobec niego czujemy.

Elementami na stałe związanymi z poezją meliczną (później: liryczną) były śpiew jako forma wykonania utworu oraz akompaniament muzyczny. W jej obręb wchodziły pieśni chóralne, którym towarzyszył także taniec, oraz monodie wykonywane solowo, czerpiące z lokalnych tradycji i zorientowane na osobiste przeżycia. Język tych ostatnich był bliski mowie codziennej, nierzadko dialektowi.

Starożytna poezja wymagała wypracowania rytmu, który osiągano dzięki wykorzystaniu odpowiednich stóp metrycznych – układów sylab długich/akcentowanych i krótkich/nieakcentowanych. Miało to sprzyjać zapamiętywaniu długich fragmentów utworu i synchronizacji z podkładem muzycznym. W czasach nowożytnych zasadę regularnej wersyfikacji wykorzystywano do tworzenia wierszy sylabotonicznych, w których występował powtarzalny rozkład akcentów. Obowiązuje ona również w wielu tekstach rapowych, które muszą „siąść" na bicie.

Jeśli cała filozofia zachodnia to przypisy do Platona, to współczesna literatura stanowi odniesienie do tradycji starożytnej. Także dziś towarzyszą jej – choć w znacznie mniejszym stopniu – muzyka i taniec. A hip-hopowi jako kulturze łączącej dźwięk, breakdance, grafitti i DJ-kę bliżej do twórczości antycznej niż poezji najnowszej. Jakie czasy, taki rap.

(Nie)wzniosłe wersy

A co ze wzniosłością, zasadą *decorum* i oddawaniem czci, z którymi kojarzymy dzieła Homera, Safony czy Sofoklesa? Myślenie o rapie w kontekście poezji starożytnej zdaje się nadużyciem. A jednak, zachowana do dziś, powstała w VII w. p.n.e. parodia „Iliady" drwi ze stylu homeryckiego, korzystając z jambu, stopy metrycznej charakterystycznej dla utworów satyrycznych i lekkich. (Dlaczego na polskiej scenie hip-hopowej nie mamy jeszcze Young Jamba?). Z kolei „Batrachomachia" nieznanego autora (ok. 500 r. p.n.e.) to historia żabio-mysiego konfliktu, szydząca z patetycznych opisów wielkich wojen. „Masywna w kostkach, wstręt budząca baba" (starożytne cytaty, jeśli nie podano inaczej, przełożył Jerzy Danielewicz) – mówił niestroniący w swoich utworach od szyderstwa i wyrażania pogardy Archiloch z Paros. A Pindara nazywano „świnią beocką". Starożytni potrafili dissować.

Archiloch reprezentował biedę i pamiętał o szacunku ludzi ulicy: „Nie dbam zupełnie o skarby Gygesa, / Obca mi zawiść, bogom nie zazdroszczę, / Ani nie pragnę posiąść wielkiej władzy – / I tak to wszystko z dala od mych oczu!". Pieśni ludowe strofowały konfidentów: „Co z tobą? Nie zdradź nas, błagam!". Nieobca antykowi była również mizoginia, nad wyraz obecna w tekstach rapowych. Flagowym przykładem jest poemat Semonidesa z Samos, nazywany „Satyrą na kobiety" (VII w. p.n.e.). Jej bohaterki porównywane są do oślic czy świń: „Siedząc wśród błota w tłuszcz tylko obrasta". To także suki: „Co tam, kurwo, szczekasz?", pyta raper Kaz Bałagane; „szczeka, choć nie widzi nikogo", odpowiada poeta. I małpy: „Twarz wprost okropna (...) Biedny, kto taką nędzę musi pieścić!", pisze starożytny; „a twoja z ryja trochę baba jaga", wtóruje Kaz Bałagane.

W rapie znajdziemy również elementy epickie – w „Każdy ponad każdym" WWO Sokół, sam w tekście nazywający się narratorem, nawija o splatających się ze sobą na warszawskich ulicach losach Marysi, Rysia, Janiny, Grzesia i Karola. Jeśli zgodzić się z tezą o końcu czasów wielkiej powieści, jest to epos na miarę teraźniejszości. I choć brak w tej historii szczęśliwego zakończenia, napotkamy tu komizm, przerysowanie i dosadny, wulgarny język, jakże charakterystyczne dla innego rodzaju literackiego, dramatu, a ściślej – komedii.

(Nie)boskie natchnienie

Kiedy stęskniona za mężem Penelopa prosi Femiosa o przerwanie pieśni o wojownikach wracających spod Troi, Te-



OLAF KRÜGER / IMAGEBROKER / FORUM

Graffiti przedstawiające Zeusa na ogrodzeniu placu budowy w Göteborgu, 2022 r.

lemach staje w jego obronie, mówiąc: „Wszak aojdowie / nie są winni. To Zeus – on jest winien, ponieważ on ludziom, / którzy żyją w mozole, rozdaje, co chce i jak zechce". Z kolei pieśniarz błaga Odysa o litość podczas rzezi zalotników słowami: „Jestem samoukiem; to bóstwo natchnęło mi serce / Wszelakimi pieśniami" (tłum. Anna Maciejewska). W 2011 r. Eldo rapuje: „Bóg dał mi talent i cierpliwość do ludzi / By opowiadać, mówić, i tych, co śpią, budzić" (Parias i inni, „Plecak"). I nie jest odosobniony w przeświadczeniu, że jego sztuka to misja, a talent jest wartością, której nie sposób ukryć przed światem. „Nie chciałem być raperem, ale tego zechciał rap" (Belmondawg, „Pappardelle all'arrabbiata").

W cieniu Olimpu krążyło przekonanie, że Muzy zsyłają dar tym, którym coś odebrały (natchnionego Homera przedstawia się jako ślepca) – boskie umiejętności były wynagrodzeniem za ludzkie ułomności. Podobnie, w odsłonie chrześcijańskiej, jurodiwi byli obcymi, pogardzanymi przez społeczeństwo dziwadłami, mającymi wgląd do świata pozaludzkiego. Odkładając na bok elementy religijne, z których dziś sztuka czerpie mniej niż kiedykolwiek wcześniej, spójrzmy na raperów. Młodzi, dorastający w biedzie ludzie z blokowisk, za sprawą własnej kreatywności i mobilizacji zaczęli prezentować sztukę i pociągać za sobą tłumy.

Co teraz? „Tera jestem tu"

Hip-hop już jakiś czas temu wdarł się w przestrzeń powszechnie kojarzoną ze „sztuką wysoką". Lin-Manuel Miranda i jego „Hamilton" – musical opowiadający o jednym z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych – udowodnili, że gatunek ten może służyć do opowiadania wielkiej historii w sposób przystępny i porywający. Sztuka zgarnęła 11 nagród Tony, a występujący w niej artyści koncertowali w Białym Domu przed Barackiem Obamą. Na naszych rodzimych deskach niemałym sukcesem cieszył się zainspirowany dziełem Mirandy musical „1989" w reż. Katarzyny Szyngiery. Współtworzyli go producent muzyczny Webber, raperzy Łona i Bober, a ze sceny padają cytaty z Maty i Pei („ode mnie dla nich pogarda" – wykrzykuje wers „Szacunku ludzi ulicy" młody Wałęsa w „Drodze do Magdalenki"). Ten sam Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie wystawia rapowaną „Antygonę" Jakuba Roszkowskiego z tekstami Bisza. Obłaskawienie zakapturzonej poezji zajęło jednak chwilę.

„Pierwszy w Polsce rap", wbrew temu, co słyszymy na płycie „Sos, ciuchy i borciuchy", nie powstał w 2014 r., lecz pojawił się z końcem lat 80. i rozwijał w kolejnej dekadzie. Ówczesne, sprawne lirycznie teksty w towarzystwie surowych podkładów skupiały się na realiach życia w biedzie i wykluczeniu. Choć starsi raperzy nie lubią dużych słów, stanowiły one swoiste manifesty, zarówno artystyczne, jak i społeczne. ↦

Zapraszamy na spotkanie z **PEJĄ** i **RYFĄ RI**, które odbędzie się 20 października o godz. 16.00 na scenie MOS Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Rozmowę poprowadzi Sebastian Frąckiewicz.

↦ Kontynuując antyczne analogie – opiewały cnoty: mądrość pozwalającą rozróżniać dobro od zła, odwagę i sprawiedliwość. Szerszą publiczność zniechęcały jednak prowokacyjne zachowania twórców, kontrowersyjne teksty i wulgaryzmy, typowe choćby dla owianego złą sławą swarzędzkiego zespołu Nagły Atak Spawacza. Jego album „Brat Juzef", sprzedany w 1996 r. w nakładzie ponad 100 tys. egzemplarzy, wywołał na łamach ogólnopolskiej prasy debatę o granicach wolności słowa w sztuce.

Nowszy rap mniej mówi o realiach, a więcej o stylu życia i aspiracjach do społecznego i finansowego awansu. Opowiada o wielkomiejskim everymanie, ma więc szerszą publiczność, której dotyczą opowieści młodszych MC. Skrupulatność w utrzymaniu rytmu i rymu oraz snucie rozbudowanych opowieści ustąpiły miejsca zabawie słowem. Dużo tu o pieniądzach, imprezach i swagu. Nie znaczy to jednak, że w najnowszych tekstach nie ma mowy o ziomach, rodzinie, sprawiedliwości oraz polityce. Szczyl zwraca się „do wszystkich tych, którzy czuli się źle dziś / Wszystkich tych, którzy próbują przeżyć". Taco Hemingway wypuścił „Polskie tango" – utwór krytykujący narrację prawicowych polityków i mediów – na moment przed drugą turą wyborów prezydenckich w 2020 r.

O tym, że rap ma się obecnie dobrze zarówno wśród szerokiej publiczności, jak i w branży, może świadczyć wydanie w 2021 r. przez jedną z najważniejszych wytwórni Warner Music Poland albumu Zdechłego Osy o zgrabnym tytule „Sprzedałem dupe".

Co czytają najmłodsi

Wiemy już, że na bazie tekstów rapowych można przeprowadzić swobodną lekcję poezji antycznej. Zamiast oburzać się na wulgaryzmy, możemy zwrócić uwagę także na gry słowne, ortografię i deklinację w polskich utworach hip-hopowych. „Hańba barbarzyńcy" Łony to łamaniec językowy idealny do ćwiczenia dykcji. Autor neologizmu „herbident" wymienia w tym utworze „tyranoprezesura". Xeroboy Molesty mógłby spotkać swojego mobbynowego mordziatego na klatówie w szpotlandzie. Natkniemy się tu też na stoliky, cieść, halko i patologyę.

> Poziom czytelnictwa wśród młodych Polek i Polaków wzrósłby znacząco, gdybyśmy za teksty literackie uznali rapowe nawijki.

Swoje miejsce w polskim rapie znajduje literatura. W tekstach Belmondawga usłyszymy o Goethem i Werterze („Chciałem sobie strzelić w łeb, ale nie – to by było błędem / Przecież jestem Goethe, a nie Werter"), „Trzech muszkieterach" („Myślałem, że jak D'Artagnan, wszyscy za jednego"), autorze „Nowego, wspaniałego świata" („Haha Huxley, dziwko zmień dostawcę"), Dickensie („Mów do mnie Scrooge Ebenezer"), Cervantesie („To mój rap, to moja Barataria"), autorze „Roku 1984" („Młody G – George Orwell z bongiem"), a nawet autorce „Źródła" w utworze „Ayn Rand" stworzonym z Kazem Bałagane („Podpisano syn Ayn"). Okazuje się, że zbuntowane nieuki czerpią inspirację z przeróżnych tekstów kultury.

„Mówię o sztuce, oldschoolu, dziś uczę. Ty pilny uczeń / chłoń wiedzę, (...) to wnet poczujesz, że możesz poznać tak wiele historii / ciekawszych od syfu z forum dzieciaków internetowych" (Slums Attack, „The bridge"). Peja ma tu na myśli naukę o samym hip-hopie, jednak poziom obycia z literaturą wśród młodych Polek i Polaków wzrósłby znacząco, gdybyśmy za teksty literackie uznali rapowe nawijki.

Liryka buntownika?

Początki polskiego hip-hopu to opowieści o codziennym życiu na ulicy, biedzie, przestępstwach, używkach oraz negatywnym stosunku do policji. Tak widziały to media, branża i rodzice, a przekonanie to pozostaje aktualne. Syn uznanego prawnika, Mata, który wywołał burzliwą dyskusję po wypuszczeniu „Patointeligencji", kontruje w „Patoreakcji": „Kretynie, po co to robisz, piszą mi w DM sfrustrowane matki / O demoralizacji ich dzieci i rodzin, / A ja tylko mówię, jak żyją, to wy mówiłyście, jak mają to robić".

Wystawianie negatywnej oceny odpalającym „lirycznego glocka" ułatwiał ich młody wiek. Pozwolił on stworzyć narrację o nieposłusznych, nieznających wartości, nadużywających narkotyków, agresywnych chłopakach i dziewczynach w kapturach. Na pewno nie takich, których powinno się brać za wzór. Problem pojawiał się wtedy, kiedy samych MC pytano o ich bunt i o to, w co lub kogo ma on uderzać. W jednej z takich rozmów 22-letni O.S.T.R. odpowiedział, że nie śpiewa przeciw czemuś – „jest po prostu odzwierciedleniem prawdy". Autentyczność wielu raperów uważa za wartość nadrzędną, i to ona stała się ich (nie tylko symboliczną) walutą. Jeśli nosi ślady nieposłuszeństwa, to nie jest ono celem samym w sobie, a jedynie narzędziem pozwalającym wykrzyczeć złość na otaczającą rzeczywistość.

Być może myślenie o rapie i hip-hopie w ogóle w kategoriach buntu miało po prostu ułatwić przyswojenie tego, co obce, i wyjaśnić, dlaczego uliczny język, przemoc i wulgarne opisy seksu znalazły miejsce w sztuce. Nawet jeśli mowa o kulturze popularnej, która przed pięćdziesięciu laty, w momencie formowania się hip-hopu w USA, znała już te zjawiska.

„Każdy z nas stał się raperem, by powiedzieć coś więcej / Bo kultura w kapturach ma nieść wartości, kumasz?!" (Nullo i inni, „12 rapostołów"). Współcześni aojdzi w Polsce lat 90. opowiadali o szarej codzienności, w której najważniejsze były wspólnota i wzajemne wsparcie, wiara w siebie i chęć przetrwania. Młodsze pokolenie częściej nawija o hajsie, trudno jednak, by w czasach rozszalałego kapitalizmu o nim nie wspominało. Raperzy porzucili opiewanie bóstw na rzecz jednostek, które żyją tu i teraz. Jednak niezmiennie, w towarzystwie muzyki i tańca, opowiadają prawdę o świecie.

©℗ AGNIESZKA WENDERSKA

„To jest nasz wspólny świat, chcesz rapu?" Zeskanuj i posłuchaj kawałków przywołanych w tekście (i nie tylko).

REKLAMA

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie



Kraków narodowej sztuce, czyli tryumf miernoty

SPEKTAKL
AGATY DUDY-GRACZ

PREMIERA: 23 PAŹDZIERNIKA 2026 | DUŻA SCENA

GRAMY: 25–27 LISTOPADA 2026, 27–30 STYCZNIA 2027

BILETY:

teatrwkrakowie.pl

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
KULTURALNA MAŁOPOLSKA
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
PARTNERZY TEATRU
BMW M-Cars Group
Bielenda GROUP
PATRONI MEDIALNI TEATRU
onet KULTURA
Radio Kraków
65 TVP 3 KRAKÓW
TEATR DLA WSZYSTKICH
PARTNER PREMIERY
TRIBE



LARS PEHRSON / TT NEWS / ALAMY / BE&W

KULTURA

JESTEŚMY SĄSIADAMI OGNIA

Jednym z najważniejszych tematów książek tegorocznej noblistki Anne Carson jest miłość. Podobnie jak była ona jednym z kluczowych tematów Platona.

JULIA FIEDORCZUK

„Zadanie pisarki polega na dostrzeganiu szczegółów" – powiedziała Anne Carson w jednym z niedawnych wywiadów. Dlaczego to ważne? Bo „zwracając uwagę na szczegóły lądujemy bliżej prawdy, niż wtedy, kiedy uogólniamy". Zakładając, że wiemy, jak sprawy się mają – kim są inni ludzie, co pomyślą, jak się zachowają – tracimy z pola widzenia znaczną część rzeczywistości.

Trzeba mieć w sobie ciekawość, żeby patrzeć inaczej, a wtedy nawet znajome postacie odsłaniają swoje niepowtarzalne i zaskakujące przymioty. W przywołanym wywiadzie Carson opowiada o przypadkowych osobach, z którymi od pewnego czasu wspólnie uczestniczy w lekcjach boksu, ta sama zasada dotyczy jednak wszystkich naszych relacji: nadmiar wiedzy może łatwo przesłonić niuanse życia.

Ciekawość to bez wątpienia jedna z najważniejszych cech bogatej, zróżnicowanej, erudycyjnej, a do tego często zabawnej twórczości Anne Carson. Już nie pamiętam, gdzie przeczytałam, że ciekawość to jedno z imion miłości – w przypadku tej autorki to się całkiem zgadza. Jednym z najważniejszych tematów jej książek jest właśnie miłość, podobnie jak była ona jednym z kluczowych tematów Platona, czyli „ojca" zachodniej metafizyki.

Anne Carson, Sztokholm, 2015 r.

Ściślej rzecz ujmując, u obojga autorów chodzi o związki między miłością a innymi ludzkimi pasjami – w tym pasją myślenia. Ustami Diotymy (której słowa przytacza w „Uczcie" Sokrates) Platon wskazuje na bliski związek Erosa, tego dziecka dostatku i biedy, z filozofią: „mądrość to rzecz niezaprzeczalnie piękna, a Eros to miłość tego, co piękne; przeto musi Eros być miłośnikiem mądrości, filozofem" (tłum. Władysław Witwicki).

Pudełko z pamiątkami

Urodzona w 1950 r. w Toronto Carson jest poetką, eseistką, filolożką klasyczną i tłumaczką (przekładała m.in. dzieła Safony, Ajschylosa, Eurypidesa i Sofoklesa). Bez wątpienia należy do najbardziej oryginalnych autorek pracujących dziś w języku angielskim. Jej twórczość nie przypomina żadnej innej współczesnej twórczości, jest po prostu jedyna w swoim rodzaju.

Utwory Carson często łączą elementy różnych gatunków literackich – liryki, eseju, traktatu filozoficznego, autobiografii. Niemal każda książka kanadyjskiej autorki wynajduje nową formę („Zrobię wszystko, aby uniknąć nudy", pisała w zbiorze „Plainwater"); niektóre są do tego interesującymi i pięknymi przedmiotami. Na przykład „Nox" (z łac. „noc"), stworzona po śmierci brata, to zasadniczo długi, złożony w harmonijkę arkusz papieru, na którym rozmaite cytaty, fragmenty listów i fotografie mieszają się z przekładem słynnej elegii Katullusa. Złożony zwój mieści się w obwolucie przypominającej pudełko; cała książka przywodzi na myśl pudło z pamiątkami, zbiór rozmaitych skrawków – paradoksalnie scalony przez nieobecność tego, kogo upamiętnia.

Nawiązywanie dialogu z dziełami innych autorów to kolejna ważna cecha całej twórczości Carson: autorka czerpie z ogromnych zasobów zachodniej tradycji literackiej i sprawia, że stare motywy czy postacie ożywają na nowo w kontekście współczesnych realiów i problemów. Poprzez intertekstualność, utwory Carson, niezależnie od formy i pierwszoplanowej tematyki, zawsze dotyczą także literatury.

Odwoływanie się do innych tekstów lub do literatury jako takiej nie jest niczym nowym: przywołana już nieco wyżej „Uczta" Platona to przecież relacja z imprezy urządzonej z okazji zwycięstwa Agatona (znanego ateńskiego tragediopisarza) w konkursie dramatycznym. Carson jest jednocześnie nowatorska i bardzo klasyczna, wytycza nowe ścieżki, ale i prowadzi do źródeł literatury, dzięki czemu możemy na nowo zadawać odwieczne, ludzkie pytania.

Świeżość poranka

Wspominając swoją pisarską drogę, Carson często wymienia Alice Cowan – łacinniczkę z liceum w Port Hope, gdzie uczyła się przyszła noblistka. Cowan znała grekę i zgodziła się udzielać Carson ↦

↦ indywidualnych lekcji. Dzięki tej profesorce, a także z powodu utworów Safony odkrytych w antykwariacie w latach 60. ubiegłego wieku, Carson pokochała starożytną Grecję.

Jej pierwsza książka, „Słodko-gorzki Eros" (zmodyfikowany doktorat o Safonie), ukazała się w 1986 r. Tytuł brawurowego eseju nawiązuje do epitetu stworzonego przez Safonę dla opisania natury Erosa. Co właściwie znaczy? Carson wyjaśnia: „Eros wydawał się Safonie doświadczeniem rozkoszy i bólu jednocześnie" (tłum. Renata Lis).

Ta podwójność, czy też ambiwalencja, stanowi po prostu cechę ludzkiego życia – życia, które musimy sobie opowiedzieć, które potrzebujemy przemyśleć, bo inaczej nie wiedzielibyśmy, kim jesteśmy i czego pragniemy. Carson kocha myśleć, ale myśl nie jest u niej czymś abstrakcyjnym i oderwanym od ciała, przeciwnie – jest materialna i żywa.

O Grekach powiedziała kiedyś, że ich idee „mają na sobie świeżość poranka" i zdaje się, że właśnie o to chodzi – o myśl i mowę tak żywą, niesformatowaną, że głęboko nas dotyka, zaskakuje i sprawia, iż chcemy za nią podążać. Myśl jest ruchem umysłu; najlepsze, co może zrobić literatura, to wywołać ten ruch i sprawić, że chce się nam ruszyć w drogę, że znowu jesteśmy ciekawi. Tytuł doktoratu Carson, z którego wyewoluowała książka o Erosie, brzmiał: „*Odi et amo ergo sum*, czyli »nienawidzę i kocham, więc jestem«".

Prawo do milczenia

Ponieważ słowo ma dla tej autorki ogromną wagę, Carson interesuje się także ciszą. W tomie „Float" (składającym się z dwudziestu dwóch broszur zamkniętych w pudełku z przezroczystego plastiku) przeczytamy jeden z jej najwspanialszych esejów, czyli „Wariacje na temat prawa do zachowania milczenia".

Myśl jest ruchem umysłu. Najlepsze, co może zrobić literatura, to wywołać ten ruch i sprawić, że chce się nam ruszyć w drogę, że znowu jesteśmy ciekawi.

Autorka zastanawia się nad milczeniem w kontekście praktyki przekładu, przy czym mówi o milczeniu fizycznym (przykładowo, wiersze Safony docierają do nas tylko we fragmentach, co jednak nie wynika z intencji autorki) i metafizycznym, które zachodzi wewnątrz wypowiedzianych słów.

To drugie milczenie, sygnalizujące możliwość jakiejś innej mowy, jest prawdziwym wyzwaniem, a zarazem powodem, dla którego ciągle na nowo podejmujemy wysiłek lektury – i przekładu. Carson przygląda się między innymi postaci Joanny d'Arc, która podczas swojego trwającego mniej więcej rok procesu uparcie odpierała klisze proponowane przez inkwizytorów, obstając przy własnej, nieprzetłumaczalnej prawdzie.

W tomie „Dekreacja" pojawia się jeszcze inna mistrzyni ciszy – Simone Weil. Tytułowe słowo zostało pożyczone od tej właśnie autorki i mistyczki, która pragnęła pozbyć się samej siebie, żeby zrobić miejsce dla Boga. „Dekreacja" to sposób na wygaszenie ja, cel niemożliwy do spełnienia, ale bliski także samej Carson, która nie chce być bohaterką własnego pisania, unika autobiografizmu, źle się czuje pośrodku sceny.

A skoro mowa o przekładzie, warto wspomnieć, że twórczość Carson niełatwo poddaje się tłumaczeniu, tak z powodu licznych nawiązań do innych tekstów kultury, jak i z powodu operowania szerokim spektrum rejestrów angielszczyzny: trudno uchwycić jej ton i trzeba zaznaczyć, że w istniejących polskich przekładach nie zawsze to się udaje.

O nas wszystkich

Carson ma opinię autorki bezkompromisowej i wymagającej, mimo to jej twórczość jest chętnie czytana na całym świecie. Ulubioną książką czytelników i czytelniczek tej autorki bez wątpienia jest „Autobiografia czerwonego" (wydana po polsku przez Ossolineum w przekładzie Macieja Topolskiego). Bohaterem powieści-poematu jest Gerion – czerwony, skrzydlaty potwór, którego pamiętamy z dziesiątej pracy Heraklesa. Heros miał uprowadzić trzodę należącą do Geriona, a przy okazji zgładzić także samego potwora.

Carson, idąc po śladach greckiego poety Stezychora (żył na przełomie VII i VI w. przed naszą erą), umieszcza Geriona w centrum opowieści, przy czym jest on u niej po prostu chłopcem dorastającym w dość bezmiłosnej rodzinie. Doświadcza przemocy, zmaga się z poczuciem wyobcowania (w końcu jest czerwony i ma skrzydła!), poszukuje własnego języka (będzie nim fotografia). Powieściowy Herakles nie zabija Geriona, tylko łamie mu serce – to doświadczenie tyleż bolesne, co nieuchronne, jeśli Gerion ma zostać artystą.

„Jesteśmy sąsiadami ognia", konstatuje pod koniec powieści. Dosłownie chodzi o sąsiedztwo wulkanu (bohaterowie powieści podróżują do Peru, gdzie w pewnej wiosce w Andach istnieje legenda o czerwonych skrzydlatych potworach...), jednak ujmując rzecz metaforycznie, to prawda o nas wszystkich, istotach z krwi i słów.

© JULIA FIEDORCZUK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP JUŻ ZA TYDZIEŃ W „TYGODNIKU"

RADEK RAK W MAGAZYNIE LITERACKIM „KSIĄŻKI W TYGODNIKU"
O POLSKIEJ LITERATURZE FANTASY

Polska literatura fantasy od samego początku swojego istnienia stała w poprzek światowych (czytaj anglosaskich) nurtów w gatunku. I zasadniczo tak ma do tej pory.
Aby zrozumieć, dlaczego tak jest, należałoby się cofnąć aż do jej źródeł. Spróbujmy!

Najłatwiejsza z trudnych

MACIEJ JARKOWIEC

KOMENTARZE | Amerykańskie media od lat towarzyszyły pisarstwu Anne Carson. Jak przyjęły Nobla?



IL. NIKLAS ELMEHED / MATERIAŁY PRASOWE NAGRODY NOBLA

Anne Carson, laureatka Nagrody Nobla 2026 z literatury

„Minimalizm ekstatyczny" tytułuje tekst o Noblu dla Anne Carson magazyn „New Yorker". Obok fotografia kobiety ubranej w czarny surdut, koszulę z dużym kołnierzem i krawat z grubym węzłem. Wyraz twarzy poważny, choć czytelnik, który uważniej się przyjrzy, dostrzeże uśmiech skryty w spojrzeniu i delikatnie rozwartych ustach.

Autorka artykułu Merve Emre stwierdza, że minimalizm Carson nie wyraża dystansu, lecz – podobnie jak w przypadku Annie Ernaux, nagrodzonej przez Akademię Szwedzką w 2022 r. – jest poszukiwaniem formy dla nadmiaru uczuć. Carson i Ernaux łączy też uważność na potrzeby ciała. „Carson wyznaje totalną duchową odwagę konieczną do poddania się najstraszniejszym pragnieniom – pisze Emre. – W tym stanie odnajduje to, co Emily Dickinson nazywała »posępną egzaltacją«. Odbiorca tych wersów dostrzeże w nich albo mądrość, albo szaleństwo".

Carson sporadycznie publikuje w „New Yorkerze" wiersze i prozę. Wykłada literaturę antyczną na Uniwersytecie w Calgary, Uniwersytecie Michigan, Uniwersytecie Nowojorskim i w Princeton. Wśród poetów, tłumaczy i akademików cieszy się pozycją intelektualnej instytucji. Stypendystka Guggenheima i Fundacji MacArthura, laureatka najważniejszych amerykańskich nagród w dziedzinie poezji i przekładu, odznaczona przez rząd Kanady za wkład w narodową kulturę, pozostaje jednak szerzej nieznana.

Jako jej najczęściej czytane dzieło amerykańskie media przywołują „Autobiografię czerwonego" wydaną w Polsce przez wrocławską oficynę Ossolineum w przekładzie Macieja Topolskiego. To „powieść-poemat, rozszczelniająca ramy gatunkowe i wyrastająca z praktyki przekładu literackiego, napisana po Homerze i Stezychorze, po Emily Dickinson i Gertrude Stein". Przekład z antyku jest najważniejszą formą Carson. Pisarka postrzega ją jako „sztukę zrównoważonej metafory" (Merve Emre). Jako że żadne słowo w jednym języku nie jest identyczne ze słowem w drugim języku, tłumaczyć oznacza poddać się niedoskonałości, niepodobieństwu, a nawet pomyłce. „Arystoteles mówi, że metafora pozwala umysłowi doświadczyć samego siebie w akcie popełniania błędu" (Anne Carson „Men in the Off Hours").

Komentatorzy przypominają też „Piękno męża", najgłośniejszy tom poezji Carson, dostępny również w Polsce (wydawnictwo Słowa na Wybiegu, tłum. Olga Kubińska). Wiwisekcja rozpadu małżeństwa przeprowadzona w 29 „tangach" przyniosła jej przyznawaną od początku lat 90. brytyjską nagrodę im. T.S. Eliota. Była pierwszą kobietą, która ją otrzymała. Krytyk „Guardiana" Robert Potts wyrażał wówczas sprzeciw recenzją zatytułowaną „Bez rymu i bez rozumu". Twierdził, że „tanga" Carson w ogóle nie są poezją, i zarzucił jej „tanie, chwytliwe filozofowanie".

W analizie dokonań Carson w „New York Review of Books", gdzie noblistka również publikuje wiersze, Dan Chiasson napisał, że jej książki są „pełne bzdur (*a lot of baloney*), które trzeba tolerować". Miał na myśli jej upodobanie do formalnej ostentacji i dziwactw sprawiających nieraz wrażenie literackiego popisu. Konieczność ich tolerowania jest jednak nadrzędna – twierdzi Chiasson – bo „najlepszym wersom Carson nie może równać się nic ze współczesnej poezji".

„New York Times" nazywa ją „najłatwiejszą z tych trudnych poetek", „zbyt zabawną, aby można ją było uznać za nieprzystępną". Tekst ilustruje fotografia noblistki siedzącej na pniu ściętego drzewa w popielatej marynarce i czerwonych tenisówkach. Na tym zdjęciu uśmiechu nie trzeba już szukać „między wierszami".

Dziennik zwraca też uwagę, że mała, niezależna oficyna New Directions, która wydaje w Stanach również Lászlo Krasznahorkaia, cieszy się Noblem drugi rok z rzędu. Z kolei „Forbes" analizuje szanse wypromowania Carson pośród tzw. szerokich mas czytelniczych, porównując je do Kazuo Ishiguro, Boba Dylana i autora thrillerów, Johna Grishama.

A sama Carson, jak poinformowała Akademia, w dniu przyznania Nagrody czyta „London Review of Books" popijając herbatę. Wyłączyła telefon. ©

B( )NUS
TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny" po raz drugi przyznaje Nagrodę BONUS

dla tych, którzy łączą, nie dzielą

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nagroda BONUS powstała, by wyróżniać ludzi, którzy wzmacniają dialog, budują zaufanie i potrafią działać ponad podziałami. Doceniamy osoby, które w swojej pracy nie ulegają logice polaryzacji, uproszczeń i sensacji.

Chcemy pokazywać tych, których działalność realnie wpływa na życie społeczne, kulturę i jakość debaty publicznej.

PIĘĆ KATEGORII

W drugiej edycji Nagroda BONUS zostanie przyznana w pięciu kategoriach:

KULTURA | Dla twórców, którzy otwierają przestrzeń dla różnych głosów, doświadczeń i perspektyw.
KAPITUŁA: Michał Kuźmiński (przewodniczący), Olga Drenda, Paulina Frankiewicz, Monika Ochędowska, Anita Piotrowska, Ziemowit Szczerek.

MEDIA | Dla dziennikarzy i twórców, którzy stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog oraz pokazują, że informowanie nie musi oznaczać podsycania konfliktów.
KAPITUŁA: Jacek Stawiski (przewodniczący), Marcin Giełzak, Brygida Grysiak, Zbigniew Nosowski, Karolina Wigura.

DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA | Dla osób, które budują lub odbudowują wspólnoty, niwelują podziały i tworzą przestrzeń do spotkania mimo różnic.
KAPITUŁA: Michał Okoński (przewodniczący), Bogdan de Barbaro, Aleksander Kardyś, Ryszard Koziołek, Joanna Kuciel-Frydryszak, Marcin Napiórkowski.

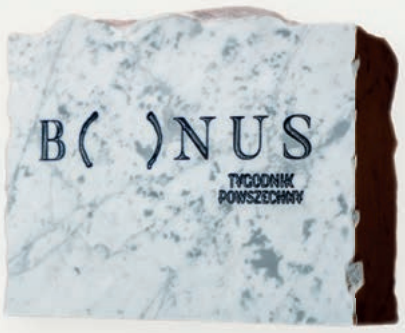
TECHNOLOGIA | Dla innowatorów, którzy tworzą rozwiązania służące ludziom, zwiększające dostępność i włączające, zamiast wykluczać.
KAPITUŁA: Agata Kaźmierska (przewodnicząca), Katarzyna Bąkowicz, Grzegorz Błażewicz, Grzegorz Brona, Wojciech Brzeziński, Tadeusz Gadacz, Dariusz Jemielniak, Artur Kurasiński, Przemysław Kuśmierek, Dariusz Mazurkiewicz.

MECENAT / DOBROCZYNNOŚĆ (nowa kategoria) | Dla filantropów, darczyńców i przedsiębiorców, którzy udowadniają, że kapitał może mieć wyraziste oblicze etyczne. Nagradzamy tych, którzy poprzez swoją hojność czynią dobro – mądrze i długofalowo wspierają inicjatywy kulturalne, naukowe i pomocowe.
KAPITUŁA: Jacek Ślusarczyk (przewodniczący), Andrzej Betlej, Piotr Cywiński, Dobrosława Gogłoza, Aleksandra Kamińska.

NAJWAŻNIEJSZE DATY

20 października 2026 | Ogłoszenie czterech finalistów w każdej kategorii

7 listopada 2026 | Gala Nagrody BONUS, Małopolski Ogród Sztuki, Kraków.
Wieczór zakończy koncert zespołu ØRGANEK.



FOT. MAREK BEDNARZ

Dowiedz się więcej
szczegółowe informacje o nominowanych i o nagrodzie na **bonus.tygodnikpowszechny.pl**

PARTNERZY: Kraków, ERGO HESTIA, TERLAN, Albatros travel

PATRONI MEDIALNI: 65 TVP3 KRAKÓW, TVP I info_, Trójka POLSKIE RADIO



Prace Karoliny Balcer

WOJCIECH SZABELSKI / CSW „ZNAKI CZASU" W TORUNIU

■ *Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu w Toruniu,* **SŁOWO UCIELEŚNIONE,** *do 8 listopada*

Wystawa gromadzi prace 28 artystek. Słowa pojawiają się tu jako haft, tkanina, neon, obraz, wideo, LED czy protestacyjny transparent. Kuratorki wystawy, Natalia Cieślak i Marta Smolińska zauważają, że „coraz więcej artystek – zarówno w Polsce, jak i za granicą – sięga po słowa w najróżniejszych formach, by wypowiedzieć, wyszeptać czy wykrzyczeć swoje manifesty". W toruńskim muzeum spotykają się twórczynie należące do różnych pokoleń i działające w różnych technikach artystycznych. Są tu autorki o międzynarodowej renomie: Jenny Holzer i Barbara Kruger, dla których słowo od dziesięcioleci pozostaje narzędziem perswazji i krytyki; jest Ewa Partum, jedna z najważniejszych postaci polskiej sztuki konceptualnej; są Alexandra Grant, Sylvie Fleury, Bettina Bereś, Iwona Demko, Karolina Balcer, czy znana z kontrowersyjnych haftów w pociągach PKP, Monika Drożyńska. Smolińska, poproszona przeze mnie o opisanie wystawy jednym słowem, decyduje się na określenie „sprawczość". Założeniem wystawy jest bowiem pokazanie, że to właśnie materia zmienia sposób, w jaki słowo do nas dociera. Wystawa konfrontuje nas z doświadczeniami, o których nie zawsze mówi się otwarcie: *in vitro*, menopauzą, prawem do decydowania o własnym ciele, a także całym spektrum emocji, które towarzyszą kobiecie, gdy rodzi dziecko. Przygląda się również relacji matka–córka i temu, jak trudno bywa czasem być córką własnej matki. A już 23 października w toruńskim CSW otworzy się kolejna wystawa problemowa – „Znikną wszystkie obrazy" Piotra Lisowskiego, z udziałem ponad 20 artystów i artystek, głównie z Polski i Ukrainy.

© EWELINA LEBIDA



Spektakl „Masz coś w zębach", reż. Liuba Ilnytska, Teatr Ochoty

BARTEK WARZECHA / MATERIAŁY PRASOWE

■ **FESTIWAL TEATRÓW DLA DZIECI I MŁODZIEŻY „KORCZAK DZISIAJ",** *od 16 do 24 października, Warszawa*

Coraz więcej teatrów instytucjonalnych zwraca uwagę na najmłodszą widownię. W teatrach dramatycznych pojawiają się spektakle dla dzieci oraz warsztaty, zatrudniane są pedagożki. W Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu premierę miał właśnie spektakl „KIDS", w którym grają zarówno dorośli, jak i dzieci w wieku wczesnoszkolnym. Radość i zabawa przeplatają się tu ze stratą, ponieważ jest to opowieść o tym, czego nie sposób zatrzymać i jak odnaleźć sens w tym, co przemija. W Teatrze Ochoty, w którym od lat prowadzone jest Ognisko Teatralne, zobaczymy spektakl dla nastolatków „Chór na cztery wiosła i poczucie winy". Tekst Mariusza Gołosza reżyseruje Aga Błaszczak, a wykonuje Analog Collective. To rzecz o presji, dobrze znanej dzieciom już od najmłodszych lat, która panuje nie tylko w środowisku sportowym, ale właściwie w każdym obszarze życia. Wrażliwość osób twórczych na problemy dotykające młodzież i doskonale rozpoznane wyzwania współczesności oraz świetna energia kolektywu sprawiają, że spektakl jest istotną propozycją dla wszystkich, niezależnie od wieku. Myślenie o młodej publiczności to również tworzenie dla niej festiwali. 30. już edycja Festiwalu Teatrów dla Dzieci i Młodzieży KORCZAK DZISIAJ odbywa się od 16 do 24 października pod hasłem „Let us play". W tym roku, oprócz najciekawszych premier zeszłego sezonu, zaproszono teatry z Belgii i Niemiec. Publiczność ma możliwość zobaczyć szeroki przekrój zjawisk występujących w teatrze dla młodych – spektakle taneczne, teatr lalek i ożywionej formy, propozycje nowego cyrku, bazujące na szkolnych lekturach i współczesnych dramatach. Aby przełamać myślenie o tym, że teatr lalkowy jest tylko dla dzieci, warto było zresztą podejrzeć program festiwalu Lalka też Człowiek. Jego jubileuszowa, bo 20. edycja, prezentowała spektakle zagraniczne (z Hiszpanii, Włoch, Niemiec, Danii, Słowacji), studenckie („To mały krok dla człowieka, ale dla lalki..." Liliany Kłos) i premiery („Mayday" Unii Teatr Niemożliwy).

© ADRIANNA ŁAKOMIAK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY





■ *Jessica Lind,*
MAŁE POTWORY,
tłum. Magdalena Biśta, Filtry

Bywa, że zastanawiam się, czy Jean-Jacques Rousseau miał rację. Patrząc na znajomego czterolatka, który z ewidentną przyjemnością ciągnie siostrę za włosy albo w furii wywala na ziemię zawartość talerza, nie jestem pewna, czy dzieci faktycznie są z natury dobre. I, jak chciał Jesper Juul, kompetentne do wyrażania emocji i chętne do współdziałania. Pewnie nie wypada się do tego przyznawać, ale miewam wrażenie, że niektóre szkraby doskonale manipulują zakochanymi w nich rodzicami. I gdyby nie to, że za swoje czyny nie ponoszą odpowiedzialności karnej, już dawno miałyby pozakładane niebieskie karty. Sporo o tym myślałam, czytając powieść Jessiki Lind „Małe potwory". Siedmioletni Luka w szkole dopuszcza się nieprzyzwoitości – długo nienazwanej, a przez to tym straszniejszej – wobec koleżanki. Wychowawcy organizują szkolenia z szanowania granic i seksualności, rodzice rozkręcają inbę na klasowym czacie. Opiekunowie Luki zaś stają po przeciwnych stronach barykady. Jakub broni syna, Pia obserwuje go z rosnącą podejrzliwością. Cała sytuacja zresztą przywołuje u niej traumę z dzieciństwa. W narracji przeplatają się dwa plany czasowe: śledzimy aferę szkolną oraz wypadek sprzed lat, w którym na oczach Romi tonie najmłodsza z trzech sióstr, Lisa. Romi była adoptowana i nieco dzika, a Pia nigdy nie poznała okoliczności tragedii. Czy siostra wezwała pomoc? Czy też tylko przyglądała się, jak umiera mała dziewczynka, która odebrała jej część rodzicielskiej miłości? Co konkretnie Luka zrobił Alenie? Czy chciał ją skrzywdzić? Przecież osiągnął już tak zwany wiek rozumu, kiedy dzieci zaczynają odróżniać dobro do zła. A może to Alena zmyśla? Tylko czy kobietom, nawet małym, nie należy bezwarunkowo wierzyć? Niewiedza jest najgorsza, bo podsyca podejrzenia. Zresztą, co my tak naprawdę wiemy o naszych bliskich. Powieść Lind, choć dotyczy rodzinnych dramatów i szkolnych skandali, a nie, czego zwykliśmy oczekiwać od literatury niemieckojęzycznej, rozliczeń z wielką Historią, skłania do refleksji nad naturą zła. Narratorką powieści jest Pia, co naturalnie sprawia, że czytelniczka identyfikuje się raczej z jej punktem widzenia i to jej współczuje, kiedy przeciążona obowiązkami matki skroluje Instagram w łazience. Mimo że język powieści nie do końca mnie przekonuje i nie jestem pewna, czy, jak chełpi się na stronie wydawnictwo, „Lind napisała jedną z najbardziej poruszających powieści o współczesnym rodzicielstwie", uważam, że warto przeczytać opowieść o tym, jak pozornie drobny incydent sprawia, że pieczołowicie wydziergana codzienność nagle zaczyna się pruć. © DOROTA MALINA



MATERIAŁY PRASOWE

■ **PASAŻER ANDRZEJ MUNK,**
reż. Michał Bielawski,
w kinach od 16 października

Munkowski – to słowo weszło już w Polsce do filmowego słownika. Oznacza pierwiastek ironiczny czy tragikomiczny, który rozbraja powagę, a jednocześnie dotyka czegoś podskórnie bolesnego. Niewielu było w polskim kinie spadkobierców tej tradycji, ale jej twórca, reżyser Andrzej Munk, przedwcześnie i tragicznie zmarły w 1961 r., pozostaje punktem odniesienia dla coraz to nowych pokoleń. Choć miał na koncie nie tylko „Zezowate szczęście" i „Eroikę". Do kin trafia właśnie film dokumentalny o nim. Wyprodukowało go Studio Munka, które zgodnie z duchem swojego patrona poszukuje w polskim kinie świeżego spojrzenia, stawiając przede wszystkim na debiuty. Bielawski nie jest debiutantem w dokumencie (patrz: „Wiatr. Thriller dokumentalny", 2019; „Mundial. Gra o wszystko", 2013), toteż próbuje swojego niekonwencjonalnego bohatera opowiedzieć w sposób trochę mniej konwencjonalny. Owszem, są tu liczne wypowiedzi ekspertów, przyjaciół i studentów Munka, najciekawiej jednak robi się wtedy, gdy twórca „Pasażera" sięga po same filmy – po wczesne dokumenty, „Człowieka na torze", niedokończoną „Pasażerkę" i z nich tworzy biograficzną narrację. Czyli opowieść o życiu przedwcześnie przerwanym (lecz nie przegranym), pełnym tajemnic i przemilczeń, z nieprzepracowanym wątkiem wojennym i żydowskim. Okazuje się, że było w Munku także coś z filmowego Zeliga – indagowane przed kamerą osoby przedstawiają reżysera w różny sposób: raz jako porządnego urzędnika, to znów trefnisia i „balownika". Jaki był naprawdę? Bielawski wykonał kreatywną pracę z różnego rodzaju archiwaliami, by przywołać kontekst pierwszych powojennych dekad Peerelu; także świetne kompozycje jazzowe Krzysztofa Aleksandra Janczaka przywołują klimat epoki oraz barwny styl życia ówczesnych elit kulturalnych. Z tych powidoków, licznych anegdot czy prywatnych listów, a także z fragmentów filmowych i tego, co dało się wyczytać między kadrami, powstał portret bogaty i zarazem niedopowiedziany. © ANITA PIOTROWSKA

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

● **KATOWICE,** środa 14 października godz. 18.00, Dom Śląski (ul. Stalmacha 17), spotkanie dyskusyjne wokół artykułu o. Kacpra Kapronia OFM „Barbarzyńcy u bram" (TP nr 38/2026), spotkanie z cyklu Kawiarenka Klubu „TP"

● **BIELSKO BIAŁA,** czwartek, 22 października godz. 17.00, Galeria Bielska BWA (ul. 3 Maja 11), spotkanie z prof. Tadeuszem Sławkiem „Czy zdołałby dziś ktokolwiek w ten sposób czuć życie jak Shakespeare? Hamlet i my"

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

OGŁOSZENIE

29. Międzynarodowe

TARGI KSIĄŻKI®

w Krakowie

22-25 października 2026 r.

EXPO Kraków | ul. Galicyjska 9









ksiazka.krakow.pl

30 lat Targi w Krakowie

EXPO KRAKOW

REKLAMA

Materiał na historię



ANITA PIOTROWSKA

DEBIUT | Film Julii Rogowskiej kibicuje rozdzielonym przez czas kochankom, wprowadzając nutę nostalgii. Otula czerwonym swetrem i muzyką.

O tym, że to nie jest świat dla starych ludzi, kino science fiction wie od dawna. Już pół wieku temu amerykański film „Ucieczka Logana" Michaela Andersona, nagrodzony Oscarem za efekty wizualne, zabierał nas aż do 2274 r., by powiedzieć, że nasz „termin przydatności" kończy się w dniu... trzydziestych urodzin. I wtedy już pora umierać, jakkolwiek z fałszywą obietnicą urodzenia się na nowo.

Ostatnio nie tylko hollywoodzkie produkcje w rodzaju „Ludzkich dzieci" (2006) Alfonsa Cuaróna czy „Wyścigu z czasem" (2011) Andrew Niccola uprawiają podgatunek nieformalnie zwany „dystopią geriatryczną". W japońskim „Planie 75" (2022) Chie Hayakawy czy brazylijskim „Błękitnym szlaku" (2025) Gabriela Mascaro niedaleka przyszłość naznaczona jest przeludnieniem i zarazem niską dzietnością, a tym samym ekologiczną czy ekonomiczną zapaścią – co staje się polem eksperymentu społecznego, który próbuje „zutylizować" coraz bardziej kosztowną starość.

Ciekawe, że w centrum tych opowieści, bardziej egzystencjalnych niż futurystycznych, najczęściej znajdują się kobiety. Czy tylko dlatego, że statystycznie żyją dłużej i to one mogą stać się za chwilę większym problemem społecznym? A może ich starzenie się ciągle bywa w zbiorowej świadomości większym skandalem?

Również polski film „Czas, który nie nadszedł", najdłużej oklaskiwany tytuł tegorocznego festiwalu w Gdyni, z Agatą Kuleszą w roli głównej, opowiada o kobiecie, która buntuje się przeciwko technologiczno-cywilizacyjnym zmianom i nieludzkim socjotechnikom. Mając do wyboru naturalne starzenie się albo dozgonną młodość, wybiera to pierwsze.

Poznajemy Sarę (w młodszej wersji gra ją Anna Bieżyńska) jako beztroską, zakochaną dziewczynę, kiedy wraz ze swoim ukochanym (Dobromir Dymecki) ślubują sobie nad Bałtykiem, że zestarzeją się razem. Po latach bohaterka znajduje się w odosobnionym ośrodku dla seniorów i właśnie kombinuje, jakby się stamtąd wydostać. A przecież wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej, gdyby tylko Sara wzięła udział w „programie" i poddała się kuracji antygeriatrycznej. Zrobił to ongiś jej ukochany Oskar. Rozminięcie w czasie i spotkanie tych dwojga po latach w obecnych wcieleniach jest punktem wyjścia dla melodramatu SF, który nie spełnia jednak do końca żadnej z gatunkowych obietnic, idąc w stronę filozofującej przypowieści.

A szkoda, bo film debiutantki Julii Rogowskiej według scenariusza Małgorzaty Piłacińskiej to nie tylko ważny głos traktujący biopolitykę w kategoriach wyzwania dla humanizmu, ale i materiał na emocjonującą historię. Jej siłą jest przede wszystkim rola Kuleszy i to oczami jej bohaterki patrzymy na nowy wspaniały świat. Z długimi siwymi puklami, które wymykają się spod kaptura zwracając uwagę przechodniów, Sara przemierza miasto pełne ludzi pięknych, młodych i zdrowych.

Starość, jako obciążenie dla systemu, stanowi tutaj wyparte tabu i nawet przedmioty nie mają prawa się zestarzeć – patrz: scena na pchlim targu, składowisku ostatnich, mocno spatynowanych reliktów dawnego świata. Ten nowy, podobnie jak mieszkanie byłego kochanka, okazuje się do bólu sterylny. Gdy Sara zatrzymuje się na chwilę u Oskara, udając przed nową partnerką jego matkę, pierwsze co zrobi pod nieobecność gospodarzy, to przekornie naruszy panujący tam nieludzki ład.

Chciałoby się głębiej zanurzyć w tej chłodnej futurystycznej wizji, ograniczonej w filmie, pewnie z powodów budżetowych, ledwie do wymiaru fototapety. Na tym umownym tle rozgrywa się historia miłosna – przerwana kiedyś gwałtownie i teraz mająca szansę się odrodzić w nowym kształcie, na przekór obecnym okolicznościom.

Aczkolwiek pojawia się tu ciekawy problem. Wiecznie młodego Oskara gra aktor już dojrzały wiekiem i trochę odmłodzony charakteryzacją – jest w tym coś symbolicznego. Po latach to zastygnięcie w czasie czyni bohatera wewnętrznie starszym niż naturalnie (i pięknie!) starzejąca się bohaterka Kuleszy. Lecz sam fakt, iż młodość bohatera nie była na początku czymś ewidentnym, osłabia późniejszą różnicę wieku kochanków i dramatyzm ponownego spotkania.

Przez cały czas trwania filmu wisi w powietrzu pytanie: czy ów ciągle młody bohater (acz śmiertelny, bowiem powszechny program antystarzeniowy



MATERIAŁY PRASOWE

CZAS, KTÓRY NIE NADSZEDŁ
– reż. Julia Rogowska. Prod. Belgia/Polska 2026. Dystryb. Next Film. W kinach od 16 października.

Julia Rogowska jest z wykształcenia psycholożką i reżyserką. Ma na koncie szkolną etiudę fabularną „Gorzko, gorzko" (2014), zrealizowaną z Magdaleną Załęcką, pracę przy serialu i reklamach. „Czas, który nie nadszedł", jej pełnometrażowy debiut, znalazł się w Konkursie Głównym zakończonego niedawno Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni.

powyżej: Agata Kulesza i Dobromir Dymecki w filmie „Czas, który nie nadszedł"

nie chroni przed umieraniem) mimo wszystko zobaczy w dojrzałej i dawno niewidzianej kobiecie tamtą dziewczynę? Zwłaszcza kiedy nic wokół nie jest już takie samo, a każde z bohaterów nosi w sercu swoją zadrę. Każde ma prawo mieć pretensje, iż to drugie nie zdecydowało się podążyć jego (czy jej) śladem i żyć jego (czy jej) biologicznym rytmem. I w ten sposób zniszczyło możliwość wspólnego życia, w takiej czy innej formie.

„Czas, który nie nadszedł" kibicuje rozdzielonym przez fizyczny czas kochankom, wprowadzając nutę nostalgii. Otula więc czerwonym swetrem bądź piosenkami – tęsknie hip-hopową „Bubbletea" Quebonafide czy promującą film „Jak wtedy" w wykonaniu zespołu Lor. „To nadal prawda, choć wystygnięta" – słyszymy w wokalu Błażeja Króla i jest to także jakaś prawda o tym filmie.

Chcąc nie chcąc, „Czas, który nie nadszedł" musi przywołać inne filmowe tytuły. Jedną z piękniejszych opowieści o miłości i zarazem o tym, jak technologia mimo wszystko pozwala pokonać czas, ograniczenia związane z ciałem i społeczne uprzedzenia, był „San Junipero" (2016), czwarty odcinek trzeciego sezonu brytyjskiego serialu „Czarne lustro". Przypomnijmy: cyfrowa symulacja pozwalała sędziwym bohaterkom spotkać się ze sobą po śmierci w wirtualnej chmurze i przeżyć wspólnie życie, co nie było im dane w realu. Niepokojąca dwuznaczność tego happy endu tudzież autentyczna zmysłowość i emocjonalna szczerość w sztucznie wykreowanym świecie są czymś, czego trochę zabrakło w polskim filmie.

Reżyserka prawie rezygnuje z widowiska i psychologicznych komplikacji na rzecz historii kameralnej i mocno uproszczonej. Warto ją jednak obejrzeć, chociażby dlatego, że polskie kino bardzo rzadko sięga po science fiction i film Rogowskiej czy niedawny „Hot Spot" Agnieszki Smoczyńskiej próbują wypełnić tę lukę. „Czas, który nie nadszedł" robi to w „miękkim" wydaniu, a nasze lęki przed światem, który nadejdzie – albo już tu jest – wyrażone są językiem dyskretnej rebelii.

Przeciwko wszelkim presjom, opresjom i represjom związanym z wiekiem, ciałem, wyglądem czy terrorem produktywności. ©

Lektor:
Najmniej słów



▪ *Ryszard Krynicki*
HAIKU. HAIKU MISTRZÓW
wydanie nowe, rozszerzone, Wydawnictwo a5, Kraków 2026

Że Nowa Fala okazała się jednym z najważniejszych zjawisk w naszej powojennej literaturze, nikogo już chyba dziś przekonywać nie trzeba. Warto jednak zwrócić uwagę, jak różnymi drogami poszli nowofalowi poeci płci obojga. Wciąż łączyła ich niezależność wyboru, bunt przeciw zastanej rzeczywistości, pytania zadawane językowi i podawanie w wątpliwość utartych i wytartych znaczeń, jakże jednak inne i jakże własne, nie do pomylenia, są późne wiersze Barańczaka i Zagajewskiego.

Ryszard Krynicki też przeszedł długą drogę. Naznaczoną okresami poetyckiego milczenia, niekoniecznie związanymi z działaniami cenzury – przecież od połowy lat 70. był przede wszystkim poetą „drugiego obiegu". Jak z dystansem do siebie napisał przed dwiema dekadami w wierszu „Przez to": „Milczałem wiele lat. / Nic się przez to nie stało – // ani dobrego, / ani złego". Asceza, redukcja, także oczyszczające powroty do dawnych utworów. Kontrast między szeroką frazą niektórych wczesnych wierszy a gnomicznymi miniaturami. Jakby zanikanie.
A równocześnie te miniatury wbijają się w pamięć i nie pozwalają o sobie zapomnieć. Na przykład „Humanitarny ubój": „Te dwa słowa pozostaną ze sobą sprzeczne / w każdym ludzkim języku. / Jak humanitarna rzeź. // Humanitarne zabójstwo".

Tom „Kamień, szron" to był rok 2004. „Wiersze wybrane" – rok 2009. Pierwsze wydanie wznowionej teraz książki – rok 2014. Jak widać, poeta nie jest dla nas nazbyt szczodry. W tekście „Zamiast posłowia" opowiada o swoim zbliżaniu się do rygorystycznej formy haiku – bo ten wybór zaczyna się od utworów, które tych rygorów nie spełniają, choć haiku jest dla Krynickiego najbliższym rodzajem lapidarnej poezji, „zarówno jako wyrafinowana, niezwykle delikatna i precyzyjna forma, jak i szczególny rodzaj ludzkiego doświadczenia i stosunku do otaczającego nas świata".

A potem są jednak własne haiku, pisane zimą, na przełomie roku 2009 i 2010, tłumaczenia czy też parafrazy haiku dziewięciu Japończyków, z notami o autorach. Do czterech mistrzów gatunku: Basho (1644-1694), Busona (1716-1784), Issy (1763-1827) i Shikiego (1867-1902) w poszerzonym wydaniu doszło jeszcze pięciu: Sampū (1647-1732), Kikaku (1661-1707), Chora (1729-1780), Sengai (1750-1827) i Gettō (1879-1949). Zakończmy słowami tego ostatniego: „Dzień noworoczny: / Jest prawdziwym bogaczem, / kto dziś pisze wiersz!". ©℗

PAWEŁ

Bravo:

Najlepsza owsianka na świecie



Dziesięć minut dziennie jestem prawdziwym filozofem. Analitycznym bodajże: o ile pamiętam coś ze studiów, które niczego mnie nie nauczyły poza smykałką do szukania dziury w całym, to taki przydomek przynależał tym, co próbowali cały namysł nad istnieniem sprowadzić do wymiaru językowego naszego bytowania w świecie. I właśnie w tym wymiarze rozgrywa się co rano ogromny dramat, ukazujący granice ludzkiego umysłu. Tym bardziej to żałosne, że potyka się on o rzecz zupełnie trywialną, to szczegół nieistotny jak smuga na niedomytym blacie. Nawet w tej rubryczce, znanej z miłości do rzeczy prostych i niewyszukanych, nie poświęca się tej potrawie i jej kontekstom osobnych rozdziałów – choć na marginesach rozmów o ciekawszym jedzeniu przemycam wam tu swoją utajnioną miłość do owsianki.

Kiedy już więc wsypię szarobure płatki do rondelka, zaleję wrzątkiem, szczypnę sól, nastawię gaz na minimum, zamieszam raz czy drugi i pochylę się, by schować papierową torebkę do właściwej szafki, zawsze mój wzrok musi paść na jej nadruki, skądinąd przepięknie archaiczne, przetrwałe z peerelu, tak mi się zdaje, bo zupełnie esencjonalne i nietknięte „kreatywnością", ani tym bardziej narzędziami komputerowymi – i tak proszę trzymać, drogie zakłady młynarskie w Stoisławiu! – zatem, jak powiadam, wzrok pada i przykuwa się do napisu „górskie". To nie wymysł tego konkretnego młyna, tak się nazywa ta kategoria płatków – częściowo przetworzonych, poddanych obróbce termicznej i przepuszczonych przez prasę – w towaroznawstwie zbożowym. Czytałem normatywy i wytyczne, znacie mój feblik do kabały dokumentów urzędowych, robię to dla was, żebyście dalej mogli zasypiać w złudnym przekonaniu, że ktoś na górze dba o logiczny porządek w świecie.

Dlaczego, u licha, górskie? W naszej kulturze zwykle „górskość" bywa kojarzona z prostotą, ostrymi kantami i szorstką fakturą. Z całą sympatią dla pielgrzymów Głównego Szlaku Beskidzkiego, górski charakter to w naszym nizinnym mainstreamie kulturowym coś nieokrzesanego, tylko z plusikiem. A przecież płatki górskie to te bardziej przetworzone, rozmiękczone w stosunku do „zwykłych", czyli owsianego ziarna pozbawionego tylko łusek i trochę rozdrobnionego. A więc produkt wyższej kategorii. Tyle że owych zwykłych właściwie już nie ma na naszych półkach, jest tylko coś z drugiego krańca spektrum, czyli „błyskawiczne", zmielone na drobny proszek. No i wobec tej papki owe „górskie" są faktycznie bardziej surowe.



LINE KLEIN / MATERIAŁY PRASOWE

Uff. I tak w oczekiwaniu aż płatki się ugotują (potem mus z jabłek, ze dwie śliwki i garść żurawiny), mija mi czas na próbie znalezienia właściwego szlaku, po którym wspinał się umysł Pierwszego Towaroznawcy.

Przy śniadaniu, kiedy jeszcze dzień nie rozwinął pawiego ogona sprzeczności, wolę anglosaskie przywiązanie do konkretu. Cokolwiek da się powiedzieć, da się jasno powiedzieć. Nasze płatki górskie to *rolled oats*, czyli właśnie walcowane. Konkret nie wyklucza urody języka i nawet szczypty poezji – oto owsiany produkt uzyskany poprzez tylko pobieżne posiekanie stalowymi nożami łuskanych ziaren może się nazywać *steel cut*, ale na Wyspach częściej mówi się *pinhead*, czyli „główka od szpilki", bo faktycznie część zawartości torebki przypomina je kształtem. Jestem taki mądry, bo mnie do tego skłonił film „Najlepsza owsianka na świecie".

Kameralny dokument osnuty wokół konkursu organizowanego w pewnej szkockiej wiosce – wciąż uroczo lokalnego, a jednak o zasięgu globalnym, z uczestnikami zza oceanów. Obejrzyjcie go, jeśli możecie, w kinie, premiera za jakiś czas, ale dystrybutor już organizuje projekcje, jest krótki, bardzo „przy człowieku", w uważności dla szczegółu, ale jak to bywa z „filmem zrobionym dla własnej wioski", jest tam coś, co dotyczy całego świata i wciąga nawet kogoś, kto owsianki nie lubi. Promotorzy konkursu i jego uczestnicy twierdzą, że jeśli nie lubi, to dlatego, że nie poznał jej właściwej szkockiej wersji. Czyli jakiej? Na wodzie i z solą, ale to i ja wiem, że tak najlepiej (sól konieczna, nawet gdy ktoś potem zje na słodko). Z filmu widać, że Szkoci i Anglicy preferują rzadką konsystencję, którą ktoś słusznie porównuje z risottem (w wersji kremowej, zwanej przez



Owsianka na słono z bistro GRØD w Kopenhadze

Włochów „falującą"). Dobra, ale z jakiego surowca? Otóż tego w filmie nie mówi się wprost, przyglądałem się uważnie i dokształciłem się potem, stąd wiem o główkach od szpilki, które można jeszcze dodatkowo rozdrobnić.

Filmowi jurorzy śmiertelnie poważnie oceniają smak i konsystencję owsianek stworzonych przez zawodników. Trochę się przy tym uśmiecham, bo dająca się uzgodnić w tabelce różnica między owsianką fatalną a znakomitą jest w sumie niewielka. Coś tam zależy od typu ziarna i składu mineralnego wody – ale to są zaiste drobiazgi. Ale może to właśnie szereg takich drobiazgów ustawionych jeden na drugim w piramidkę tworzy bardzo mocny fundament jedynego świata, w którym chce się żyć i za którym się tęskni. Nie zaprzeczę, oglądałem konkurs w Carrbridge jako formę ucieczki, dość miałem czytania o publicznych egzekucjach i uściskach wielkiego naszego niby-protektora (mój ulubiony szef polskiej dyplomacji w chwili szczerości zarejestrowanej ukrytym mikrofonem kiedyś określił ten sojusz jako „bullshit kompletny", bardziej wulgarną część jego wypowiedzi wam oszczędzę, ale przecież pamiętacie ją, nie straciła na aktualności przez lata). Trzeba mieszać owsiankę, żeby wyszła codziennie dobra, najlepiej z wyłączonym radiem. Każdy i każda z nas robi to na pewno wcale nie gorzej od mistrzów ze Szkocji. A kto zna odpowiedź, dlaczego „górskie", niech pisze i poratuje moją biedną głowę.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Herbatniki owsiane

SKŁADNIKI:
150 g cukru trzcinowego 150 g cukru białego
230 g masła w temperaturze pokojowej
1 łyżeczka ekstraktu waniliowego 1 łyżeczka sody
▪ sól 2 duże jajka 210 g białej mąki
300 g płatków owsianych 340 g gorzkiej czekolady drobno posiekanej

Gęsta lub rzadsza breja, jaką uzyskamy gotując owsiane płatki (górskie lub „szpilkowe", jeśli mamy dostęp) w wodzie, stanowi świetny podkład do bardzo wielu fantazyjnych śniadań – z owocami, jakąś formą jogurtu lub śmietanki, słodzikiem w postaci miodu lub syropu z klonu lub agawy itd. Co ja wam będę mówił, robicie na sto sposobów. Byle nie przesadzać ze słodzeniem, cukier przykrywa miły zbożowy smak. Ale płatki są też pożytecznym wypełniaczem kulinarnym, używam ich (po rozdrobnieniu w moździerzu) jako zamiennika bułki tartej w niektórych mięsnych klopsikach i wszędzie tam, gdzie potrzebuję lekko „ścisnąć" jakąś potrawę – szybko uwalniają skrobię i dają efekt klejący. Osobny rozdział to różne ciastka na ich bazie. Aż nie mogłem uwierzyć, że przepis na moje podstawowe ciastka (kiedyś zaadaptowany z kultowej ongiś amerykańskiej książki „The Kinfolk Table" podałem wam tu tylko raz, parenaście lat temu.
Łączymy masło z cukrami, mieszając, aż powstanie puszysta masa. Dodajemy łyżeczkę soli, sodę, wanilię i rozbełtane jajka. Mieszamy. W osobnej misce łączymy mąkę, płatki i czekoladę. Suche składniki dodajemy do masy z jajkami, mieszamy wszystko ręcznie (lepiej niż mikserem, jeśli to problem, załóżcie rękawiczki). Chłodzimy masę w lodówce przez godzinę. Formujemy kulki wielkości orzecha włoskiego, układamy je na blasze na papierze do pieczenia w odstępach 10 cm i lekko rozpłaszczamy. Pieczemy 10-12 minut w 175 stopniach, po wyjęciu z blachy czekamy minutę i delikatnie zdejmujemy (bo jeszcze są miękkie), odkładamy do wystygnięcia i stężenia. ©℗



EASE / ADOBE STOCK

JAK ZJEŚĆ BRZOSKWINIĘ

MICHAŁ KORKOSZ

Nie potrzeba skomplikowanego przepisu, żeby stworzyć coś, co pobudza wszystkie zmysły – wystarczy dojrzały owoc, trochę wina i czas, żeby te smaki się spotkały.



GREG KLUKOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

MONIKA OCHĘDOWSKA: Co jadłeś wczoraj na podwieczorek?

MICHAŁ KORKOSZ „ROZKOSZNY”: Sernikobrownie z malinami! Celebruję podwieczorki. Pamiętam je z dzieciństwa jako absolutnie beztroskie momenty w ciągu dnia, kiedy wszystko na chwilę się zatrzymywało, a rodzina mogła się spotkać przy stole.

Dziś często wpadam w wir pracy, bywam ciągle w drodze, między jednym spotkaniem a drugim. I choć to, co dzieje się na co dzień, jest ekscytujące, łatwo zapomnieć o odpoczynku. A podwieczorek jest właśnie takim momentem zatrzymania, kiedy można wreszcie usiąść, pobyć chwilę samemu ze sobą albo z kimś bliskim.

Fascynuje mnie *fika*, szwedzka tradycja robienia sobie popołudniowej przerwy na kawę i coś słodkiego. W wielu szwedzkich firmach taka przerwa jest naturalną częścią dnia: pojawia się cynamonka albo kardamonka, ale przede wszystkim jest to okazja, żeby na chwilę odejść od pracy i pobyć ze sobą. To ważny element społecznego spoiwa. Podwieczorek nie jest tylko tym, co jemy.

Latem kardamonkę może zastąpić owoc – dorodna śliwka albo brzoskwinia. Ale nie jedzona w biegu, tylko starannie pokrojona, obrana ze skórki, smakowana.

Brzoskwinia ma szczególne miejsce w Twojej kuchni.

Kiedyś deser kojarzył mi się z czymś bardzo słodkim, efektownym, takim jak kawałek tortu albo tiramisu. Aż podczas wakacji we Włoszech usłyszałem przypadkiem rozmowę siedzącej obok mnie w restauracji pary, która zamówiła... brzoskwinię. Okazało się, że tego upalnego dnia jedynym deserem w menu była gałka lodów z owocami.

Jedna z moich ukochanych książek kucharskich, autorstwa irlandzkiej pisarki Diany Henry, nosi tytuł „How to Eat a Peach”, czyli „Jak zjeść brzoskwinię”. I wbrew pozorom nie ma w niej ani jednego przepisu na brzoskwinię. Jest za to historia, która bardzo przypomina tę moją. Henry kiedyś podpatrzyła ludzi, którzy wrzucali kawałki brzoskwini do kieliszków ze słodkim winem. Owoc chwilę się w nim macerował, nasiąkał smakiem wina, a potem goście najpierw go zjadali, a następnie popijali brzoskwiniowy trunek.

Bardzo podoba mi się prostota i sensualność tego gestu. Nie trzeba skomplikowanego przepisu, żeby stworzyć coś, co pobudza wszystkie zmysły – wystarczy dojrzały owoc, trochę wina i czas, żeby te smaki się spotkały.

Znam ten smak! Redakcyjny kolega zaraził nas kilka lat temu miłością do belliniego – koktajlu łączącego brzoskwinie z musującym winem. Ale Ty chciałeś być raczej cukiernikiem niż barmanem.

Praca w cukierni była moim wielkim marzeniem, chciałem spróbować swoich sił w gastronomii. Byłem nastolatkiem z ogromną potrzebą odnalezienia podobnej do siebie grupy, wspólnoty, bratnich dusz. Wydawało mi się, że znajdę takich ludzi właśnie w cukierni, a przy okazji połączę przyjemne z pożytecznym.

Pokazałem więc właścicielce zdjęcia swoich ciast i zostałem zaproszony na dzień próbny. Przejechałem rowerem całe miasto, dotarłem na miejsce rozczochrany, w rozwiązanych konwersach i poplamionej koszulce. Byłem wtedy chudziutki jak przecinek. Pracownice patrzyły na mnie i zastanawiały się, co ja tam w ogóle robię.

Na próbę dostałem zadanie przygotowania wielkiej blachy klasycznego sernika – potrzeba było do niego kilkudziesięciu jaj. Oddzielałem systematycznie białka od żółtek drżącymi rękami, z takim namaszczeniem, jakby od tego zależały nie tylko losy sernika, ale całej mojej przyszłości.

Udało się?

Usłyszałem, że prawdopodobnie coś ze mnie będzie. Ale kiedy już zacząłem tam pracować okazało się, że rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażałem.

Wiesz, pytałem koleżanki, które mogły być moimi mamami, co czytają po pracy, czym się inspirują, co same gotują. Patrzyły na mnie oczywiście jak na skończonego wariata, odpowiadając, że po powrocie do domu absolutnie nie chcą już widzieć garnków, blach ani w ogóle wchodzić do kuchni. Nic dziwnego – zdarzało im się pracować po piętnaście godzin dziennie.

To doświadczenie nauczyło mnie szacunku do ludzi pracujących w gastronomii. Nie buntuję się, kiedy mam zapłacić 30 zł za ciastko, bo wiem, że jego cena rośnie z roku na rok, ponieważ rosną koszty ludzkiej pracy. Ale chyba właśnie dlatego, że tak szybko zobaczyłem, na czym ta praca naprawdę polega, zrozumiałem też, że nie jest dla mnie. Wymaga ogromnej cierpliwości, pokory wobec powtarzalności i dużej precyzji.

Robi się jedno ciasto, dzień po dniu, wciąż tak samo. A mnie ekscytowało coś zupełnie innego: nieustanne próbowanie, testowanie i łączenie różnych składników wciąż na nowo.

Pieczenie ciast jest trochę bardziej stresujące niż gotowanie. Znam całkiem niezłych kucharzy, którzy nigdy nie próbowali zrobić sernika.

Co do zasady gotowanie pozwala nam na znacznie więcej, może być nonszalanckie, intuicyjne. Cukiernictwo jest natomiast precyzyjne – 20 gramów mąki więcej potrafi całkowicie zmienić konsystencję ciasta. Pieczenie wymaga większej uwagi. Trzeba się go nauczyć, a potem można szukać w tej aptekarskiej precyzji przyjemności.

Przekonaj mnie.

Pieczenie daje ogromną satysfakcję, bo nagroda jest tu naprawdę spektakularna. Myślę, że wiele osób odkryło to podczas pandemii, kiedy mieliśmy trochę więcej czasu w kuchni i mogliśmy sprawdzić, jak przyjemne jest stworzenie czegoś pełnego smaku z tak podstawowych produktów jak mąka, cukier i masło.

Człowiek naprawdę ma poczucie, że tworzy coś z niczego. Co więcej, to coś może potem sprawić przyjemność wielu innym osobom. Myślę, że właśnie dlatego tak wiele osób, które zaczynają piec w domu, bardzo szybko się od tego doświadczenia uzależnia. ↦

MICHAŁ KORKOSZ, znany jako Rozkoszny, jest blogerem i autorem bestsellerowych książek kucharskich. Właśnie ukazała się jego najnowsza pozycja pt. „Słodkie Rozkoszne. Przepisy pełne przyjemności” (Znak Koncept).

↦ Nie tylko od samego pieczenia, ale od tego momentu, kiedy słyszą: „Ale dobre!”, „Sam to zrobiłeś?”, „Upieczesz jeszcze raz?”. To chyba jeden z najprzyjemniejszych komplementów – świadomość, że zrobiło się coś własnymi rękami i że dzięki temu komuś bliskiemu jest po prostu dobrze.

Do rzeczy: co robić, żeby nie wyszedł zakalec?

To jest odwieczne pytanie. A odpowiedź sprowadza się do jednego: czego używasz do odmierzania składników.

Odmierzanie jest największą bolączką piekarzy amatorów. Wydaje się absolutnie podstawową sprawą, ale, jak już mówiłem, w cukiernictwie czasami 20 gramów mąki potrafi zrobić kolosalną różnicę. A to bywa zgubne, bo mamy w Polsce kulturę mierzenia „na szklanki”. Tyle że szklanka szklance nierówna.

Uściślijmy: w szklance mieści się 130 gramów mąki.

Tak, i właśnie tę rzecz chciałbym ludziom uświadamiać, bo w przepisach często nie ma na to miejsca. Tak naprawdę mówiąc „szklanka”, powinniśmy mieć na myśli konkretną miarkę cukierniczą, a nie przypadkowe naczynie z kuchennej szafki.

Szklanka może mieścić 240 albo 250 mililitrów, ale nawet wtedy sprawa się komplikuje, bo to, ile mąki zmieści się w takiej miarce, zależy od tego, w jaki sposób ją napełnimy. Możemy wsypywać mąkę łyżką albo zanurzyć szklankę bezpośrednio w worku. W obu przypadkach jej gęstość będzie inna, a różnica może sięgać nawet 30 gramów.

Dlatego wszystkim, którzy mają problem z zakalcem, polecam kupić wagę kuchenną. Kosztuje kilkanaście złotych, można ją znaleźć praktycznie wszędzie, w każdej drogerii, a bardzo minimalizuje ryzyko nieudanego wypieku.

To wszystko?

Jeszcze dwie zasady: nie mieszać ciasta zbyt długo i pilnować, żeby składniki miały temperaturę pokojową.

Można przesadzić z mieszaniem?

Tak, bo wtedy zaczyna się wytwarzać siatka glutenowa. Czasami jest to pożądane, na przykład w cieście drożdżowym, ale w przypadku wypieków o lekkiej, delikatnej strukturze, takich jak biszkopt, absolutnie nie chcemy tego osiągnąć. Ciasto staje się wtedy zbyt gęste i ciężkie. Podobnie jest z brownie, które z zasady powinno być bardziej zwarte i wilgotne.

Zakalec jest efektem niewłaściwej struktury – może powstać między innymi wtedy, kiedy ciasto jest zbyt długo mieszane albo kiedy nieprawidłowo dobierzemy proporcje składników. Dlatego w cukiernictwie tak ważne jest wyczucie: wiedzieć nie tylko, ile mieszać, ale przede wszystkim, po co i jaki efekt chcemy osiągnąć.

Twój ulubiony deser to galette – ot, taki płaski placek. O co tu chodzi?

Idealna przyjemność musi być mocno owocowa, krucha i maślana. Takie połączenie daje mi najwięcej radości, a esencją tych trzech rzeczy jest właśnie galette: owoce i cienka warstwa kruchego, maślanego ciasta, ten deser jest bardzo soczysty i lekki. Najbardziej lubię galette z morelami i ze śliwką.



MATERIAŁY PRASOWE

Celebrujmy wspólne podwieczorki

Rzeczywiście bardzo lekki deser, do pieczenia zużyjemy tylko połowę kostki masła.

Wszyscy się ze mnie śmieją, kiedy mówię, że coś jest „lekkie”, bo przecież to ciasto z masłem i cukrem. Ale chodzi mi o to, że ono po prostu płynie. Szybko znika z talerza i od razu ma się ochotę na kolejny kawałek, a jednocześnie nie czujesz się przytłoczona słodyczą.

I to jest w galette najfajniejsze – można żonglować składnikami, jak się chce. Latem mamy najsłodsze śliwki, później pojawiają się gruszki, jabłka, morele. Ciasto może być właściwie bazą, fundamentem, na którym przez cały rok można budować kolejne wersje, zależnie od tego, co akurat znajdziemy w warzywniaku.

Dobrze, to wróćmy do Twojej obsesji, czyli masełka.

To nie tylko mój sekret i nie tylko moja obsesja, ale chyba każdej osoby, która poważnie zajmuje się gotowaniem. Wystarczy zresztą chwilę popracować w jakiejkolwiek kuchni, żeby szybko zrozumieć, że masło jest jednym z największych sekretów dobrego smaku. Dlaczego jedzenie w restauracji jest takie dobre, lepsze niż w domu? Bardzo często dlatego, że na koniec do sosu dodaje się po prostu łyżkę masła. Nagle wszystko staje się bardziej kremowe, głębsze, pełniejsze. W domu pewnie nie zawsze wpadlibyśmy na to, żeby tę łyżkę masła dodać, a w profesjonalnej kuchni to często właśnie ona robi różnicę.

Masło jest jednym z najbardziej złożonych smaków, zaraz obok smaku soli. Ma w sobie coś, co zostaje na długo – połączenie mleczności, kremowości i tej charakterystycznej kruchości. To jest po prostu uzależniające.

Jestem też wielkim fanem momentu, kiedy masło zaczyna się lekko palić, staje się bursztynowe i zaczyna pachnieć orze-

chowo. To mój kulinarny wytrych. Jeśli nie wiem, co zrobić z przepisem, żeby go podkręcić, zamieniam zwykłe masło na palone. I ono niemal zawsze dodaje potrawie tej głębi, której wcześniej jej brakowało.

Jakie pomysły na podwieczorki przywiozłeś sobie z ostatnich podróży?

Niedawno wróciłem z Amsterdamu, gdzie zajadałem się stroopwaflem, cienkimi wafelkami przełożonymi karmelem. To bardzo korzenny, chrupiący wafelek, który często kładzie się na kubku z gorącą herbatą czy kawą, żeby karmel w środku lekko się rozpuścił. To jest jedna z tych prostych słodkości, które potrafią być niesamowicie przyjemne.

Ale największym odkryciem była dla mnie w Amsterdamie jedna z cukierni wegańskich. Wcześniej oczywiście próbowałem wegańskich wypieków, ale po raz pierwszy trafiłem na miejsce, w którym zachwyciły mnie one aż tak bardzo. Gdyby ktoś mi nie powiedział, że te rzeczy są wegańskie, chyba w ogóle nie domyśliłbym się tego po smaku czy teksturze.

Byłem pod ogromnym wrażeniem, bo sam wciąż nie mam pełnej wiedzy, jak osiągnąć takie efekty w cukiernictwie bez produktów odzwierzęcych. Zastanawiałem się: jak oni to zrobili? Bez masła, bez mleka, bez jajek? Nie było tam wyczuwalnych zamienników, niczego, co próbowałoby udawać tradycyjne składniki. To naprawdę duża sztuka.

Cukiernictwo jest zresztą jak chemia. To bardzo żmudny proces, wymagający ogromnej precyzji i liczby prób. Przekonałem się o tym podczas pracy nad książką, która właśnie trafiła do księgarń. Miała ukazać się rok wcześniej, ale praca nad przepisami zajęła mi znacznie więcej czasu, niż zakładałem. Każda, nawet niewielka zmiana proporcji oznaczała kolejną próbę, kolejną godzinę przy piekarniku. I cały czas jest w tym element ryzyka: czy tym razem się uda? Jeśli zmniejszę ilość mąki, żeby ciasto było bardziej wilgotne, czy nie przesunę granicy i nie powstanie zakalec?

Mogę sobie więc tylko wyobrazić, ile prób wymaga stworzenie wegańskiego wypieku na naprawdę wysokim poziomie. Tam ta granica jest chyba jeszcze bardziej delikatna, a ryzyko niepowodzenia – jeszcze większe.

Podczas tego testowania dużo słodkiego wylądowało w koszu?

Było kilka nieudanych przepisów, które ostatecznie nie trafiły do książki. Nie były to jednak jakieś niejadalne zakalce. Po prostu nie były na poziomie, którego od siebie oczekuję.

Słodkich rzeczy jest naprawdę dużo, a książka ma swoje granice. Dlatego bardzo świadomie wybierałem, co powinno się w niej znaleźć. Chciałem, żeby była esencją tego, co mam do przekazania, a nie po prostu zbiorem dwudziestu różnych możliwości na deser.

To zresztą jest przewaga książki nad internetem. W internecie wyskakuje nam mnóstwo przepisów i trudno się na coś zdecydować. Kiedy otwierasz książkę, masz poczucie, że ktoś już wykonał tę pracę za ciebie – przemyślał, przetestował i wyselekcjonował przepisy, które tworzą pewną całość.

Lubię też wprowadzać do książek takie elementy, które pozwalają czytelnikowi trochę się pobawić przepisem. Są tabelki, różne warianty, można wybrać jeden spód, a potem zdecydować, co do niego dodać. Zależało mi na stworzeniu czegoś w rodzaju przepisu-nie-przepisu. Takie podejście pojawiało się już w moich poprzednich książkach, bo chcę ludzi trochę ośmielić do testowania. Pokazać, że stworzenie własnego przepisu wcale nie musi być takie trudne.

Oczywiście w pieczeniu jest to bardziej wymagające niż w gotowaniu, ale są rzeczy, od których można zacząć.

Na przykład?

Moje pierwsze próby tworzenia własnych przepisów zaczynały się od serników. To dobry punkt wyjścia, bo można zmieniać dodatki, proporcje, smaki, a jednocześnie cały czas pracować na dość prostym fundamencie.

To jeszcze Cię poproszę o najlepszy przepis na jesienne podwieczorki.

Oczywiście można sięgnąć po klasyki – różnego rodzaju cynamonki czy inne drożdżowe wypieki. Ale zaproponuję coś prostszego. To jeden z moich ulubionych przepisów z tej książki.

Duńskie ciasto, bardzo retro. Nazywa się ciastem marzeń. Proste, waniliowe, niezwykle delikatne. Sekretem jest masa z kokosa, masła, mleka i cukru trzcinowego. Chwilę się ją podgrzewa w garnku, wykłada na ciasto i podpieka jeszcze kilka minut. Kokos staje się wtedy chrupiący, pięknie się karmelizuje i zaczyna łączyć z waniliowym, delikatnym ciastem.

To jest deser absolutnie bezwstydny, ale właśnie dlatego tak dobry. Za każdym razem, kiedy ktoś u mnie tego ciasta próbuje, reakcja jest podobna – oczy robią się wielkie, ciało jest w ekstazie. Warto mieć takiego asa w rękawie.

©℗ Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

Duńskie ciasto marzeń



MATERIAŁY PRASOWE

TOMASZ

Stawiszyński: *Prawo Bellosa*



Zapytano kiedyś Costasa Bellosa, który na wyspie Korfu prowadzi prawdziwie alchemiczną restaurację „Klimataria", czy do tradycyjnego korfucjańskiego (tak jest, korfucjańskiego, a nie „korfuańskiego", jak podpowiada słownik) dania o nazwie bourdeto można, jeśli ktoś lubi, dodać pomidory.

Dla niezorientowanych: bourdeto to ryba gotowana z dużą ilością mielonej papryki, cebuli i oliwy z oliwek, podlana na koniec stosowną porcją soku z cytryny. Tak stanowi kanoniczny wyspiarski przepis, a jego rodzinną wersję wraz ze specjalistycznym *know how* przekazuje się u Bellosów z pokolenia na pokolenie. Nie muszę chyba dodawać, że rezultat jest oszałamiający.

W każdym razie, zapytany o te pomidory, Costas Bellos spokojnie odparł, że, owszem, jak najbardziej, jeśli ktoś lubi, może dodać. Ale wtedy to już nie będzie bourdeto.

Była to odpowiedź bezpośrednia, ujmująco szczera, a zarazem głęboko prawdziwa. Skoro bourdeto nie zawiera w swoim składzie pomidorów, dorzucenie ich spowoduje, że otrzymamy inną potrawę. Niewykluczone, że bardzo dobrą, niewykluczone, że dla niektórych nawet lepszą. Podobnie carbonara, do której zechcemy wprowadzić, dajmy na to, obfitą porcję brokułów albo brukselki, bez wątpienia przestanie być carbonarą. I tyle.

Przy czym nie chodzi o wartościowanie. Ani Costas Bellos, ani ja tym bardziej, nie twierdzimy, że coś jest tutaj istotowo lepsze lub gorsze. Osobiście preferuję bourdeto, nie zaś rybę z papryką, oliwą i pomidorami, podobnie bliższa jest mi carbonara niż makaron z jajkiem, guanciale, pecorino oraz brukselką lub brokułami. Ale rozumiem, szanuję i przyjmuję do wiadomości, że ktoś może lubić co innego. Jest również dla mnie oczywiste, że ma do tego pełne prawo i nikomu nie wolno mu tego zabraniać. Nie widzę jednak żadnych racji, żeby po dokonaniu wymienionych wyżej hybrydyzacji, stosować w odniesieniu do tych nowych dań starą terminologię. No chyba że: „na motywach".

Z pewnością niejeden czytelnik zorientował się już, do czego piję. Istotnie, do sporów o „Lalkę" i nie tylko, takich bowiem kłótni o zgodność adaptacji z oryginałem w historii kinematografii mieliśmy i mamy sporo (choćby osławiony spór Stephena Kinga ze Stanleyem Kubrickiem o „Lśnienie"). Czytam właśnie, nawiasem mówiąc, że środowiska chrześcijańskie w USA oburzają się nową adaptacją „Opowieści z Narni" C.S. Lewisa, którą przygotowuje Greta Gerwig, reżyserka m.in. „Barbie". Akcja zostanie ponoć przeniesiona w lata 50. XX wieku, Lew Aslan przemawiać będzie głosem Meryl Streep, a historia zacznie się od „Siostrzeńca czarodzieja", powieści chronologicznie pierwszej w porządku fabuły, ale napisanej jako ostatnia i wydanej jako przedostatnia („Siostrzeniec", ściśle rzecz ujmując, to prequel „Lwa, czarownicy i starej szafy"). Podnoszą się argumenty, że klasyczne dzieło autorstwa jednego z największych apologetów chrześcijańskich ubiegłego stulecia Gerwig przerobić zamierza w duchu aktualnych dogmatów słuszności i poprawności, a do tego jeszcze zrobi z Aslana lwicę. Tymczasem ta postać jest u Lewisa oczywistym symbolem Chrystusa.

Cóż, podążając za – nazwijmy to – „prawem Bellosa", powiedziałbym: owszem, nie ma sprawy, niech sobie Aslan będzie lwicą, niech akcja dzieje się w latach 50. XX wieku, a całościowy wydźwięk z chrześcijańskiego niech się zmieni na lewicowo-świecki. Oczywiście, że tak, nie ma najmniejszego problemu. Tylko że to wtedy już nie będą „Opowieści z Narni".

Podobnie sprawy mają się z „Lalką" oraz wszelkimi innymi adaptacjami, miksami i improwizacjami na temat takich lub innych oryginałów. Nie twierdzę oczywiście, że się takich działań powinno zakazać. Wiadomo, kultura i sztuka rozwijają się poprzez nieustanne nawiązania, odwołania, przetworzenia itd. Również na radykalne modyfikacje i symboliczne przejęcia nic się nie da poradzić, wyjąwszy kwestie objęte po prostu prawem autorskim. Jeśli uznajemy wolność twórczą, musimy także uznawać wolność autorów adaptacji do adaptowania wedle własnej wizji i pomysłów. Zwłaszcza że często daje to świetne efekty.

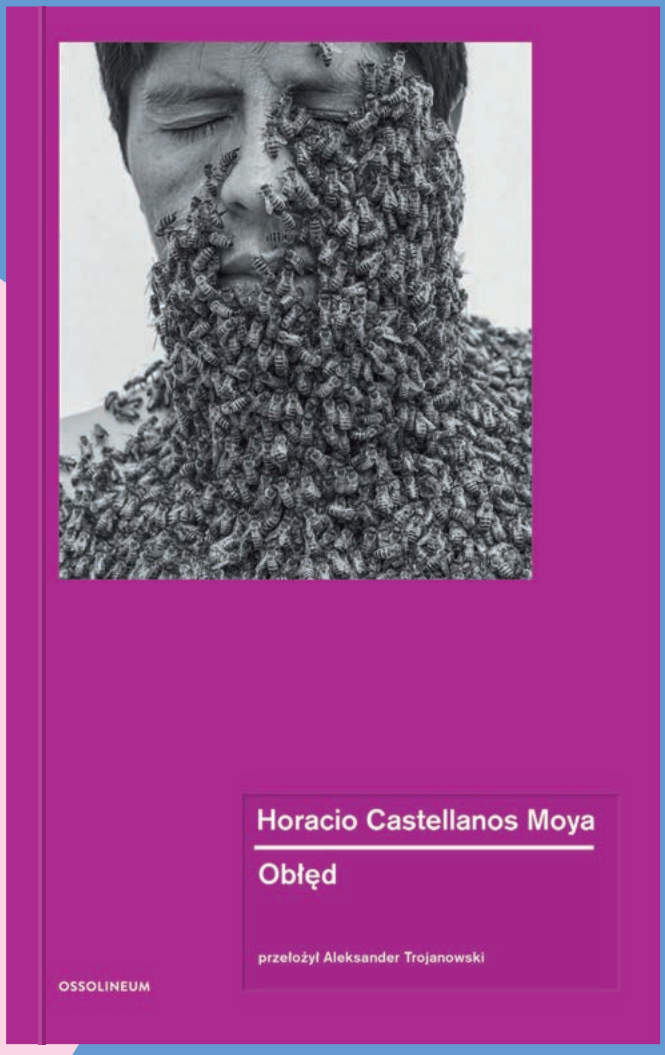
Mnie znacznie bardziej podobają się nawiązania i remiksy realnie twórcze, pomysłowe i oryginalne. Takie, których twórcy biorą pełną odpowiedzialność za historię, którą na nowo opowiadają – inspirując się jakimś dziełem, ale nie chowając za cudzym nazwiskiem czy tytułem. Pierwsze z brzegu przykłady: „Czas Apokalipsy" Francisa Coppoli, który jest przecież, a zarazem nie jest, adaptacją „Jądra ciemności" Josepha Conrada. Gdyby Coppola chciał, mógłby rzecz sprzedawać pod taką marką, ale tego nie zrobił, stworzył film zainspirowany pierwowzorem, a jednocześnie wobec niego całkiem autonomiczny. Podobnie: Kurosawa i jego gry z Szekspirem. Albo „Odyseja" przeczytana przez braci Coen, czego efektem był znakomity obraz „Bracie, gdzie jesteś"?

„Lalka" Pawła Maślony generalnie mi się podobała – choć polityczna słuszność była tam momentami dawkowana zdecydowanie zbyt obficie – a Sandra Drzymalska jako Izabela Łęcka to już w ogóle rewelacja. Niemniej... to nie jest „Lalka", tylko jakaś inna zupełnie historia, korzystająca luźno z niektórych postaci oraz motywów obecnych w powieści Prusa. Czy zatem koniecznie trzeba było opatrywać ją takim tytułem i reklamować jako adaptację? ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

Salwadorski pisarz i publicysta decyduje się wyjechać do Gwatemali, aby na zlecenie tamtejszej kurii zredagować ponad tysiącstronicowy raport dokumentujący masakry na rdzennej ludności, jakich dopuszczano się przez trzydzieści lat. Praca z tak wstrząsającym tekstem, zawierającym liczne opisy bestialstwa, szybko zaczyna odciskać na nim silne piętno. Otaczający go świat staje się przedłużeniem czytanego dokumentu. „Nie jestem spełna rozumu" — to pierwsze z wielu zdań, które bohater przepisuje do notesu i recytuje przy różnych okazjach. Zawartość raportu wkrada się w jego życie, a poczucie zagrożenia i nieustanne dopatrywanie się spisku sprawiają wrażenie, że są czymś więcej niż wytworami przeciążonego umysłu.

Horacio Castellanos Moya mierzy się w powieści *Obłęd* z zagadnieniami przemocy oraz powodowanej przez nią traumy pojedynczych osób, jak i całych społeczeństw. Dla autora przemoc stanowi bowiem jądro latynoamerykańskiej współczesności, natomiast strach i pogarda są środkami służącymi do kształtowania stosunków międzyludzkich.



PREMIERA

Horacio Castellanos Moya
Obłęd

przekład Aleksander Trojanowski
posłowie Barbara Jaroszuk

wydawnictwo.ossolineum.pl

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

REKLAMA

REKLAMA

NOWA POWIEŚĆ
YANNA MARTELA

LAUREATA NAGRODY BOOKERA
AUTORA BESTSELLEROWEGO *ŻYCIA PI*

Nie Achilles.
Nie Hektor.
Nikt.

Wojna trojańska,
o jakiej nie
opowiedziano.



WYDAWNICTWO ALBATROS



Yann Martel w Polsce!

SPOTKANIA I SESJE AUTOGRAFÓW

WARSZAWA
22 PAŹDZIERNIKA, GODZ. 18:00
EMPIK CEPELIA

KRAKÓW
24 PAŹDZIERNIKA, GODZ. 13:00
29. MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI, SCENA W HALI DUNAJ